



MONIKA
POWALISZ

Ósmie
ciało

Świat Książki

MONIKA
POWALISZ

Ósme
ciało

Świat Książki

Wydawca
Joanna Laprus-Mikulska

Redaktor prowadzący
Tomasz Jendryczko

Redakcja
Ludwik Janion

Korekta
Katarzyna Bielawska-Drzewek
Mirosława Kostrzyńska

Copyright © by Monika Powalisz, 2018,
by arrangement with Agencja Literacka Syndykat Autorów
Copyright © for this edition by Dressler Dublin Sp. z o.o., 2018

Mapa na II i IV stronie okładki dzięki uprzejmości Nadleśnictwa Kolumna

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Warszawa 2018

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Laguna

ISBN 978-83-813-9208-2

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Motto

Dedykacja

ROZDZIAŁ I Godzina ptaków

ROZDZIAŁ II Aurora

ROZDZIAŁ III Beatrycze

ROZDZIAŁ IV Pierwsze ciało

ROZDZIAŁ V Ptak nocy

ROZDZIAŁ VI Biełojad olbrzymi

ROZDZIAŁ VII Obce ciało

ROZDZIAŁ VIII Ciągiedź

ROZDZIAŁ IX Czerwony las

ROZDZIAŁ X Ostateczne połączenie

Głupiec nie widzi tego samego drzewa, co mędrzec.
William Blake

Moim rodzicom

ROZDZIAŁ I

Godzina ptaków

Rok 2001

I

To musiała być trzecia nad ranem. Było jeszcze ciemno, ale gdzieś z oddali leśniczy Olko usłyszał trzeszczącą wśród podwórkowych świerków zwrotkę szarego kopciuszka, który zapowiadał godzinę ptaków. Nie musiał patrzeć na zegarek. Dziesięć minut później odezwał się rudzik, chwilę potem powietrze przeszył gwizd kosa. Olko westchnął i spojrzął w ciemny kwadrat okna. Przebudził się nagle z dość nieprzyjemnego snu, w którym łowił karasie, brodząc po pas w mętnej wodzie leśnego stawu. Jego stopy zapadały się w gęstym mule, a kiedy wyciągał ręce z wody widział na nich gęste rzędy drobnych pijawek. Odruchowo podniósł ręce w ciemności i wtedy przez śpiew rudzika przebiło się ujadanie jego psa Joyce'a, który jak każdy pies inaczej szczekał na ludzi, a inaczej na zwierzęta. Olko wiedział, że nadchodzi człowiek, zanim usłyszał dźwięk natarczywie naciskanego dzwonka. Coś wcześniej – zdążył pomyśleć i zwlekł się z łóżka.

Ten dzwonek wcale go nie zdziwił, bo podczas tylu lat spędzonych w leśniczówce przyzwyczyił się, że ludzie dzwonią o różnych porach i w bardzo różnych sprawach. W samych majtkach poczłapał w kierunku drzwi do kancelarii – służbowego kantorka, w którym przyjmował wszystkich interesantów.

– Kto tam? – zapytał. Po drugiej stronie usłyszał przestraszony głos:

– Panie Olko! Panie Olko! – Rozpoznał głos swojego zrywkarza, Mareckiego.

Kiedy otworzył, Marecki niczym przestraszony zając wpadł do środka. Był dziwnie skulony, zataczał się i jednocześnie obejmował ramionami, jakby sam siebie chciał mocno przytulić.

– Tam, tam! – zapiszczał Marecki, wskazując palcem ciemną ścianę lasu, którą było widać przez uchylone drzwi.

– Co, tam? – zapytał przytomnie Olko.

– Tragedia, panie leśniczy, tragedia! Niech się pan ubiera, tam! – Zrywkarz podbiegł do drzwi, potem podbiegł do leśniczego i zawisł na nim jak mały chłopiec, który boi się ciemnego pokoju. Olko złapał go mocno za ręce, potrząsnął parę razy i puścił. Marecki opadł na podłogę kancelarii i zastygł w nienaturalnym półprzysiadzie. Olko westchnął.

– Wie pan, która godzina?

Dopiero teraz poczuł zapach alkoholu i potu, który powoli wypełniał ciasną przestrzeń.

– Niech pan wstanie, panie Marecki. Herbaty pan chce?

Marecki spojrzał na niego z ukosa, zawstydzony, jakby dopiero teraz się ocknął i zaczął myśleć, chociaż myśl nie nadążała za słowami i zrywkarz wylał z siebie bezładny monolog:

– Panie Olko, szedłem, wracałem, wracałem od Biedrzyka, rower tam został. Zupełnie nie zauważyłem. Potknąłem się... No to biegiem, biegiem, rzuciłem rowerem. Ona tam jest, ona, ona! Na drzewie wisi!

– Niech pan tu poczeka – powiedział Olko i poszedł się ubrać.

Kilka minut później podjechał pod furtkę kancelarii służbowym maluchem, który służył mu za samochód terenowy i niemal siłą wepchnął Mareckiego do wnętrza. Zrywkarz zamiast usiąść obok niego, wpakował się niezdarnie na tylne siedzenie i przywarł do szarej tapicerki, jakby chciał stać się na jej tle zupełnie niewidoczny.

– Gdzie jedziemy, panie Marecki? – Olko odwrócił się w jego stronę. – Panie Marecki! – krzyknął, bo zrywkarz nie reagował.

– No Dłutowską, w sto dwadzieścia jeden – zapiszczał Marecki, jakby o tej porze w Lesie Rydzyńskim istniała tylko ta jedna droga i ten jeden oddział.

Olko przekręcił kluczyk, maluch wydał przeciągły dźwięk duszącej się maszyny, ale po chwili wewnątrz zatrzęsło się i zadrgało od pracującego silnika. Ruszyli w noc.

Olko znał swój las na pamięć i czasami zastanawiał się, czy gdyby stracił wzrok, mógłby się w nim w ogóle zgubić. Było to mało prawdopodobne, bo widział las tak wyraźnie, jak linie papilarne na swoich dłoniach: z zamkniętymi oczami przy każdej części lasu wyświetlały mu się w głowie kolejne numery: dziewięćdziesiąt sześć, sto jedenaście, sto trzydzieści trzy, a każdy z nich oznaczał coś zupełnie innego.

*

Na każdy las rzucona jest niewidzialna siatka o regularnych okach, tworzonych przez pionowe linie wyznaczające kolejne oddziały. Każdy fragment lasu ma przypisany numer, każdy zaznaczony jest małym, granitowym słupkiem, na którym z czterech stron, niczym na twarzy Światowida, zapisuje się kolejne numery. Ten, kto wie, ten kto zna swój las na pamięć i rozumie system, na pewno się nie zgubi.

Gdyby leśniczy Olko był kiedykolwiek w Nowym Jorku, na Manhattanie na pewno dostrzegłby znajomo brzmiącą, numerologiczną zbieżność i szybko odkrył, że na teren, na którym wyrosło miasto, rzucono kiedyś podobną siatkę. Ale Olko w Nowym Jorku nigdy nie był i znał tylko linie oddziałowe we własnym lesie, których nie można było pomylić przecież z jakąś Ósmą albo Czternastą Avenue.

W połowie Drogi Dłutowskiej, zaledwie po dwóch kilometrach maluch zaczął dziwnie popierdywać, i kiedy Olko wymijał jedną z licznych dziur, które też znał na pamięć, bo drogi nie wyrównywano od dobrych kilku lat, zgasł zupełnie. Marecki jęknął i wychylił głowę, myśląc, że dojechali do celu. Olko walnął rękoma w kierownicę, wysyczał pod nosem przeciągle: Kuuurwa, spojrzał przed siebie i wtedy przypomniał sobie, że w piątek miał dolać z kanistra resztkę benzyny, ale nie zrobił tego. Wysiadł z samochodu i zajrzał dla pewności pod klapę bagażnika, ale kanistra tam nie było. Leśniczy splunął w ciemność i otworzył drzwi od strony pasażera.

– Dalej idziemy pieszo, panie Marecki.

Zrywkarz się nie poruszył. Olko prawie siłą musiał go wyciągnąć z wnętrza samochodu. Nie czekając, aż zrywkarz stanie prosto, ruszył przed siebie.

Marecki dreptał za nim jak skazaniec. Gdzieś nad nimi wisiał pierwiosnek, którego głos wybijał się na tle innych ptasich śpiewów. Noc jeszcze mocno trzymała las w objęciach czarnej sepii.

Godzina ptaków to najpiękniejsza godzina dnia, potem wszystko staje się jasne, a ptaki milkną – pomyślał Olko, który dawno tak wcześniej we własnym lesie nie był.

Zatrzymał się, spojrzął na majestatyczne buki i wyciągnął paczkę papierosów. Podsunął pod nos Mareckiemu, ale ten się tylko wzdrygnął.

– Co pan się tak trzęsie, panie Marecki? – Olko wiedział doskonale, że Marecki popija, że czasami podkrada drewno; wiedział od jego żony, że potrafi zniknąć u Biedrzyka na kilka dni, że pieniądze się go nie trzymają, i że Marecki przegapił ten moment, kiedy konia zastępowało się w lesie ciągnikiem.

Papieros mu nie smakował. Miał metaliczny posmak poranka i Olko szybko przyduślił go w mokrej trawie. Postawił stopę na spróchniałym pieńku.

– Jest pan pewien, panie Marecki, że to było w sto dwadzieścia jeden? – rzucił w stronę zrywkarza, a Marecki przytaknął. Szli, a dziwny rodzaj napięcia nie schodził z ciała Mareckiego: im bliżej byli sto dwadzieścia jeden, tym Marecki szedł wolniej, a kiedy stanęli przy słupku oddziałowym, zrywkarz zaparł się jak jego własny koń, Benek, kiedy ma wyciągnąć na dukt zbyt ciężką kłodę.

Olko spojrzął na pracownika, którego nieogolona twarz była spuchnięta od alkoholu, i której rysy ów alkohol już dawno rozpuścił, deformując owal do kształtu potężnego ziemniaka. Bładym świtem twarz Mareckiego mieniła się wszystkimi odcieniami szarości wpadającej w posiniałe odcienie seledynu: przedwcześnie postarzała, zmitrężała fizycznym wysiłkiem, tępa, ale dziwnie zawzięta; teraz wyrażała rodzaj lęku, którego Olko nigdy wcześniej na tej twarzy nie widział.

– Panie Marecki, niech mi pan powie, co pan, do chuja pana, robił po nocy w sto dwadzieścia jeden?

Marecki skurczył się w sobie i zaczął myśleć, bo sam dokładnie nie wiedział, jak to się stało, że w środku nocy znalazł się właśnie tam.

– No... – stęknął. – No, bo zem szedł od Biedrzyka. Sporo popilim, bo akurat wczoraj bimber przepędzał, nie powiem, dobry mu wyszedł całkiem, na koniec na rower wsiadłem i pojechałem.

– Czyżemską?

– No, Czyżemską Droga, a jaką od Biedrzyka wraca się? – odpowiedział Marecki w przyływie logicznego myślenia.

– No, to ja się pytam, panie Marecki, bo równie dobrze, w takim stanie mógł pan w drugą stronę pojechać, aż do Pawłowskiej Dróżki, na Hutę, a na upartego do Bełchatowa pod samą kopalnię zajechać.

Marecki nie wyczuł ironii, przestraszył się jeszcze bardziej i spojrział na Olkę w cudownym olśnieniu.

– Panie leśniczy? Pan myśli, że ja zrobiłem coś złego? Że ja niby tę onę tak mogłem? – Marecki wzdrygnął się i przeżegnał. – Boże przebacz, panie leśniczy, ja tylko starą czasami szturchnę, żadnego innego stworzenia na świecie palcem nie tknąłem! – Marecki uderzył w rzewny ton skruszonego pijaka.

– Panie Marecki, ja się tylko pytam gdzie pan trafił, a nie co pan robił. – Olko zaczynał się niecierpliwić.

– No jechałem, jechałem rowerem, bez świateł, jak zawsze, aż jakoś tak, zamiast na Guzendowy Dukt trafić, droga zrobiła się jakby węższa, ale po nocy nie widziałem tego, no a potem, no co tu kryć? Z roweru zsiadłem, bo skołowany już byłem i szedłem dalej, a potem, potem jakoś tak skręciłem, rzuciłem rower obok siebie i położyłem się we wgłębieniu i przysnąłem, a potem... – Marecki złapał w płuca powietrze i zakasłał.

Olko nie chciał go już dłużej męczyć, bo zrywkarz i tak był już znużony znużeniem człowieka na wiecznym kacu, który po nieprzespanej nocy znalazł w lesie „oną”.

– Dobrze, panie Marecki, ostatnie pytanie: trafi pan tam? Bo nie wiem, czy iść w stronę grobli, czy w stronę zarośniętego stawu?

Marecki podrapał się po głowie, jakby ten gest o wpół do czwartej rano miał mu pomóc w udzieleniu odpowiedzi.

– Ciemno było. – Rozłożył ręce i Olko już wiedział, że następną godzinę spędzi na błędzeniu w miejscu, w którym nikt nie chciałby się nigdy zgubić.

III

Co można było powiedzieć o oddziale sto dwadzieścia jeden, którego linię właśnie teraz przekraczali, podążając w głąb Guzendowym Duktem, który przecinał Drogę Dłutowską? Olko i Marecki mierzyli tę część lasu zupełnie osobną miarą. Marecki miał wyłącznie złe wspomnienia. To właśnie tutaj w dziewięćdziesiątym czwartym piła zeszła mu z pnia olchy i

przejechała łańcuchem po nodze – na szczęście miał wtedy na sobie gumofilce, ale i tak w szpitalu lekarz musiał podstawić pod but plastikowe wiadro. Wtedy, nie tak dawno przecież, a jednak u schyłku dwudziestego wieku, nikt nie myślał o zakupie dla pilarzy obuwia antyprzecięciowego ze stalową międzypodeszwą, wykonanego z hydrofobizowanej skóry wołowej ze specjalną ochroną na palce.

Szło się do lasu w gumiakach, drelichach, miało się w reklamówce termos, czasami flaszkę i kanapkę od żony. Marecki nigdy nie założył ochronników na uszy i kasku. Nie założył, bo ich nie miał. Od czasu wypadku stracił serce do wycinki i stopniowo z pilarza przekwalifikował się w zrywkarza. Ta zawodowa wolta, której dokonał, miała jeszcze jeden pożytek: czasami, kiedy bardzo zapił u Biedrzyka, mógł na zrywkę posłać żonę, która miała siłę jak dwa kuce szetlandzkie. Szła do zrywki niechętnie, ale szła; co miała zrobić, skoro nie pracowała, a Marecki specjalnie do domu od Biedrzyka się nie spieszył? Ale sto dwadzieścia jeden kojarzył mu się nie tylko z przeciętą stopą – to był widmowy oddział, jak ze złego snu, zarośnięty olchami z samosiewu, które rozwidlały się posepnie, porastając stare groble. A przechodzić przez niego musiał prawie codziennie, bo właśnie tędy wiodła droga do jego najlepszego kompana.

*

Dla leśniczego Olki sto dwadzieścia jeden kojarzył się z najcięższą trzebieżą, jaką musiał wykonać w swojej karierze zawodowej. Kiedyś właśnie tu znajdowały się pięknie utrzymane stawy, po których ponoć jeszcze w latach sześćdziesiątych ludzie pływali łódkami. Tak przynajmniej utrwalił się ten obraz w pamięci okolicznych mieszkańców i starszych pracowników leśnictwa. Olko dostał w posiadanie Las Rydzyński na początku lat dziewięćdziesiątych. W kilka lat później, kiedy brodził po kostki w starym zlewisku klucząc pomiędzy czarnymi olchami, przeklinał dzień, w którym ktoś podjął decyzję, że jednak do lasu przychodzi się na grzyby, a nie na ryby. Ktoś, kto kazał spuścić wodę i pozwolić naturze, aby sama zrobiła porządek ze stawami. Więc zrobiła. W dość krótkim czasie oddział sto dwadzieścia jeden zamienił się w dzikie, niekontrolowane rozlewisko z dwiema groblami, które szybko porosły olchami i obsiadły brzegi wysuszonych stawów niczym czarne madonny. Dzień, w którym Olko musiał wyciąć je w pień, bo tak zakładał operat, który dla każdego leśnika jest ważniejszy niż Biblia, okazał się dniem sądnym. Ludzie

brodzili po kolana w wodzie, topiły się ciągniki, czarna maź chlupotała pod butami, a czarne madonny zostały pocięte na papierówkę: najtańszy sortyment drewna, które można było przerobić od razu na zapalki. Potem przyszedł moment, w którym trzeba było wyciągać z wody rogate karpiny. Olko nigdy nie słyszał, żeby ludzie tak głośno przeklinali swoją pracę. Czyszczenia w sto dwudziestym pierwszym były jak kara za wszystkie karpie, bączki, karasie, jazie, wzdreği, ukleje i słonecznice, które zdechły w szlamie, a których nie dało się w porę odłowić; a zdechły śmiercią najgorszą dla ryb – łapiąc haust świeżego powietrza. Po zakończonej trzebieży, Olko do oddziału sto dwadzieścia jeden postanowił więcej nie zaglądać, bo po co zaglądać do miejsca, w którym zostały tylko puste oczodoły stawów?

*

– Panie Marecki, zrobimy tak – zaproponował Olko, bo dochodziła czwarta, a kwietniowe niebo o tej porze wciąż przypominało ołowianą zasłonę, która wisiała nad lasem jak brudnoszary, gęsto tkany beret, spod którego widać było jedynie kontury i zarysy.

– Będziemy szli powoli Guzendowym Duktem i pan da znać, kiedy mam odbić w prawo albo w lewo. Zupełnie jasno robi się dopiero za dwie godziny, więc do tego czasu będziemy sobie pomagać latarką.

Olko wyciągnął z kieszeni długą, masywną latarkę, którą dostał kiedyś od znajomego policjanta. Gdyby Olko był dociekliwy, z pewnością dowiedziałby się, że nie jest to taka sobie latarka – to był prawdziwy amerykański maglite. Ucieleśnienie amerykańskiego snu, w którym Tony Maglica dostarczył społeczeństwu produkt idealny. Społeczeństwu, które wymaga nawet od latarki, by była czymś więcej niż prostym źródłem światła. Ale Olko dociekliwy nie był. Olko był leniwy i kompletnie niezainteresowany światem techniki. Olko wolał drzewa. Niespecjalnie pocieszał go fakt, że maglite – ta masywna pochodnia, wykonana z lotniczego aluminium, oświetla mu dukt promieniem długości 295 metrów. Nie podniecało go, że latarką tą można w każdej chwili dobrze zdzielić potencjalnego napastnika, zanurkować z nią w wodzie i dowolnie rzucać o ziemię w atakach złości. Dla Olki było ważne, że latarkę dobrze trzyma się w ręce, i że z męczącej oczy szarzyzny, przez którą teraz brnęli, perfekcyjnie wydobywa zimny, szary i ogołcony z gałęzi las.

Leśniczy Olko pożałował, że w pośpiechu nie zabrał ze sobą ani szalika, ani rękawiczek, bo kwietniowy przedświt wciąż owiewał idących mroźnawymi podmuchami. Marecki włókł się za nim i Olko co chwila musiał się odwracać w obawie, czy zrywkarz z zimna, a może ze strachu po prostu nie zapłacze się gdzieś pomiędzy szarymi, budzącymi się dopiero po zimie, wciąż nagimi świerkami niczym zeszlóroczny, wyprany z życia dębowy liść, który utknął w matni rzucony podmuchem wiatru na obce drzewo, zamiast zgnić w ściółce.

IV

Byli w połowie duktu, gdy Olko, świecąc od lewa do prawa, wydobył z ciemności zająca. Szarak siedział skulony przy kamieniu, tuż przy drodze i udawał, że go nie ma. Olko lubił patrzeć na zajęce, tak skoncentrowane na własnej bezbronności, nieruchome, z falującym noskiem. Pięknie wybarwiony – pomyślał, spoglądając na czarny z wierzchu, a biały od spodu zajęczy omyk. Leśniczemu Olce przypomniały się walki zajęcy w okresie godowym, które obserwował kiedyś, siedząc na skraju łąki. Szaraki z daleka wyglądały jak miniaturowe kangury, które boksowały długimi skokami, wspierając się o siebie jak zawodnicy w trakcie dziesiątej rundy. Olko stał nieruchomo, bo wiedział, że zajęce mają słaby wzrok i reagują na ruch. Co tu robisz kolego? – zapytał w myślach. O tej porze? W tym nieprzyjaznym miejscu? Przyklejony do kamienia jak ropucha?

Zając wciąż udawał, że go nie ma, a Olko nie spodziewał się po nim wylewnej odpowiedzi. Czuł bijący od zwierzęcia strach i niepewność.

– Angsthase – powiedział na głos. Określenie „zajęcze serce” zabrzmiało po niemiecku jak przekleństwo, jak najgorszy wyrzut. Angsthase odbiło się wśród drzew stłumionym echem. Olko nie miał zajęczego serca, ale biło ono w Mareckim, który stał teraz za nim i przyglądał się otępiąłym wzrokiem szarakowi. Zrywkarz stanął zbyt blisko, jak osoby, które nie rozumieją, że odstęp pomiędzy ludźmi jest tak samo niezbędny jak przerwa pomiędzy wdechem a wydechem. Olko poczuł na swoim uchu słodkawy, lepki oddech przetrawionego alkoholu i odruchowo się odsunął. W tym samym momencie szarak w akcie największej odwagi, z oszalałymi, wyłupiastymi oczami uskoczył gwałtownie w bok i w panice przeciął dukt, jakby chciał zniknąć po drugiej stronie ciemności. Olko

skierował za odbiegającym zającym latarkę – jasny snop oświetlał jego tor na długo naprzód. Leśniczy przesunął latarkę powoli po lewej stronie ściany lasu.

– Panie Marecki, zostawił pan rower po lewej, czy po prawej stronie duktu?

Marecki westchnął. Widać było, że nigdy nie zadał sobie tego pytania.

– Jeśli pan wracał, to pewnie odruchowo trzymał się pan lewej strony, ale rower prowadził po prawej, więc może jednak rzucił go pan na prawą stronę?

Marecki wszedł na środek duktu i zaczął odgrywać dziwny rodzaj pantomimy, jakby miał u boku niewidzialny rower. Przechodził raz na prawą, raz na lewą stronę. Olko oświetlał go latarką i patrzył na ten niemy taniec z rozbawieniem. Czasami ludzie są tak daleko własnych ciał, że nawet nie pamiętają, że wciąż chodzą na dwóch nogach. Choć może w odniesieniu do Mareckiego to twierdzenie mogło być fałszywe, bo Olko nie widział tych wszystkich momentów, w których jego zrywkarz poruszał się na czworakach. A było ich wiele.

W końcu Marecki stanął bliżej prawej strony i zawyrokował:

– No na prawo mnie zносиło i rower też miałem po prawej.

Olko dał mu latarkę.

– No to teraz niech pan idzie prawą stroną i świeci dokładnie, w głąb też, a potem zawróćmy i jeszcze raz będziemy świecić, może wyłapiemy pana rower. Jakies odblaski przy nim pan miał?

– Może jakieś się ostały, to był stary składak. Po synu mi został.

– Niech pan idzie wolno, świeci i zatrzymuje się co dziesięć kroków. Za sto metrów w lewo odbijemy do grobli, zgoda? – Olko chciał zmusić umysł Mareckiego do jakiegokolwiek wysiłku.

V

Pół godziny później Olko oparł się o drzewo i zrezygnowany zgasił latarkę.

– Panie Marecki, a może to wszystko się panu przyśniło?

Marecki potarł zmarznięte ręce i spojrzał na Olkę.

– Panie leśniczy, kiedy mi się to nie przyśniło. Przysięgam!

Olko przypomniał sobie, że przez kilka lat męczyła go osobliwa przypadłość; rzeczywistość snu mieszała się z rzeczywistością realną i to pomieszanie było na tyle sugestywne, że sam nie był czasami pewien, co wydarzyło się naprawdę, a co tylko wynikało z przypadkowego przepięcia zmęczonych synaps w jego własnej głowie. Doszło nawet do tego, że nie potrafił odróżnić wspomnień ze snu, od tych na jawie. Uporczywie wracała w jego pamięci scena, kiedy siedział sam przy stole w kuchni i układał kiszoną kapustę na przedramionach zamiast na talerzu, by po chwili ze smakiem zjeść ją prosto z własnej ręki.

Czy to w ogóle ważne, czy wspomnienia są prawdziwe, czy nie? Czy coś, co nam się przyśniło wydarzyło się naprawdę? I czy ma to jakiegokolwiek znaczenie, skoro i tak każdy zapamiętuje wszystko inaczej i nie istnieje jedna wersja tego samego zdarzenia? – pomyślał Olko.

– Panie Marecki, zanim zacznę wydzwaniać na policję, muszę wiedzieć. Co ja zgłoszę Zrębali? Że pan zgubił stary składak w sto dwudziestym pierwszym oddziale? Że wracał pan pijany od Biedrzyka? Że ciemno było? Coś muszę im powiedzieć, zanim zjedzie się tu pół policji z miasta.

Marecki kucnął i wyjął z kieszeni watowanej marynarki radomskie.

– Jak tylko ją, tę oną zobaczyłem, to otrzeźwiałem. No gdzieś tu musi być, panie leśniczy, gdzieś tu wisiała. – Marecki zapalił, kaszlnął, splunął i spojrzał na popielatą ścianę lasu. Wokół panowała martwa cisza. Olko podążył za jego wzrokiem.

Gdzieś tu – westchnął w duchu. Jego wzrok odbił się od poszarzałej ściany drzew. Olko spojrzał na zegarek. Jego stara delbana z pękniętym szkiełkiem, którego nie wymienił od jakichś sześciu lat wskazywała 5.20. Jeszcze godzina, jeszcze godzina i wszystko stanie się jasne – pomyślał Olko, tak jakby pierwsze nieśmiałe promienie świtu miały w czarodziejski sposób wyświetlić trasę, którą w nocy przemierzał zrywkarz. Olko bardzo chciał zdenerwować się na Mareckiego i pewnie zrobiłby to, gdyby chodziło o źle zerwany pień czarnej olchy, ale nie umiał złościć się na ludzi, którzy nie zawalali własnej pracy. Po chwili Olko wyciągnął swoją paczkę papierosów i kucnął obok Mareckiego. Uświadomił sobie nagle, że robotnicy leśni to ludzie, którzy potrafią jeszcze kucać. Było w tym kucaniu jednocześnie coś organicznego i nieorganicznego; kucanie jest proste i niewymuszone, a jednocześnie obce naszej kulturze.

Czy ktoś jeszcze kuca oprócz robotników leśnych? – zastanawiał się Olko, patrząc, jak żar pożera papierosa. Czy ktoś musi jeszcze kucać,

oprócz tych, którzy pracują w lesie? Fakt, że Olko ukucnął, nagle zrównał go w hierarchii ze zrywkarzem. Leśniczy nie kuca, leśniczy zawsze stoi. Stoi nad kucającymi robotnikami – Olko uświadomił sobie, że nie widział żadnego kolegi leśnika, który by kucał, czy to przy ognisku, które często robotnicy rozpalali w lesie, czy to przy trwającym zrębie albo trzebieży. Można się ewentualnie oprzeć o drzewo, można się oprzeć o ułożony stos, można oprzeć nogę na świeżo ściętym pniu, ale kucać nie wolno, kucanie oznacza odstępianie od swojej pozycji. Olko dopalił papierosa i wstał. Marecki od razu skurczył się w jego oczach do właściwych rozmiarów. Złał się z szarością nadchodzącego świtu i przypominał teraz granitowy głaz, który strzegł anonimowej miedzy, zagubiony w czasie, cichy, bezradny i niemy.

Jeszcze chwila i doczekamy tu kolejnej wiosny – pomyślał Olko i poczuł, dlaczego ta godzina była najgorsza: można w niej było zagubić wzrok i stracić własne kontury, tak jak traci je każdy obiekt, który umieści się w polu jednorodnej szarości. Przekłęta godzina – pomyślał Olko i wtedy gdzieś ponad nimi, w górze po prawej odezwał się kruk, który musiał siedzieć na czubku pobliskiego drzewa: krr, krr, krr – wykrakał i ucichł. Olko poczuł, jak zimny wiatr wślizguje się pomiędzy rękaw jego kurtki a mankiet flanelowej koszuli, a włosy na przedramionach mimowolnie się unoszą.

– Idziemy – rzucił Olko i skręcił od razu w las.

Marecki poderwał się nerwowo i podbiegł do leśniczego.

– Ale dlaczego akurat tędy? – Uczepił się rękawa jego kurtki, jakby chciał go powstrzymać.

– Słyszał pan tego kruka, panie Marecki? – zapytał Olko. Nie był pewien, czy Marecki był w stanie wychwycić dźwięki z otoczenia. Marecki skinął głową.

– To idziemy za nim. On widzi więcej niż my.

Olko włączył maglite'a i wyszarpał się z uścisku Mareckiego. Wąski snop latarki wyświetlał młode świerki, które wyrosły tu bez żadnej kontroli i planu. Rozpleniły się przez lata jak gęste zasiałki, które zaciekle bronią dostępu do czarnych, podmokłych rozpadlin. Olko natarł na nie szybko i zdecydowanie. Czuł, jak młode gałęzie uginają się pod naciskiem jego ciała, smagając od czasu do czasu raz prawy, raz lewy policzek. Gdzieś nad nimi odezwał się ponownie jeden kruk, zaraz potem drugi. Olko wycelował latarką w górę: na tle ciężkiego, stalowego nieba, spod którego widać było

już pierwsze oznaki świtu, odcinały się dwie czarne sylwetki – jedna wyraźnie mniejsza od drugiej. Olko zauważył, że ptaki kołują nad jednym miejscem.

Może ty nas wyęcysz, krucza rodzinie, w poszukiwaniach, bo na Mareckiego nie można liczyć. Olko zamyślił się i na moment przystanął. Po chwili poczuł, jak na jego plecy wpada zasapany zrywkarz. Spod stalowego nieba odpowiedział mu w locie przeciągły, głęboki głos większego kruka, posępne i mocne jak gong: grooog, zupełnie jakby ptak usłyszał jego myśli. Olko opuścił latarkę, wzdrygnął się i ruszył dalej.

ROZDZIAŁ II

Aurora

I

Kiedy dotarli do leśnej strugi przecinającej oddział sto dwadzieścia jeden, właśnie świtało. Olko zgasił latarkę i patrzył, jak pierwsze promienie kwietniowego słońca liżą czarny, wąski ciek, pełen brązowych, przegniłych liści, które pobłyskiwały w słońcu, jakby ktoś zrosił je kroplami rtęci. Niektóre z liści odrywały się i płynęły w zwolnionym tempie, aby utknąć dwa kilometry dalej w zatkanym jazie pod starym, drewnianym mostkiem, przy którym znajdowała się granica lasu wiodąca do wsi Kapkazy. Olko dał większy krok i przekroczył strugę. Marecki włókł się za nim niemiłosiernie. Obaj czuli się zmęczeni i niewyspani, przemarznięci i zrezygnowani. Olko przystanął, kiedy doszli do pierwszej grobli i zaczął się rozglądać.

Stare groble, choć ogołocone i pokryte jeszcze wyleniałą trawą, która gdzieniegdzie przebijała jaskrawozielonymi kępkami, otoczone były zasiekami ze skłębionych jeżyn. Z daleka wyglądały niewinnie, ale Olko wiedział, że przedzieranie się przez splątane kłęby kłujących roślin, które sięgają czasami do piersi, to rodzaj męczarni, przez którą już kilka razy w życiu przechodził. Pożałował, że nie wziął lornetki, bo teraz byłoby mu łatwiej szczegółowo przyjrzeć się okolicy, ale założył, że nikt inny też przez ten gąszcz przedzierać by się nie chciał, i nie zdołał, bez użycia maczety. Skłębione i splątane krzaki jeżyn wyglądały na nietknięte. Wokół panowała martwa cisza – żaden ruch nie zakłócał pobladłego krajobrazu. Olko spojrzał w górę. Jakieś dwadzieścia metrów od niego na czubku wyschniętej brzozy siedział znajomy kruk. Ptak, podobnie jak on, obserwował okolicę. Nagle zerwał się i odleciał w stronę ujścia strugi. Olko miał przeczucie, że kruk zobaczył coś, czego on sam jeszcze nie widzi i ruszył wzdłuż strugi. Marecki dogonił go po kilku minutach.

– Panie Olko, ale ja strugi na pewno nie przekraczałem – zakwilił załośnię, jakby chciał odwieść leśniczego od obranego kierunku.

– Na pewno, to pan wczoraj nie był trzeźwy. – Olko szedł dalej.

Kiedy minęli groblę, znaleźli się w starszej części oddziału, gdzie trzebieży nigdy nie zrobiono: było to królestwo starych, na wpół wyschniętych brzoź, olch i buczyny. Niedaleko znajdowało się małe bajorko, do którego podchodziły zwierzęta. Olko spojrzął pod nogi i w rozmięklej, czarnej ziemi dostrzegł świeże tropy saren i dzików. Pomyślał o ciepłej herbacie z cytryną i pożałował, że nie zabrał termosu. Przygotowałem się do tej wyprawy jak cajmer – Olko zezłościł się sam na sobie. Mógł przewidzieć, że eskapada w towarzystwie Mareckiego może zająć tyle czasu, ale nie przewidział i teraz przeklinał w duchu swoją prostolinijność i zaufanie do bliźniego. Posuwał się naprzód, idąc w ślad za tropami saren i specjalnie nie rozglądał się na boki. Marecki człapał za nim. Olko czuł, że za chwilę wybuchnie, bo oprócz zmęczenia narastała w nim złość. Kiedy potknął się o wystający korzeń zapyziałego, porośniętego zielonym mchem dębu, zaklął siarczyście: Jebał go pies! Gdzieś z prawej trzasnęły suche patyki i przez strugę w popłochu przeleciało stado saren z licówką na czele. Na końcu biegł kozioł, który zatrzymał się na chwilę i popatrzył na ludzi.

Leśniczemu wydawało się, że samiec prychnął w jego stronę, jakby chciał go skarcić za niepotrzebne hałasy. Chwilę później podniósł do góry ogon, zamachał nim i pobiegł za łaniami. Olko szybko ocenił, że to typowy darniak – kozioł o marnym porożu i słaby. Pewnie ledwie przeżył zimę – pomyślał i zrobiło mu się żal zwierzęcia, którego czekał niepewny los.

Marecki podszedł do niego i złapał go za rękaw. Czego? – chciał już wrzasnąć, ale tylko się odwrócił. Marecki trzymał w ręku wnyki.

– Pełno tu tego. – Marecki pokazał kępę drzew za nimi, blisko rozkopanego babrzyska, w którym pewnie jeszcze wczoraj buchtowały dziki.

– Pozbieramy w drodze powrotnej, teraz niech pan lepiej roweru wypatruje, panie Marecki. – Olko wziął do ręki wnyki zrobione z taniego, lekko pordzewiałego cienkiego drutu. Trzeba będzie się tu jednak zapuścić tej wiosny – pomyślał, bo pod koniec zeszłego roku w samym tylko sto dwudziestym trzecim zebrał ponad sto wnyków.

Oddział sto dwadzieścia jeden graniczył z wioską i nic dziwnego, że akurat tutaj kłusownikom było bliżej i łatwiej, bo żadnych prac leśnych się

tu od lat nie wykonywało. W tej części oddział nawet wiosną sprawiał przygnębiające wrażenie – rachityczne, pokurczone drzewa, parowy i doły, zwalone gałęzie, uschnięte drzewa mieszały się z błotem, mchem i licznymi bajorkami o zastygłych, martwych taflach. Z daleka doszło ich szczekanie jakiegoś wiejskiego psa. Olko zarzucił wnyki na ramię i ruszył. Może to sprawka braci Staneckich? – pomyślał.

Bracia mieszkali wprawdzie po drugiej stronie lasu, ale słynęli ze swojego wyuczonego zawodu, brutalnego kłusownictwa. Po śmierci matki zamknęli się w domu. W przerwach od picia alkoholu wychodzili tylko do lasu, który mieli za płotem. W okolicy wszyscy się ich bali, bo byli nieobliczalni. Sąsiedzi do nich nie zaglądali, nawet wtedy, kiedy od strony ich podwórka dochodziły odgłosy bijatyki, a nawet strzałów. Uspokoilo się dopiero, kiedy jeden z braci trafił wreszcie do więzienia.

Tadek, młodszy, podczas jednego z pijackich maratonów zaczął rowerzystę, który od strony ich rozpadającej się chałupy ośmielił się wjechać do lasu. Zaczepienie zakończyło się ciężkim pobiciem, kradzieżą portfela i roweru. Portfel i rower policja znalazła godzinę później w stodole. Sam Tadeusz był tak pijany, że nie mógł wejść do radiowozu. Kiedy wytrzeźwiał opowiadał policjantom, że zobaczył, jak na rowerze jedzie rosty kundel od Walickich – najbliższych sąsiadów. Musiał go zaatakować, bo przecież psom nie wolno wchodzić do lasu bez smyczy i bez kagańca, a tym bardziej na rowerze. Walicki, który wzorem wszystkich okolicznych mieszkańców trzymał swojego kundla na łańcuchu, zeznał, że osobiście widział, jak bracia Staneccy zbierali w sezonie czerwone muchomory i robili na nich zalewajkę, po której błakali się na własnym podwórku dziwnie przygarbieni, od czasu do czasu przysiadając na pieńkach pod drewnutnią. Może więc atak na rowerzystę miał miejsce podczas hipnagogii Tadeusza, który żywił się wyłącznie tym, co znalazł za płotem? Olko miał okazję poznać jedynie starszego z braci – Henryka, bo kiedy obejmował leśnictwo, Tadeusz wciąż odsiadywał wyrok. Nie paliło mu się do wizyty u Staneckiego. Kiedy był tam ostatnim razem ze strażą leśną, znaleźli w drewnutni porąbanego psa Walickich. Widocznie i starszy brat nie mógł znieść myśli, że pies sąsiadów potrafi jeździć na rowerze. Staneccy kłusowali notorycznie i nawet specjalnie się z tym nie kryli.

Na podwórku trzymali zwoje drutu, stare kable, pordzewiałe siewniki, metalowe rurki i pręty używane do zbrojenia betonu. Do zrobienia wnyków

wystarczył kawałek zwykłego drutu. Olko splunął, bo na myśl o wizycie w obejściu Henryka zaschło mu w gardle.

II

Leśniczy Olko dochodził już prawie do końca strugi, kiedy za plecami usłyszał przeraźliwy wrzask Mareckiego. Był to rodzaj okrzyku, który może wyrwać się jedynie z trzewi człowieka śmiertelnie przerażonego – krzyk nieludzki, bo zwierzęcy – pomiędzy okrzykiem pójdzki, a wyciem rodzącej kobiety.

Olko odwrócił się gwałtownie, żeby sprawdzić, czy to na pewno Marecki wydał z siebie ten okrzyk, który w niezmaconej ciszy poranka zabrzmiał tak przejmująco. Zrywkarz był jakieś siedem metrów od niego, klęczał przed kępą drzew, które zasłaniały leśniczemu widok. Olko szybko do niego podbiegł. Zrywkarz trząsał się cały, kiwał się rytmicznie w przód i w tył i patrzył przed siebie, jakby pomiędzy drzewami objawił mu się co najmniej jakiś święty, jeśli nie sam Pan Bóg. Olko podążył za jego wzrokiem i po chwili zobaczył to, co takim przerażeniem wypełniło zrywkarza.

Leśniczy zdążył jeszcze wypowiedzieć głośne: mój Boże, chociaż w Boga nie wierzył i poczuł, że zaraz zemdleje. Odszedł parę kroków od Mareckiego i oparł się o pień młodego świerka. Odwrócił wzrok i usłyszał jak zrywkarz wymiotuje, głośno charcząc i wypluwając resztki przetrawionego alkoholu. Zapach rzygowin po chwili doszedł do niego i Olko poczuł, że sam zaraz zwróci ostatni posiłek. Wziął kilka głębokich oddechów. Fala mdłości minęła, ale Olko bał się odwrócić wzrok, chociaż wiedział, że musi. To był jego las i jego obowiązek. Cokolwiek wydarzało się na tym terenie, musiał być przy tym obecny: wszystko jedno, czy chodziło o kradzież drewna, bezpieczeństwa psa czy trupa.

Olko postanowił odłożyć ponowną konfrontację z koszmarnym widokiem na później i skoncentrować się na czynnościach służbowych, które wymagały prostych działań.

Spojrzał na zegarek. Była 5.47. Potem przeniósł wzrok na Mareckiego, który nie mógł przestać patrzeć na wiszącego na drzewie trupa.

– Panie Marecki! – krzyknął głośno. – Niech pan tu podejdzie i usiądzie pod drzewem!

Marecki zachowywał się tak, jakby nie usłyszał jego głosu, ale po chwili zaczął się cofać na kolanach krokiem osoby odchodzącej od ołtarza, która boi się odwrócić wzrok. Kiedy dotarł w końcu pod drzewo, był bledszy niż jego znalezisko. Zrywkarz wciąż się trząsał, a jego głowa była mokra od potu.

Olko nie był w stanie odróżnić głodu alkoholowego od szoku: to mogło być jedno i drugie.

Marecki znów zapatrzył się w stronę kępy.

– Ona... – wyszeptał, ale Olko brutalnie mu przerwał.

– Ona nie żyje, panie Marecki.

Leśniczy wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer Zrębali.

III

– Olko, chyba nie dzwonicz w niedzielę rano, żeby mnie na ryby wyciągnąć? – Zrębala odebrał dopiero szóste połączenie. Głos miał zdarty i zaspany.

– Nie, robotę dla ciebie mam – odpowiedział spokojnie Olko, bo Zrębalego poznał w tym samym roku, kiedy objął leśnictwo i czasami, kiedy chcieli mieć święty spokój, uciekali w niedzielne poranki nad leśne stawy pod Cukrowiznę. Ryby były dodatkiem.

– Co tam? Znow ci ktoś górę śmieci do lasu podrzucił? – dopytywał Zrębala.

– Gorzej. Ktoś mi podrzucił do lasu trupa.

Po drugiej stronie zapanowała cisza, choć Olko słyszał, jak Zrębala wzdycha i szeleści zmiętą paczką papierosów.

– Niedzielną niespodzianka? – zapytał po chwili Zrębala.

– Nie wiem, czy nie sobotnia, a może nawet piątkowa? Oględziny zostawiam tobie, nie chciałem przyglądać się zbytnio tej dziewczynie, wystarczy, że Marecki się napatrzył.

– Dziewczyna? To on ją znalazł? – dopytywał Zrębala.

– Tak, w nocy, przez przypadek, po pijaku i po ciemku.

– Nie zazdroszczę mu. I tak będzie musiał się tłumaczyć...

Zrębala wziął głęboki wdech i głośno wypuścił powietrze.

– Będę do godziny. Gdzie mam wjechać?

– Czekam od strony Kapkaz. I weź ze sobą coś do picia, kanapkę jakąś, bo jestem na nogach od czwartej. Będę na ciebie czekał przy tym niebieskim rozwalonym domku, wiesz którym?

Zrębala wypowiedział tylko zwięzłe: mhm i się rozłączył.

Olko podszedł do Mareckiego, który siedział nieruchomo pod drzewem i ciągle wpatrywał się w miejsce swojego znaleziska.

– Panie Marecki, policja niedługo będzie. – Zrywkarz nie zareagował. – Może do żony zadzwonić pan chce, żeby się nie martwiła? Bo jeszcze tu posiedzimy – zaproponował Olko.

– Możemy siedzieć. Zwykle od Biedrzyka i tak po południu wracałem, nie wiem, co mnie tak ciągnęło wcześniej dzisiaj? Może ona?

Może? Może taki pożytek będzie z tego zdarzenia, że Marecki rzuci wóde – pomyślał Olko i sam oparł się o drzewo. Wzrok Mareckiego był szklisty jak brzeg musztardówki.

IV

Zrębala wziął go pod ramię i razem ruszyli w stronę kępy drzew. Zatrzymali się w odległości pięciu metrów, żeby nie zadeptać potencjalnych śladów. Pomiedzy dwiema olszynami umieszczone było ciało młodej dziewczyny, chociaż słowo „umieszczone” nie było odpowiednie. Olko i Zrębala wpatrywali się w nie przez dłuższą chwilę. Dziewczyna została bez wątpienia uduszona: metalowe wnyki oplatały jej szyję, ale otwarte jasne oczy nie zdradzały strachu czy bólu – były spokojne. Jej ciało ktoś w całości podwiesił na wysokości dwudziestu centymetrów nad ziemią; bosc stopy zwisały pionowo, a palce ugrzęzły w roztopionym błocie. Nogi obwiązano dookoła drutem, który był połączony z kolejnym opasującym klatkę piersiową. Z tyłu na plecach trzeci, mocniejszy drut, przypominający cienką, stalową linkę prowadził do skośnej gałęzi olszy, która dźwigała ciało. Dziewczyna była naga, na jej ciele nie było widać żadnych zewnętrznych obrażeń – wyglądała jak uwięziony pomiędzy drzewami elf – miała jasne, upięte w kucyk włosy, bladą, kremową skórę, małe piersi i jasne włosy łonowe.

Zrębala spojrział na Olkę, który miał zatroskaną minę, jakby chciał okryć dziewczynę kocem lub płaszczem, którego nie miał.

– Nie wygląda, jakby sama się powiesiła... – Zrębala wyjął z kieszeni notes. Nie ruszając się z miejsca, zaczął spisywać to, co widzi. – Będziesz miał tu na głowie jeszcze dziś całą ekipę dochodzeniową. Sprawę na pewno przejmie wojewódzka. My jesteśmy za ciency, gdyby to chociaż samobójca był, to wtedy łatwiej. Ale to jakiś pojeb musiał zrobić? Jak myślisz?

– Nic nie myślę, co mam myśleć? W życiu czegoś takiego nie widziałem. – Olko popatrzył bezradnie na Zrębale.

– A myślisz, że ja widziałem? – Zrębala też miał kwaśną minę. – Na pewno zrobił to jakiś pojebaniec z okolicy. Przecież nikt obcy by tego nie zrobił. Nie tutaj.

– Skąd to możesz wiedzieć? Ludzie mają różne pomysły. Zdziwiłbyś się, gdybyś chociaż raz w niedzielę zajrzał na parking leśny, ilu obcych tu przyjeżdża. Rejestracje z całej Polski.

Zrębali ta argumentacja nie przekonała.

– Za większością takich spraw stoją lokalni. Zobaczysz, znajdziemy go w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Olko popatrzył w jasne, otwarte i nieruchome oczy martwej dziewczyny.

– Naprawdę wierzysz, że to będzie aż takie proste?

*

Po zakończeniu wstępnych oględzin Zrębala zaczął wypytywać Mareckiego o szczegóły wczorajszej nocy. Marecki zachowywał się dziwnie: był markotny i przybity. Mówić nie chciał. Twierdził, że wszystko już powiedział. Olko pomyślał, że im wszystkim przydałby się teraz jakiś specjalny zastrzyk, ale nie uspokajający, tylko taki, który pozwoli bezboleśnie wymazać obraz martwej dziewczyny z pamięci.

*

W przeciwieństwie do Zrębali Olko nie chciał za bardzo przyglądać się powieszanej dziewczynie. Wystarczyły mu dwa, trzy spojrzenia – i tak wiedział, że szybko nie pozbędzie się obrazu tego umęczonego ciała. Mimo zamkniętych oczu, obrazy wracały do niego w natrętnych detalach: okolone jasnoróżowymi sutkami piersi – ledwo wyrośnięte – małe i delikatne, chude dłonie pokryte niebieską, wypukłą siatką żył – stężała krew nabrała już burgundowo-szarego koloru i żyły wyglądały tak, jakby były na zewnątrz, a nie pod skórą. Ale najgorsze były oczy: jasne, wybałuszone, wodniste,

rozwarła do granic możliwości. Na płowych rzęsach osadziła się rosa, która zaczęła spływać po policzkach. Wyglądało to tak, jakby dziewczyna, nieżywa pewnie od kilkunastu godzin, płakała. Olko się wzdrygnął. U stóp dziewczyny zgromadziły się już zastępy chrząszczy grabarzy, których czarne, chitynowe pancerze tworzyły szczelny, poruszający się dywan, chrzęszczący i falujący. Owady zderzały się, walcząc ze sobą i próbowały wejść wyżej. W efekcie stopy dziewczyny przysłonięte były już prawie całkowicie ich ciałami – grzęzły w czarnej masie niczym w błocie, wyglądały jak w krótkich, czarnych grubych skarpetach. Kiedy Olko przypatrzył się tej pierwszej fali padlinożerców, zauważył, że nadlatują ze wszystkich kierunków. Za czarnymi grabarzami nadciągały mrówki.

Widział te chrząszcze nie raz, ale nie w takiej masie. Zwykle pojawiają się tam, gdzie z pomocą doskonałego węchu wyczują martwą mysz, nornicę czy kreta, no może lisa. Ale człowieka? Jeśli ludzie szybko nie odetną ciała, kto wie? Może chrząszcze zdążą zakopać koniuszki jej palców pod ziemią? – pomyślał Olko i przypomniała mu się historia, którą opowiedział mu kiedyś Banaś, kolega z sąsiedniego leśnictwa.

V

Banaś, w przeciwieństwie do Olki lubił polować. Olko rozumiał potrzebę spędzania czasu w lesie – sam to lubił, ale nie rozumiał zbytnio zamiłowania do polowania. Należał wprawdzie do koła łowieckiego, bywał na polowaniach, ale miał opinię osoby, która zawsze pudłuje. Koledzy nadali mu nawet złośliwe przezwisko Perukarz, co w odniesieniu do człowieka sugerowało kogoś pozbawionego pierwszorzędných cech płciowych, o czym Olko oczywiście nie wiedział. Prawda jednak była bardziej prozaiczna: Olko jeździł na polowania, żeby spotkać się z kolegami, napić wódki i podyskutować o polityce. Kompletnie nie był w stanie zrozumieć męskiego pędu do zabijania, rywalizacji i kolekcjonowania tych wszystkich biednych, powyginanych, źle wyrosniętych poroży, o które tak rywalizowali. Najbardziej lubił moment rozpalania ogniska – kiedy piersiówka zaczynała wędrować z rąk do rąk, a wokół zapadał zmierzch. W ostatnich latach Olko w ogóle przyjeżdżał dopiero na samo ognisko, przywożąc w garach od żon leśników ciężkostrawne zupy. Nadano mu nowe przezwisko: Zaopatrzeniowiec, o

którym też nic nie wiedział. Spośród jego kolegów Banaś był najbardziej zawziętym myśliwym; nie lubił odpuszczać – jeśli jakieś zwierzę zostało postrzelone i zdołało uciec, to Banaś pierwszy podejmował się niewdzięcznego zadania wytropienia ofiary, nawet gdyby miało to trwać kilka albo kilkanaście godzin. Na polowania zawsze zabierał ze sobą ukochanego posokowca bawarskiego o imieniu Ferdynand, ciągle z nim rozmawiał i spędzał z psem więcej czasu niż z własną żoną. Może to żona była przyczyną pasji Banasia? Olko wolał tego nie analizować. Lubiał, kiedy Banaś snuł swoje opowieści, bo one zastępowały mu kontakt z rzeczywistością, której tak nie lubił, a która przecież była tuż obok. Banaś miał w nim wiernego słuchacza – wszyscy poza niepolującym leśniczym znali przygody Banasia niczym swoje własne.

*

Olko patrzył na rzekę grabarzy, które nadchodziły zwartą kolumną, jakby w całym lesie znajdował się tylko ten jeden trup. Wtedy, kiedy Banaś siedział z nim przy ognisku i łagodnie głaskał Ferdynanda po ciemnym pysku, jego opowieść o tym, jak dopadł w końcu parchatego zająca, którego nie chciał podjąć, ale postanowił zobaczyć, co się dalej stanie, nie wywarła na nim większego wrażenia.

*

„Szarak był lichawy. Ferdynand nie musiał go nawet łapą przyduszać, bo kiedy go znalazłem pod krzakiem jałowca zdążył już paść. Podeszedłem do niego i oceniłem, że nawet na pasztet nie warto go brać. Cały był sparchaciały, chory jakiś, może nawet wściekły, czy coś? Skórka podziurawiona śrutem – akurat dostał po plecach – komu się chce dziś wyprawiać? Więcej roboty niż pożytku. Ale jakoś tak rześko było i wcale mi się nie chciało wracać. Ferdynand też się jeszcze nie wybiegał. Usiadłem pod drzewem, wyjąłem z chlebaka kanapkę i zacząłem zajadać drugie śniadanie. Jakoś tak instynktownie czekałem, co się wydarzy. Po jakiejś godzinie zauważyłem, że nadleciał jakiś duży chrząszcz, na oko grabarz, potem sprawdziłem, pospolity, taki z pomarańczowym nalotem na pokrywach skrzydeł, a potem drugi, trzeci, piąty. Po dwóch godzinach już była chmara. Na początku robale tak jakby łąziły wokół. Trochę włąziły na zająca, nic nie robiły, ale ciągle przylatywały następne i po kilku godzinach tyle ich siedziało na tym sparszywiałym zającu, że nie było widać futra,

tylko te chrząszcze. Zadzwoiłem do żony, że nie przyjadę na obiad, bo nie chciało mi się oglądać jej nadętej miny. Czy ty wiesz, że ona z łóżka wychodzi i śpi na wersalce, jeśli Ferdynand kładzie mi w nocy głowę przy łóżku? Ciągłe narzeka, że on śmierdzi. Gównem śmierdzi, ale nie mój pies – mówię wtedy. Ostatnio zaczęła go bić ścierką, jak tylko do kuchni wejdzie, więc obiady wolę sam jeść niż z nią. Odgrzewam sobie albo do Bychlewianki jadę na pyzy. No i tak mija, proszę ja ciebie, następne kilka godzin, a te cwaniaki ryją, tak, kopią pod tym zającem! Patrzyłem na to, bo to lepsze niż telewizor, i czy ty wiesz, że po piątej wieczorem to one tego szaraka całkiem w ziemi zakopały? Omarlice to są. Tyle lat po lesie łązę, a jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Potem dopiero wyczytałem, że u nas żyje aż osiem gatunków, a człowiek jeden albo dwa w życiu widzi. Jeśli widzi! – Twarz Banasia wykrzywiła się w uśmiechu. – Jeśli widzi, bo gdybym nie poczekał, to bym nie zobaczył”.

*

– Masz tu kawę. – Zrębala podał mu plastikowy kubek od termosu.

Olko wziął kubek w dłonie, otworzył oczy i poczuł się nagle bardzo zmęczony.

– Za pół godziny będzie ekipa dochodzeniowa. Jak zabiorą ciało, będziesz mógł wrócić do leśniczówki. Gdzie zaparkowałeś malucha?

– Zabrakło mi benzyny w połowie Drogi Dłutowskiej.

Olko spojrzał na Zrębale, który był dużo młodszy od niego. Nie wyglądał na szczególnie przygnębionego ani poruszonego widokiem trupa.

– Jak myślisz, ile ona może mieć lat? – zapytał Olko.

– Może mieć siedemnaście, a może dwadzieścia trzy, a może dwadzieścia pięć, nie wiadomo. W dowodzie nie sprawdzałem. – Zrębala roześmiał się, ale Olko milczał. – Jak dochodzeniówka zgarnie ciało, to pewnie zacznie się poszukiwanie i zabezpieczanie śladów. Zobaczymy kogo przyślą. Jeśli Krajewskiego, to pewnie będzie szybciosem, ale gorzej, jeśli przyślą Śliwińską. Przez tydzień się stąd nie ruszą.

– Niech robią, co chcą. Pytanie, czy to coś da? Jak spadnie deszcz, to i tak wszystko utonie w błocie. – Olko spojrzał na wilgotną ziemię przykrytą przegniłymi liśćmi.

– Szkoda, że drzewa nie potrafią mówić, od razu byłoby po sprawie, nie? – rzucił Zrębala i spojrzał w kierunku kępy drzew, gdzie uwięzione było ciało.

– Może potrafią, tylko my nie rozumiemy ich języka? – powiedział Olko.

Zrębala poklepał młody świerk, o który opierał się leśniczy.

– No, mów, stary, zamieniam się w słuch – zakpił pod nosem, po czym zaczął się głośno śmiać.

– Nie śmieję się. On czuje twoją obecność i potrafi odróżnić kolor niebieski, czerwony i zielony. – Olko nie mógł zrozumieć, co tak śmieszyło jego kumpla.

– O, to przepraszam, przepraszam! – Zrębala zasalutował drzewu z pełną powagą, ale po chwili znowu zaczął chichotać, jakby za grosz nie wierzył poglądom leśniczego. W jego odczuciu takie stwierdzenia pasowały do jakiegoś pseudoszamana ze zrytym beretem, a nie do kumpla, z którym chodził od czasu do czasu na ryby.

ROZDZIAŁ III

Beatrycze

I

Śliwińska kochała swoją pracę tą samą miłością, jaką Olko obdarzał las: nie wyobrażała sobie, że mogłaby w życiu robić coś innego. Olko kochał drzewa, a Śliwińska trupy. Gdyby oboje chociaż raz w życiu udali się na terapię, na pewno poznaliby prawdziwe przyczyny swoich pasji. W przypadku Olki, który urodził się pięć lat po wojnie, o terapii pierwszego powojennego pokolenia socjalistycznej ojczyzny przecież nikt nie myślał. To był imperialistyczny wymysł, a sensowność samego procesu nie dotarła do jego pokolenia, mimo popularności wczesnych filmów Woody’ego Allena, w których bohater w każdej odsłonie analizował żydowską tożsamość na kolejnych kozetkach. Śliwińska natomiast była za młoda, chociaż to właśnie jej pokolenie masowo szturmowało wydziały psychologiczne w całym kraju – wcale nie po to, by pomóc innym, tylko by pomóc przede wszystkim sobie. Większość jej koleżanek z liceum chciała studiować psychologię. Niektórym nawet się udało, ale czasy transformacji wprowadziły w życie tego pokolenia jeszcze więcej zamętu i niepewności. Tożsamość pozostawała nieuchwytna niczym handlowe szlaki, którymi docierały do Polski zachodnie produkty. Śliwińska studiowała i interesowała się psychologią, jeśli odnosiło się to do jednej dziedziny: sprawcy. Niestety w codziennej, żmudnej pracy policyjnej miała do czynienia z przypadkami tyleż tragicznymi, co trywialnymi: z reguły przyczyną zbrodni była przemoc domowa i alkohol. Do sprawcy docierała szybko, bo rzadko sprawy, którymi się zajmowała, wychodziły poza krąg rodziny. Zresztą za sprawy ważniejsze, skomplikowane czy medialne odpowiadał jej szef – Edmund Krajewski. Jej, smarkuli w spódnicy, przypadały samobójstwa i wypadki z udziałem ludzkiego ciała – od potrażeń po śmierć na torach. Śliwińska spotykała więc pijanych

konkubentów, którzy trzeźwili dopiero po zasztyletowaniu nieposłusznej konkubiny i nietrzeźwych kierowców, którzy mieli tak ograniczone pole widzenia, że nie zauważali pobocza i idących nim osób; zamykała kobiety, które doprowadzone do ostateczności tłukły tłuczkiem głowy swych oprawców niby schabowe z kością; oglądała ciała nieszczęśliwych młodzieńców, którzy wybrali skok z siódmego piętra zamiast ramion kolejnej dziewczyny; spoglądała na starzejące się żony, co przedawkowały leki uspokajające po wyjściu na jaw, że mąż wymienił je na kochanki w wieku dorastających córek; wreszcie mogła podziwiać ofiary czystej głupoty, jak pan Lesław, który założył się z kolegą, że zje kilogram trutki na szczury i przeżyje. Dlatego jadąc na miejsce, zastanawiała się, czemu dziś z ekipą jedzie właśnie ona? Może dlatego, że była niedziela i Krajewski zwyczajnie chciał mieć święty spokój?

*

W samochodzie trzęsło. Jechali lokalną drogą na Dłutów. Na skrawie do wsi Kapkazy czekał już na nich polonez Zrębali. Kiedy Śliwińska dotarła na miejsce i spojrzała z odległości kilku metrów na wiszącą pomiędzy drzewami dziewczynę, poprosiła, żeby nikt nie podchodził. Wyjęła z kurtki aparat i zaczęła robić zdjęcia. Pół godziny później Śliwińska wzięła pod rękę Matraszka, technika policyjnego i stanęli naprzeciwko Olki i Mareckiego. Wyciągnęła do nich rękę, po czym mocno uściśnęła dłoń leśniczego. Marecki, który wciąż siedział pod drzewem ręki nie podał. Matraszek przywitał się w milczeniu, skinął tylko głową, w pulchnych rękach trzymał srebrną walizkę.

– Marta Śliwińska, wydział dochodzeniowo-śledczy Komendy Miejskiej w Łodzi. Pan tu rządzi? – Zerknęła na Olkę.

Olko uśmiechnął się półgębkiem i spojrzał na Śliwińską.

– Drzewami rządzić się nie da, można je zasadzić albo wyciąć, ale tak, jestem tu leśniczym, czyli kimś, kto za teren lasu bezpośrednio odpowiada.

– Olko wolał od razu się wytłumaczyć, żeby uniknąć nieporozumień.

Śliwińska przytaknęła.

– Ile ma pan tego terenu? – pytała dalej.

– Dokładnie tysiąc dwieście trzydzieści sześć hektarów – odpowiedział rzeczowo.

Śliwińska zamyśliła się i rozejrzała dookoła.

– Sporawo...

– Więcej niż w Lesie Łagiewnickim – uściślił.

– Serio? Zawsze myślałam, że to Łagiewnicki jest największy. – Śliwińska uśmiechnęła się i od razu przypomniał jej się pewien wisielec, którego znaleziono tam dwa lata temu.

– Zgadza się, bo to największy las w obrębie miasta w Europie, ale chyba nie o lesie będziemy gawędzić?

Dochodziła dziewiąta i Olko poczuł, że teraz najchętniej położyłby się na wersalce pod starym wełnianym kocem, który pamiętał jeszcze lata osiemdziesiąte, i spokojnie zasnął.

*

Śliwińska wzięła Olkę pod ramię i odeszli kilka kroków.

– Panie leśniczy, za chwilę do zbierania śladów przystąpi technik, ale to nie wygląda dobrze. – Odwróciła głowę w stronę ciała, zamyśliła się i spojrzała przed siebie.

Dopiero teraz Olko zauważył, że musi być młodsza, niż mu się wcześniej wydawało. Miała jasną, przejrzystą cerę, piwne oczy i gładkie, krótkie włosy w mysim kolorze. Gdyby się malowała, jej uroda może przybrałaby jakąś określoną formę, ale Olko nie zauważył żadnych śladów szminki czy tuszu do rzęs. Policjantka wyglądała neutralnie, ale ruchy miała kanciaste, męski, mocny uścisk dłoni, stanowczy ton. Widać, że była wytrenowana w pracy z mężczyznami. Typ kobiety głęboko ukrywającej swoje damskie „ja” – pomyślał Olko i mimowolnie spojrzał na jej biust, który był mały lub dobrze ukryty pod granatową, sportową kamizelką.

– Musimy dać czas Matraszkowi. To świetny specjalista, ale gdyby to było mieszkanie albo pomieszczenie... Tu i dwóch techników policyjnych miałoby co robić przez trzy dni. – Śliwińska wyciągnęła paczkę papierosów z kieszeni i zwróciła się w stronę Olki. – Pali pan? – zapytała.

Olko przytaknął, ale wyciągnął swoją paczkę.

– No tak, las to magazyn otwarty... – Uśmiechnął się gorzko. – Trudno dopilnować, ale prędzej czy później i tak wszystko staje się jasne. Trzeba tylko umieć patrzeć – zakończył tajemniczo, żeby podtrzymać rozmowę ze Śliwińską, bo spodobało mu się jej opanowanie i dojrzałość.

– Tak? I co pan zauważył, patrząc na trupa tej dziewczyny?

– Za bardzo nie chciałem się przyglądać, ale widać, że ten, kto to zrobił ma chyba jakieś pojęcie o polowaniu. I musiał być silny, bo udusić kogoś od tyłu, za pomocą wnyków to nie jest, za przeproszeniem, zabawa z łanią.

- A pan ma pojęcie o polowaniu? – zapytała Śliwińska.
- Chodzi pani o to, czy umiem upolować zwierzę? – dopytał Olko.
- Nie, czy umiałby pan tak podwiesić ludzką łanię, tak ładnie i delikatnie, jak zrobił to ten ktoś, kogo dzieło musieliśmy oglądać?
- Olko poczuł, że Śliwińska zaczyna z niego lekko pokpiwać.
- Nie, tak ładnie nie. Chyba że miałbym kogoś do pomocy, a najlepiej kogoś, kto zrobiłby to za mnie. – Olko uświadomił sobie, że nigdy nie sprawił żadnego zwierzęcia. Przypomniawszy mu się tylko jeden skłusowany w latach osiemdziesiątych zajac. Wywiesił go na strychu, żeby skruszał, i w połowie zżarły go koty. Zajac przez wiele lat obciążał jego sumienie wspomnieniem szarego, wyskubanego futerka wiszącego na strychowej belce.
- Czyli sugeruje pan udział większej liczby osób w tym przypadku? – Śliwińska nie odpuszczała.
- Jestem tylko zwykłym leśnikiem. Niczego nie sugeruję. – Olko rozłożył ręce.
- To może być cenna uwaga. Niech pan nie będzie taki skromny. – Śliwińska rzuciła niedopałek i wdeptała go w ciemne, wilgotne olchowe liście. – A ten, co znalazł ciało? Ma pan na jego temat jakieś zdanie?
- Marecki? Szczerze mówiąc, nie wiem, jak on się tu znalazł po nocy...
- Na pewno krokiem pijanego – odpowiedziała Śliwińska. – Muszę go przesłuchać, zdjąć odciski, odlew buta zrobić. Jak przyjedzie ambulans po ciało, poproszę chłopaków, żeby dali mu coś na uspokojenie. On się cały trzęsie. – I ruszyła energicznym krokiem w stronę drzewa, pod którym siedział zrywkarz.

II

Zmierzchało. Śliwińska rozcierała zmarznięte ręce, stojąc pośrodku salonu w leśniczówce Olki. Był to duży pokój z kominkiem, z jednym małym stołem dla czterech osób, poprzecieranym tureckim dywanem leżącym na zapadającej się podłodze, fotelem obok kominka i ośmioma regałami wypełnionymi niedbale ułożonymi książkami, które piętrzyły się też w stosach układanych na górze półek, a częściowo na podłodze. Policjantka spodziewała się wypchanych zwierząt, żyrandola z poroża jelenia, dubeltówki wiszącej na ścianie albo chociaż skóry z dzika, która

leżałaby przed kominkiem. Książek się nie spodziewała. Nie w takiej ilości i nie w tym miejscu.

Olko podszedł od tyłu z kubkiem gorącej kawy.

– Kawa, niestety tylko parzona, rozpuszczalnej nie mam – powiedział w stronę pleców Śliwińskiej, która gwałtownie się odwróciła. Nie była w stanie opanować zdziwienia i wzięła od Olki kubek, nie patrząc mu w oczy.

– Myślałam, że będzie tu więcej leśnych gadżetów. – Śliwińska rozejrzała się jeszcze raz po wnętrzu, jakby chciała uchwycić się czegoś, co pozwoliłoby jej wpasować Olkę w bezpieczne wyobrażenie o tym, jak wygląda wnętrze typowej leśniczówki, ale wypatrzyła jedynie czarnobiały rysunek dramatycznie osamotnionego drzewa zamknięty w cienkich ramkach.

– Mogę panią zabrać do moich kolegów leśników. Oni mają ich dużo. Kolega z sąsiedztwa kolekcjonuje poroża, inny ma kilka wypchanych ptaków, od jastrzębia po słonkę, jeszcze inny hoduje posokowce... – Olko zaczął wyliczać.

– Pan ma za to kominek, to wystarczy – ucięła Śliwińska i udała się w stronę fotela, zanim Olko jej to zaproponował.

– Zaraz rozpale, niech się pani rozgości – dodał poniewczasie, patrząc, jak Śliwińska następuje na przegniłą deskę, która wydała nieprzyjemny odgłos pękającego drewna. Olko spojrzał na dywan skrywający zapadającą się podłogę. – To bardzo stary dom, jeszcze przedwojenny. Kiedyś była tu nadleśniczówka, ale w latach siedemdziesiątych przeniesiono siedzibę nadleśnictwa do Kolumny i teraz to jest moje centrum dowodzenia. – Olko zaczął się usprawiedliwiać, chociaż powinien już dawno naciskać nadleśniczego, żeby wymienił tę podłogę.

– Tak, czuje się klimat – potwierdziła Śliwińska, ale on nie był pewny, czy policjantka mówi poważnie, czy żartuje.

Palił w kominku rzadko, ale dziś było przenikliwie chłodno i nic nie wskazywało na to, że wiosna zamierza w ciągu najbliższych dni być łaskawsza. Śliwińska wyjęła z kieszeni kamizelki notatnik i zaczęła go wertować.

– Matraszek jest załamany. Na ciele denatki nie znalazł żadnych odcisków, co więcej, w okolicy znalazł wyłącznie odciski butów, które należały do pana i do Mareckiego, a przecież ten, kto umieścił ciało w tym miejscu, jakoś musiał je tam przytaszczyć? Marecki zeznał, że w nocy po przebudzeniu potknął się, a kiedy wstał, zobaczył z odległości kilku metrów

ciało. Faktycznie jego odciski znajdują się dokładnie w odległości siedmiu oraz pięciu metrów od ciała. Mamy za to liczne tropy zwierząt tuż obok ciała. Chyba dziki i lisy, co może mi pan potwierdzić po obejrzeniu zdjęć. Na razie wszystko wskazuje na to, że musiały to zrobić zwierzęta. – Śliwińska westchnęła, a Olko zaczął się zastanawiać, czy się nie przesłyszał. – Jutro ciało zostanie poddane sekcji i dalszym oględzinom. Również jutro przyjedzie dodatkowa ekipa, która przeszuka teren w promieniu pięćdziesięciu metrów od miejsca znalezienia ciała. – Śliwińska mówiła jednostajnym tonem, jakby wypowiadając słowa, sama jeszcze raz analizowała sytuację.

Olko zaczął się zastanawiać, czy nie jest jedynie biernym słuchaczem, ale po chwili Śliwińska powiedziała wprost do niego:

– Musi mi pan pomóc! – Zabrzmiało to jak rozkaz, a nie jak prośba. – Ma pan przewagę nad mordercą. Na pewno zna pan swój las lepiej od niego...

III

Siedzieli przy stole nad gorącym żurkiem, który Olko odgrzał na gazie. Pomiedzy nimi a talerzami z resztkami wczorajszej zupy, stał na stole koszyk z nierówno pokrojonymi przez leśniczego pajdami wiejskiego, żytniego chleba o twardej skórce oblepionej mąką. Śliwińska, jedząc zupę, wpatrywała się w rozłożoną obok talerza mapę lasu, którą leśniczy przyniósł z kancelarii. Górna warga policjantki utyłana była mąką. Olko widząc z jakim skupieniem kobieta bada topografię terenu, nie miał odwagi przerwać jej i powiedzieć: ma pani mąkę pod nosem. W ostatniej chwili ugryzł się w język. Brzmiałoby jak: ma pani mleko pod nosem. Olko na wszelki wypadek przetarł swoje usta wierzchem dłoni.

W pokoju zrobiło się cieplej, wewnątrz spowijał nie miły aromat palonego drewna, które strzelało w kominku, tylko gęsty, siny dym z papierosów. Po zjedzeniu zupy Śliwińska zaciągnęła się głęboko i wychrypiała:

– Musimy na potrzeby tego śledztwa zrobić pewne założenia. Zakładam, że morderca, jak każdy człowiek, kieruje się wygodą, dlatego nie szedłby przez pół lasu tylko po to, by kogoś udusić akurat w oddziale

sto dwadzieścia jeden. Musiał mieć jakiś powód, dla którego zrobił to właśnie tam. Może dlatego, że do wsi Kapkazy było najbliżej?

– Ale równie dobrze mógł podjechać samochodem Droga Dłutowską, która prowadzi przez cały teren lasu i jest publiczna, potem odbić w Droge Czyżemską, skrócić w tak zwaną Brukowaną Droge, a potem w Guzendowy Dukt i być tak samo blisko, jakby wjechał od Kapkaz. – Olko pokazał Śliwińskiej tę określoną trasę na mapie. – Mógł też wjechać od Huty Dłutowskiej i znów skrócić w Guzendowy Dukt, przecinając Brukowaną Droge.

Śliwińska, patrząc na mapę, znalazła jeszcze kilka innych możliwości, ale na razie wołała o nich nie myśleć, bo wszystkie warianty trzeba było sprawdzić.

– Jeśli założymy, że morderca miał samochód, to musiał go gdzieś zaparkować. Mógł to zrobić albo od strony Brukowanej Drogi albo Guzendowego Duktu. – Śliwińska westchnęła. – Co to właściwie za nazwy? – zapytała Olkę, który oderwał wzrok od mapy.

– Zwyczajowe... Guzendowy Dukt prowadził do pola niejakiego Guzendy, a Brukowana Droga jest faktycznie brukowana, ale to ślad po przemarszu wojsk napoleońskich. Trzeba te leśne drogi i dukty jakoś rozróżniać, żeby się nie pogubić, chociaż nazwy znają najczęściej lokalni, no i my. Mieszczuchom i obcym nic nie mówią.

*

Olko, idąc Brukowaną Droga wyłożoną zwykłymi polnymi kamieniami, często wyobrażał sobie rosnących grenadierów w białych spodniach, z bagnetami na ramieniu, którzy tędy maszerowali, wąskim, ale twardym szlakiem. Ich niebiesko-białe mundury musiały pięknie wyglądać na tle zieleni. Olko często zastanawiał się, dlaczego spece od wojskowości tak późno powiązali bezpieczeństwo żołnierzy z ich ubiorem. Mundury armii napoleońskiej były piękne, ale zupełnie niepraktyczne – czyż krzyżujące się na plecach grenadierów białe pasy umieszczone na niebieskim tle nie były idealnym celem dla ostrzy bagnetów? Nikt w tamtych czasach nie myślał też o tym, że pory roku jednak się zmieniają, a żołnierze idą praktycznie na pewną śmierć w letnich mundurach. Zastanawiał się, czy klęska Napoleona pod Moskwą nie przyczyniła się właśnie do tego, żeby generałowie w końcu zrozumieli, że wielkie bitwy nie rozgrywają się wyłącznie latem.

– O czym pan myśli? – zapytała policjantka, bo zauważyła, że Olko kompletnie się zdekoncentrował.

– Myślę o zimnie – odpowiedział, chociaż może nie była to najbardziej szczerą i precyzyjną odpowiedź. – Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ciało tej dziewczyny, odruchowo pomyślałem, że potrzebny jej koc, chociaż trupy nie potrzebują przecież okrycia. To taka pułapka myślenia o ciele, że coś jest temu ciału potrzebne, kiedy właściwie to już tylko sama powłoka. Nie zastanowiło pani, że to ciało wyglądało tak, jakby poddało się oprawcy?

– Może tak właśnie było, a może morderca podał tej dziewczynie jakieś środki, może nie czuła bólu, może do końca była nieświadoma, co się z nią dzieje? Ja wierzę w raporty toksykologiczne. Niestety na pytania, które pan zadaje, może nigdy nie poznamy odpowiedzi. Oczywiście zakładam, że złapiemy mordercę, ale to, czy czegokolwiek się od niego dowiemy, to już inna sprawa. Ja mogę opierać się tylko na tym, co uda mi się ustalić w śledztwie. Bez pewności, czy w ogóle scenariusze, które potencjalnie wymyślę, są prawdziwe. Praca śledczego to taka wieczna podróż wstecz, z tą różnicą, że nie mogę cofnąć czasu. Mogę go tylko spróbować odtworzyć w sposób, jaki wydaje mi się jak najbardziej zbliżony do rzeczywistości. – Śliwińska głęboko odetchnęła i poczuła potworne zmęczenie. Wolą nie myśleć, o tym, że w najbliższych tygodniach zmęczenie będzie się jedynie nasilać.

– Moja praca jest jeszcze gorsza niż pani. Leśnik nigdy nie widzi rezultatów swojej pracy, i nieważne, jak bardzo będzie się starał. Drzewa, które sadziłem przeżyją mnie o jakieś sto lat, a te, które muszę wycinać, zostały zasadzone w momencie, kiedy na świecie nie było jeszcze nawet moich rodziców – odpowiedział Olko. – Pani ma chociaż szansę zobaczyć rezultaty, ja nigdy.

Olko poczuł, że to jest moment, kiedy można zmierzyć się z czasem w bardziej wymierny sposób.

– Może napije się pani nalewki mojej roboty? – zapytał.

Śliwińska pokręciła głową:

– Nie piję w pracy.

– W którym roku skończyła pani studia? – zapytał nagle.

– A pan?

– Niestety nie posiadam tego rocznika... – Olko wstał od stołu i wyszedł z pokoju. Śliwińska usłyszała odgłos otwieranych drzwi i

przytłumiony dźwięk kroków. Po chwili gdzieś pod nią, spod podłogi dobiegło szuranie i stukot przestawianych butelek.

Olko wrócił z karafką wypełnioną płynem o rubinowej barwie i dwoma kryształowymi kieliszkami.

– Domagała się pani leśnych gadżetów. Oto i one. – Olko postawił przed policjantką kieliszek z grawerowanym głuszcem. – Nie wiem, dlaczego głuszczyk jest tak popularny wśród myśliwych, może dlatego, że można go oglądać tylko na obrazkach albo kieliszkach. Z mojego lasu zniknął jeszcze przed pierwszą wojną światową, a ja w całym swoim zawodowym życiu nie widziałem tego pięknego ptaka na oczy. – Nalał Śliwińskiej kieliszek nalewki. – Najstarsza, jaką mam to dziewięćdziesiąty pierwszy rocznik. Wtedy było jeszcze dużo tarniny, teraz muszę po nią jeździć do opuszczonego pałacu, jakoś tam przetrwała tarninowa aleja... Rozumiem, że ma pani nienormowany czas pracy, ale czy wciąż jest pani na służbie? – Wziął do ręki swój kieliszek z wizerunkiem dzika i spojrzał na Śliwińską. Wahala się. – Jest pani aż taką służbistką? Nie będę przecież pani zmuszał. Chciałem tylko uprzyjemnić nam ten dzień, zwłaszcza przed dniem jutrzejszym, który zapowiada się jeszcze gorzej.

Śliwińska wciąż nie była pewna.

– Jest pani przecież moim gościem – perswadował. – Zapewniam, że łyk mojej nalewki nie wpłynie na czynności analityczne, którym poddajemy obecnie mapę terenu. – Olko wznosił swój kieliszek do góry.

Po chwili Śliwińska wzięła do ręki swój i uśmiechnęła się krzywo.

– Darz bór! To oficjalny toast leśników.

Policjantka westchnęła, jakby Olko powiedział coś niestosownego.

– Za sprawę. Za pani sprawę – dodał i wypił cały kieliszek nalewki od razu, ale ona zamoczyła jedynie usta.

IV

Olko otworzył przed Śliwińską drzwi, jednak schodami wiodącymi na strych poszedł przodem. Strych w leśniczówce był tylko pobielony, nieogrzewany, ale z boku znajdował się wyłożony boazerią mały pokój gościnny z łazienką, dla niespodziewanych przybyszów. Ostatnio Olko gościł tu dewizowego myśliwego z Niemiec, chociaż słowo „gościł” nie pasowało do tej sytuacji. Szef zdecydował, że Rainer Schultze będzie

nocował u niego, zamiast w leśniczówce leśniczego do spraw łowieckich, bo tam nie było już miejsc. Rainer miał zezwolenie na odstrzał jelenia, tyle że przez trzy dni pobytu nic nie upolował, mimo wielogodzinnych pobytów na ambonie, pełni księżycy i rozrzucaniu w polu strzału kilogramów kukurydzy.

Pokój był skromny – wąskie łóżko, fotel, mały stolik przy oknie. Jedynym elementem wystroju był kalendarz myśliwski wiszący na ścianie i kilka roczników „Łowcy Polskiego”, które leżały na stoliku. Śliwińska nie wyglądała na zrażoną tymi warunkami. Podeszła do okna i spojrzała przez szybę.

– Zasłonki są zbędne, dopiero o świcie robi się jasno.

Kiedy Olko wyszedł, policjantka usiadła z westchnieniem na łóżku. Zajrzała do torebki, w której zawsze nosiła dużą kosmetyczkę. Były w niej mały ręcznik, majtki na zmianę, T-shirt, szczoteczka do zębów i szczotka do włosów, zapasowy długopis, krem, notes, ładowarka do telefonu i dezodorant. Śliwińska nazywała to „pezeterem” – Policyjnym Zestawem Ratunkowym. Niestety w zestawie nie było dodatkowej paczki papierosów. Został jej jeden... Otworzyła okno, za którym majaczył las, z trudem można było rozróżnić kontury drzew. Jej wzrok przyzwyczajął się wolno. Najpierw dostrzegła dwa duże drzewa. Olko powiedział, że to żywotniki posadzone pewnie jeszcze przed pierwszą wojną światową. Nie знаła się na drzewach, ale zauważyła, że kolejny rząd stanowią dęby odgradzające szpalerem budynek od gruntowej drogi, przy której stała leśniczówka. Dym z papierosa przy bezwietrznej pogodzie wlatywał z powrotem do pokoju. Wydawało się jej, że wraz z nim wpada coś jeszcze. Na zewnątrz panowała martwa cisza, ale powietrze było gęste i niesło ze sobą ledwo wyczuwalny dźwięk, jakby lekki poszum drzew zmieszany z innymi odgłosami lasu. Poczula zimny powiew i szybko zamknęła okno. Uświadomiła sobie, że jest doskonale widoczna na tle jasnego prostokąta okna i gdyby ktoś stał teraz między drzewami na pewno mógłby ją swobodnie obserwować. Odruchowo cofnęła się w stronę łóżka. Zdjęła kamizelkę, pod którą miała ukrytą kaburę z pistoletem. Odłożyła ją na stolik i zaczęła ścielić łóżko. Przed nią piętrzyła się góra różowej pierzyny, wielkiej i ciężkiej niczym ciało maciory, a pod nią równie wielka poduszka, która pamiętała pewnie lata sześćdziesiąte. Doszła do wniosku, że to, co zdecydowanie zmieniło się w kraju po upadku komunizmu, to rozmiar poduszek. Nie wiedziała, czy naród zawdzięcza to otwarciu się obywateli na sieć sklepów IKEA, czy to

efekt turbokapitalizmu, drogiego pierza czy może zaradności. Kto potrzebuje dziś tak wielkich poduszek?

Gigantyczne, prawie kwadratowe poduszki, odeszły bezpowrotnie w niepamięć, ale kiedy Śliwińska położyła głowę na tym wielkim kwadracie obleczonym w białą, krochmaloną i wymaglowaną poszewkę i przykryła się ciężką pierzyną, poczuła się jak we wnętrzu ciepłej i przyjaznej góry. Kiedy zasypiała, rozszczękał się pies leśniczego. Słyszała jeszcze, jak Joyce zażarcie ujada, biegając w tę i we w tę wzdłuż płotu. Nie potrafiła odróżnić, czy szczeka na inne zwierzę, czy na człowieka. Zdażyła jeszcze pomyśleć, że to idiotyczne imię dla psa i zasnęła.

*

Olko wyjątkowo włożył tej nocy jedną, jedyną piżamę, jaką posiadał. Lubił spać nago, ale obecność kobiety w tym samym domu, choć piętro wyżej, go krępowała. Jakiś czas temu przestał liczyć, ale od momentu, kiedy jego żona uciekła z urzędnikiem z Biura Urządzania Lasu i zamieszkała w Warszawie, minęło piętnaście lat. Olko prawie nie wspominał swojej żony. Czasami, choć coraz rzadziej, wracała do niego w snach, zawsze w podobnym, sennym wariacie: szli na Bukową Górkę, żona wspinała się przodem i co chwila znajdowała po drodze piaskowce modrzaki, nazywane „granatkami”, te, co w kilka minut po zebraniu robią się sine. Wkładała je do koszyka, a kiedy schodzili z górki, pokazywała mu koszyk pełen grzybów, granatowych, które na jego oczach zamieniały się w muchomory cesarskie o pięknej nasyconej pomarańczowej barwie. W tym momencie uśmiechając się, żona mówiła: zrobię je na kolację, i szła dalej. We śnie jej śmiech nie był szyderczy, był ciepły i łagodny, i choć zapowiadał wieczerzę raczej ostateczną, to nigdy do niej nie dochodziło. Śmiech urywał się w trakcie spaceru. Żona czasami dłużej zbierała grzyby, czasami dalej odchodziła. Te sny zaczęły nawiedzać leśniczego na długo przed ucieczką żony i dziś interpretował je jako zapowiedź odejścia... Wiele lat temu myślał, że to on umrze pierwszy. Rzadko o niej myślał, ostatnimi laty prawie wcale. Przypomniała mu o tym dawno nienoszona piżama, którą żona kazała mu wkładać, ilekroć przyjeżdżali goście – dziś też ją włożył, kierowany dziwnym przymusem, jakby nakazy żony wciąż go obowiązywały.

Po jej ucieczce, która miała miejsce w pewien czerwcowy poranek, Olko wyniósł na podwórko małżeńskie łożo i postanowił je porąbać.

Wcześniej się upił. Rąbał łóżko zapamiętałe, tak aby nie dało się go złożyć, skleić ani uratować. Porąbane kawałki wynosił od razu do pieca i palił. Jedynym świadkiem tamtego zdarzenia był jego ówczesny pies. Ten akt destrukcji przyniósł mu niewyobrażalną ulgę. W ciągu kilku godzin pieczołowitej rąbanki, ocierania z czoła potu, który mieszał się ze łzami, leśniczy Olko nie tylko przypomniał sobie wszystkie lata znajomości z żoną, ale również je zapomniał. Łoże, symbol małżeńskiego pożycia, całkowicie unicestwione i spalone, sprawiło, że następnego dnia, kiedy bolała go od wódki głowa, uwolnił duszę od ciężaru trudnej i skomplikowanej miłości. Żony już nigdy nie zobaczył, nigdy się do niej nie odezwał, nie dowiadywał się, co się z nią dzieje i nawet nie był tego ciekawy. Z chwilą, gdy opuściła mury leśniczówki skazała się na materialną i duchową nieobecność. Olko w tym samym piecu spalił też pościel i prześcieradła, a wszystkie przedmioty, które po niej zostały, zapakował w worek i wywiózł na śmietnik. Tego dnia narodził się jako minimalista: nie gromadził gazet, zdjęć, naczyń, starych ubrań, gwoździ, łańcuchów, butów czy śrub. Magazynem jego pamięci była jedynie biblioteka, chociaż w niej też od czasu do czasu dokonywał różnych przetasowań. Ostatnio oddał do miejskiej biblioteki okazały zbiór kolorowych, krzyczących, tłoczonych w jadowite zielenie i karmazynowe czerwienie, ociekających złotem książek, jakie zalały księgarnie w połowie lat dziewięćdziesiątych. Pospiesznie tłumaczone i tanie wydania sensacyjnej prozy wypełniające wyobraźnię spragnionych rodaków. Sam nie mógł uwierzyć, że spędził wiele godzin nad książkami, z których tak niewiele zapamiętał. Pamiętał jedynie moment chwilowej ulgi i rozrywki, jaką przynosiły.

*

Olko czytał głównie w nocy, ale dziś postanowił położyć się wcześniej. Kiedy szuranie na górze ustało, uznał, że Śliwińska zasnęła. Od czasu porąbania małżeńskiego łoża spał na wersalce. Czasami nawet nie chciało mu się jej rozkładać. Kładł się na boku i okrywał zamówioną we wsi pierzyną, wypełnioną sypkim, gęsim puchem, a puch przewalał się pod poszewką, jak lawina potrafiąca w kilka chwil przysypać całego człowieka. Tej nocy kręcił się i wiercił – pierzyna wyjątkowo mu przeszkadzała. Jeszcze na granicy snu barował się z nią, wbijając w jej miękkie ciało zaciśnięte pięści.

V

Znów szedł lasem. Księżyc w trzeciej kwadrze świecił wystarczająco mocno, by posuwał się po ścieżce swobodnie, nie patrząc pod nogi, ale ilekroć rzucał wzrokiem w bok, witała go nieprzenikniona ściana lasu. Sięgnął do kieszeni kurtki, ale nie było w niej latarki, w drugiej kieszeni nie było papierosów ani zapalniczki. Nie potrafił rozpoznać miejsca, w którym się znajduje. Pod stopami widać było ścieżkę pokrytą trawą – za wąską jak na dukt, ale uczęszczaną – boki były wyjeżdżone i piaszczyste. Trzymał się lewej strony. Po jakimś czasie zauważył, że ścieżka zaczyna się zwać. Teraz jego twarz zaczęły lekko muskać gałęzie drzew. Myślał, że to świerki, ale gałęzie były mniej ostre i ciemniejsze. Kiedy przytrzymał jedną z nich i oderwał igielki, i roztarł je w palcach, poczuł zapach cedru. Ścieżka zniknęła i znalazł się teraz w cedrowym młodniku.

Drzewa miały charakterystyczny, zrudziały kolor pni, który w świetle księżyca połyskiwał na czerwono. Ziemia, lekko uginająca się pod jego krokami, była gęsto wyściełana igliwem, miejscami tak gęsto, że spod tego dywanu nie wystawała żadna roślina... Gdzieś dostrzegł za to jaśniejsze, spiczaste kamienie wypiętrzone pomiędzy drzewami. Kiedy przechodził obok nich, jeden z kamieni się poruszył. Olko przystanął i dopiero wtedy dostrzegł, że to nie kamienie, tylko małpy. Jedynymi mieszkańcami cedrowego lasu były makaki, które nocą zbijały się w rodzinne grupy. Nie chciał im przeszkadzać swoją obecnością, ale niektóre z mijanych rodzin budziły się. Ojcowie małpich klanów szczyrzyli na niego potężne zęby, wpatrując się groźnym wzrokiem, ale dzieci były ciekawe wielkiego przechodnia i po kilku minutach pojawiała się chmara małpiątek. Szły za nim w pewnym oddaleniu, a kiedy się odwracał, czmychały za najbliższe cedry, by biec dalej, kiedy zaczynał iść do przodu. Postanowił nie zwracać uwagi na tę czujną czeredę, ale im bardziej ignorował zwierzęta, tym więcej ciekawości budził. W końcu jeden z małuchów podbiegł do niego i uczeplił się nogawki. Olko spojrział na niego z góry i powiedział: Co, małpy? Czego chcesz? Małpy nie odpowiedział, tylko wziął go za rękę. Wcale go to nie zdziwiło. Ręka małpiego dziecka była bardzo przyjemna w dotyku: czuł pod palcami miękkie, delikatne włoski i lekki, choć stanowczy uścisk paluszków zakończonych okrągłymi opuszkami. W cedrowym lesie nie było żadnych widocznych ścieżek, ale małpy wyraźnie go gdzieś ciągnęły.

Cedrowy las oświetlony światłem księżyca wyglądał bajkowo. Tak przyjemna musi być też ręka małego dziecka – pomyślał Olko, który sam nie miał dzieci i nie pamiętał, kiedy ostatnio trzymał jakiegokolwiek malca za rękę. Małpie dziecko było niesforne: co chwila odwracało się w jego kierunku, spontanicznie pogryzało jego nadgarstek z zegarkiem i wyraźnie go poganiało. Olko posłusznie przyspieszył. Las wydawał mu się jednostajny i monotony, w każdym miejscu dokładnie taki sam. Zastanawiał się, jak wróci, bo nie widział przed sobą żadnej ścieżki. Małpek szedł w kierunku trzech cedrów, które rosły bliżej siebie niż inne. Kiedy podchodzili, zaczął podskakiwać wyżej i żwawiej i wydawać skrzeczące dźwięki, jakby chciał mu coś pokazać.

Olko spojrzał na drzewa i przystanął. Pomiędzy drzewami stała naga dziewczyna – miała ciało w kremowym, jasnym odcieniu, a jej skóra była tak gładka, że wyglądała z daleka, jakby włożyła cielisty kostium. Długie, falujące złote włosy zakrywały niewielkie piersi i kończyły się na wysokości pasa. Olko podszedł bliżej i wtedy zauważył, że dziewczyna opiera wyciągnięte ręce o pnie drzew, ale kiedy przypatrzył się, dostrzegł, że dłonie dziewczyny są wrosnięte w korę. Spojrzał dziewczynie w oczy: były jasnoniebieskie, koloru zbyt rozwodnionej farby plakatowej rzuconej pośpiesznie na białą kartkę. Chciał coś powiedzieć do dziewczyny, ale kiedy otwierał usta, uświadomił sobie, że jej oczy są martwe. Małpek tymczasem wskoczył na drzewo, po czym wbiegł po rozpiętym ramieniu dziewczyny, usiadł przy jej głowie i zaczął systematycznie i z radością iskać jej puszyste włosy. Leśniczy krzyknął, żeby go przepędzić, ale małpek nie dał się odgonić – wyszczerzył zęby i przeraźliwie wrzasnął. Olko odruchowo odsunął się od zwierzęcia, które wyglądało tak, jakby chciało na niego skoczyć i wtedy się obudził.

Leżał spocony, jedną ręką trzymał róg pierzyny, która spadła na podłogę. Dopiero po kilku minutach zorientował się, że z pokoju na górze dochodzi inny, paniczny krzyk kobiety.

Zerwał się i szybko pobiegł w kierunku schodów.

*

Śliwińska w samym T-shircie i majtkach stała w kącie pokoju z bronią wycelowaną w kierunku skłębionej pierzyny. Kiedy Olko wpadł do pokoju, oddychała ciężko, ale starała się zapanować nad ciałem. Pierzyna w jej pokoju wyglądała tak, jakby osłonił się nią co najmniej stukilowy

niedźwiedź. Po kilku sekundach coś zaczęło poruszać się w puchowych powłokach. Olko podszedł do Śliwińskiej i delikatnie opuścił jej sztywną, napiętą rękę z bronią, po czym głęboko spojrzął w oczy i przyłożył palec do ust, żeby była cicho. Delikatnie, na palcach podszedł do łóżka i jednym, zdecydowanym ruchem zdarł z niego pierzynę. W tym momencie z łóżka zeskoczyła kuna domowa. Natychmiast zwinnym susem wbiegła przez uchylone drzwi do ciemnej łazienki i zniknęła. Śliwińska głośno westchnęła i oparła się o ścianę.

Olko odwrócił się w jej kierunku:

– W lesie obowiązuje tylko jedna zasada: należy bać się człowieka.

Śliwińska uśmiechnęła się krzywo.

– Podczas snu trudno odróżnić, czy chodzi po kimś zwierzę, czy człowiek – odpowiedziała.

Spojrzał na odbezpieczony pistolet.

– Ma pani niezły refleks. Zapraszam na coś ciepłego do picia. Jest po piątej, chyba nie ma sensu się znowu kłaść?

Minał Śliwińską, starając się na nią nie patrzeć, żeby dziewczyna nie poczuła się jeszcze bardziej skrępowana. Zauważył, że ma małe, drobne, prawie dziecięce stopy i poczuł, że zalewa go fala naturalnego ciepła, czego dawno nie doświadczył, bardzo dawno...

ROZDZIAŁ IV

Pierwsze ciało

I

Śliwińska zeszła z góry po kwadransie. Olko wyjął z lodówki kawałek pasztetu, smalec i kiszony ogórek. Niczego więcej w lodówce nie było.

– Pod kawę idealny zestaw – zażartował, ale uświadomił sobie, że jego kawalerskie życie z zewnątrz musi wyglądać przerażająco smutno. Właściwie lodówka była w jego gospodarstwie zbędna, bo prawie zawsze zaskakiwała nawet jego samego kompletną pustką. Olko robił zakupy w najbliższym sklepie we wsi, w którym raz w tygodniu była dostawa wędlin, warzyw i owoców. Podstawą jego diety był chleb, kaszanka, salceson, mrożone pyzy i masło. Czasami kupował jajka od żony Mareckiego. Raz w miesiącu jeździł do supermarketu, ale przywoził z niego tylko kawę, worki na śmieci, ziemniaki i piwo. Gotować nie umiał, a jedzenie nie sprawiało mu żadnej przyjemności. Nie potrafił też za bardzo sprzątać, bo nikt go tego nie nauczył. Dopiero teraz, nad ranem, kiedy Śliwińska usiadła przy stole w kuchni zauważył, że czajnik zarósł kamieniem, kuchenka jest brązowa od starego tłuszczu, a kubki od środka są prawie czarne od herbacianej esencji. Za oknem wstawał świt, którego szarosine światło wydobywało z wnętrza jeszcze gorsze szczegóły. Kurz i pajęczyny na kuchennej boazerii, czarne rysy na stole zrobione nożem, postrzępione lniane ścierki pełne żółtych plam, ślady od ubłoconych butów na podłodze. Olko pomyślał, że policjantka musiała go uznać za abnegata, flejtucha i życiowego nedorajdę, który nie potrafi domyc szklanki. I tak było w istocie, chociaż leśniczy po prostu nie przywiązywał wagi do tak przyziemnych spraw jak czysty blat, lśniąca podłoga, czy wyprasowane koszule. Jego życie toczyło się utartym, monotonnym rytmem, co innych z pewnością doprowadziłoby do depresji, ale jemu przynosiło błogi spokój.

Śliwińska wydawała się od rana pogrążona we własnych rozmyślaniach i nie zwracała uwagi na to, jak wygląda jej bezpośrednie otoczenie. Z ulgą rzuciła się na smalec i zdawała się nie dostrzegać tego, na co zwracał teraz uwagę Olko. Zignorowała nawet jego piżamę w czerwono-szare pasy. Wyglądał w niej jak starzejący się kłown, któremu ktoś zapomniał włożyć na głowę rudą perukę i doczepić czerwoną kulkę na nosie.

– Czy widział pan już kiedyś wcześniej zwłoki? – spytała od niechcienia, jakby był to najlepszy temat na rozmowę przy tym wczesnym śniadaniu.

Olko usiadł naprzeciw niej z kubkiem gorącej kawy i tłącym się między palcami papierosem.

– Może widziałem ich więcej niż pani? – Uśmiechnął się gorzko.

– Ja swoich nie liczę, ale na pewno widziałam ich więcej niż pan. Pytam, bo wiem, że czasami osobom postronnym trudno jest taki widok znieść.

– Tak, trudno. – Olko wyciągnął w stronę Śliwińskiej paczkę.

– Nie palę tak wcześnie – odpowiedziała.

– Rano smakują jednocześnie najgorzej i najlepiej. – Leśniczy zaciągnął się chciwie papierosem, jakby miał to być ostatni wdech i wydech w jego życiu. – Coś pani opowiem, coś o zwłokach – dodał, wypuszczając dym przez nos.

Śliwińska posmarowała sobie kolejną pajdę chleba grubą warstwą smalcu.

II

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku byłem na stażu w nadleśnictwie Lubochnia. Teraz to część nadleśnictwa Spała, ale wtedy było oddzielne. Dojeżdżałem codziennie do pracy z Łodzi. Wysiadałem we wsi Skrzyńki, jeden przystanek przed Tomaszowem Mazowieckim. Ze Skrzynek jechałem rowerem służbowym, który zostawiałem u zawiadowcy stacji na noc, pewnie jakieś sześć kilometrów do tamtejszej leśniczówki. Pamiętam, że był marzec. Słońce wisiało już dosyć wysoko, ale wciąż leżało sporo śniegu. Wtedy akurat robiłem z tamtejszym gajowym odbiórki kopalniaka. Trudna praca. Tamtego dnia odebraliśmy sześćset sztuk surowca przeznaczonego na podpory stropów w kopalniach, stąd nazwa.

Każdą sztukę trzeba było zmierzyć w miejscu ścięcia, zapisać w brulionie odbiórki drewna długość i średnicę, po to żeby potem to skubikować według tablic miąższości i obliczyć w ten sposób masę drewna. Łażenie po lesie przez cały dzień, w śniegu. Obaj z panem Michałem, który był tam gajowym od czterdziestu lat, byliśmy pod koniec dnia wykończeni. Ale to łażenie z nim to była przyjemność, bo on znał ten las na wylot, w końcu chodził na obchód codziennie przez te czterdzieści lat. – Olko oparł się na krześle. – Nie miał nawet wykształcenia leśnego, taki skrupulatny praktyk, stara gwardia. Znał wszystkie gatunki ptaków i owadów, nie to co dzisiejsi absolwenci leśnictwa. Po całodziennej odbiorce wracaliśmy do leśniczówki. Pamiętam, że zaczął znowu sypać śnieg i stopniowo zanurzaliśmy się w szarówce, dochodziła siedemnasta. Przyspieszyliśmy trochę, bo podczas marszu robiło się nieco cieplej. W pewnym momencie mocniej zawiął wiatr i przyniósł jakiś nieprzyjemny zapach. Do tej pory go pamiętam. – Olko zgasił papierosa i oparł ręce na stole. – Pan Michał też poczuł ten zapach, przystanął, żeby go zlokalizować, wszedł w las, a ja zostałem na dukcie. Na odchodne rzucił do mnie, że pewnie zdechło i rozłożyło się jakieś dziczysko w lesie i trzeba będzie powiedzieć robotnikom, żeby nazajutrz je zakopali, żeby nie rozprzestrzeniała się zaraza.

W lesie było już prawie zupełnie ciemno. Czekałem, aż gajowy wróci, ale nie wracał. Było mi zimno i w końcu poszedłem za nim. Widziałem pomiędzy drzewami jego sylwetkę, w końcu go dogoniłem, ale pan Michał powiedział, żebym nie podchodził bliżej, bo na śniegu leży człowiek.

Ale, wie pani, jak to jest; jestem już za blisko i jakoś tak mnie tam ciągnie, żeby zobaczyć tego człowieka na śniegu. Przecież do tej pory nie widziałem nikogo martwego, żadnego trupa, mam dwadzieścia lat i jestem ciekawy. Zaglądam gajowemu przez ramię. Na śniegu pod drzewem faktycznie leży człowiek; ma na sobie czarny garnitur, koszulę, na to nałożony płaszcz, ale rozpięty, tak samo jak górna część garnituru. Widzę białą koszulę, ale ona jest przegniła na brzuchu i widać przez nią kłębiące się w trzewiach robaki. Twarz mężczyzny jest potwornie sina, prawie czarna. Trudno określić, ile liczy lat. Na szyi ma zawiązany krawat, urwany w połowie, widać, że się powiesił, bo druga część krawata wisi na drzewie, pod którym leży ciało. Urwał się pewnie dlatego, że przysypał go śnieg, a materiał nadgnił, gdyby nie to, pewnie by jeszcze długo wisiął na tym drzewie i pewnie jeszcze długo nikt by go nie zauważył. Kto patrzy w lesie na drzewa? – Olko się zamyślił. – Wszyscy patrzą przecież pod nogi, żeby

nie potknąć się o patyk albo wystające korzenie, szukając grzybów – dodał. – Kiedy tak staliśmy nad ciałem tamtego mężczyzny, zrobiło nam się tak jakoś nieswojo. Powinniśmy szybko wrócić do leśniczówki, żeby zadzwonić na milicję, bo przecież w latach sześćdziesiątych we wsi Skrzyńki telefon był jedynie na stacji kolejowej i w leśniczówce. Pamiętam, że gajowy musiał jeszcze raz iść z milicją na oględziny, a mnie na stację zawiózł leśniczy swoim motorem.

– Kim był wisielec? – zapytała rzeczowo Śliwińska.

– Okazało się, że to był chłopak w moim wieku. Pochodził z sąsiedniej wsi, może z Cekanowa, teraz już nie pamiętam. Zaginął jeszcze przed Bożym Narodzeniem w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku. Był poszukiwany, ale go nie odnaleziono. We wsi mówili, że miał dziewczynę w ciąży, z którą nie chciał się ożenić, ale w końcu został do tego zmuszony. Ponoć uciekł prosto z wesela. Zdażył na ślubny garnitur narzucić płaszcz i się powiesił. Czy to nie dziwne, żeby dać komuś życie i z tego powodu wybrać śmierć? – Olko sięgnął po kolejnego papierosa. – Czasami myślę o tym dziecku: co z niego wyrosło? Czy w ogóle się urodziło? Czy to dziewczyna? Czy chłopak? Jak ciężko musiało być na wsi takiej porzuconej pannie i to w dniu ślubu?

– Może zwyczajnie jej nie kochał? Może się bał? – dodała Śliwińska. – Niestety, jeśli samobójca nie zostawi listu albo pamiętnika, albo czegoś w rodzaju ostatniej woli, trudno odgadnąć, jakie są przyczyny takich decyzji. – Śliwińska sprawiała wrażenie jakby słyszała podobne historie setki razy.

– A pani nigdy się nie zastanawia? – spytał Olko.

– Zastanawiam się, ale czasami motywacje bywają prozaiczne albo banalne. – Policjantka rozłożyła ręce.

– A nasz morderca? Można o nim powiedzieć wszystko tylko nie to, że jest banalny.

– Mordercy i samobójcy to zupełnie dwa różne światy, nawet nie równoległe, ale całkowicie od siebie odseparowane. Czasami taką cechę jak banalność ktoś właśnie stara się ukryć, robiąc niebanalne rzeczy. Na razie mam za mało danych, żeby cokolwiek powiedzieć o człowieku, któremu chciało się powiesić pomiędzy drzewami nagą dziewczynę.

Śliwińska była w złym humorze i nawet niespecjalnie starała się to ukryć. Cztery godziny później Olko zrozumiał dlaczego.

Edmund Krajewski kręcił się po salonie w leśniczówce jak po swoich włościach. Przekrzywił głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, zupełnie jak papuga. Patrzył chciwie na grzbiety książek, półgłosem literując kolejne tytuły; widocznie nie mógł się nadziwić, że takie w ogóle istnieją. Pełnię szczęścia osiągnął przy półce z literaturą erotyczną.

– Kochanek Lady Chatterley! – zakrzyknął. – Czy to nie jest przypadkiem ta historia o leśniczym, który dobiera się do kobiety z wyższych sfer? Nigdy nie czytałem, ale może teraz, w drodze do lasu przerzucę sobie kilka stron? – Krajewski wyjął książkę z półki bez pytania i zaczął ją kartkować.

Olko nienawdził ludzi, którzy grzebią w jego bibliotece, a ten mężczyzna o wyglądzie zbutwiałego knura, który obracał w tłustych łapskach jedną z jego książek, napawał go wyjątkowym obrzydzeniem. Olko spojrzał na Śliwińską. Miał wrażenie, że policjantka również z trudem znosi jego osobę, ale struktura zależności nie pozwala jej na żadną reakcję. Twarz kobiety była nieporuszona, ale Olko zauważył, że drga jej mięsień na policzku od mocno zaciskanej szczęki.

– Lady Chatterley zakochuje się w gajowym – powiedział głośno Olko.

Krajewski nawet na niego nie spojrzał i odpowiedział lekkim i lekceważącym tonem osoby należącej do tej części społeczeństwa, która uważa czytanie książek za zbędny wysiłek i stratę czasu:

– A to jest jakaś różnica? To chłop i to chłop, nie? – Komendant uśmiechnął się szeroko znad książki, jakby miał pozwolenie nie tylko na posiadanie broni, ale i poczucia humoru. Olko stwierdził, że nie będzie tłumaczył takich zawilosci osobie nieodróżniającej literatury pięknej od literatury faktu. – Swoją drogą, nasz kochaś nawet palcem nie tknął tej leśnej ruszałki.

Krajewski odszedł w końcu od półek i usiadł przy stole, po czym spojrzał na Olkę, jakby miał go wysłać do więzienia o zastrzonym rygorze.

– Panie leśniczy. Dziś rano rozmawiałem z pana szefem, nadleśniczym Walendzikim. Podczas rozmowy służbowej ustaliliśmy, że do czasu zakończenia prowadzenia działań na terenie lasu związanych ze sprawą pozostanie pan do naszej dyspozycji. Moja zastępczyni, Śliwińska Marta, będzie na miejscu, nadleśnictwo udostępni jej gościnny pokój służbowy. Dziś, o godzinie dwunastej, przyjedzie oddział policji, który przeszuka

dokładnie miejsce wokół znalezionej ciała. Na razie głównym podejrzanym w tej sprawie jest, jak mu tam, Marecki Bogdan.

– On tego nie zrobił. – Olko od razu zaprotestował, ale Krajewski tylko się zaśmiał.

– Proszę pana, ja widziałem zabójcę, który swoją żonę i dziecko porąbał siekierą i też twierdził, że nie mógł tego zrobić, bo bardzo ich kochał. Marecki tłumaczy, że prawie nic nie pamięta, może to dobrze. Jednak po nocy potrafił do pana przybiec i powiedzieć, że to nie on? O tym pamiętał? Ja bym na pana miejscu nie odmawiał sprytu osobom wyglądającym, jakby go wcale nie miały. Zresztą powiedziałem „na razie”. Im więcej sobie przypomni, tym lepiej. I dla nas i dla niego.

Olko pomyślał, że nie sposób nie zgodzić się z komendantem, a jednak było w jego zachowaniu i sposobie mówienia, coś, co go odpychało. Krajewski był typem szefa, który za wszelką cenę musiał dominować i wszystkich wokół traktować jak swoich podwładnych; z jednakową pogardą, wyższością i nienawiścią. Olko wielokrotnie się zastanawiał, skąd to się bierze: czy z kompleksów, czy z braku empatii. Niestety jedyną metodą na tego rodzaju ludzi było działanie oparte na stosowaniu tych samych zasad.

*

Dokładnie o 11.00 Olko wyszedł przed kancelarię leśniczówki w pełnym rynsztunku, który zadziwił nawet Śliwińską. Na rzemiennej smyczy trzymał u boku owczarka, zielone, wełniane spodnie wpuścił w gumofilce, przez ramię miał przewieszoną dubeltówkę – wyglądu dopełniał, może zbyt rzucający się w oczy, wełniany szalik w czerwono-zieloną kratę. Olko skojarzył się jej z angielskim arystokratą idącym polować na lisa, a nie z polskim leśnikiem, ale spodobała jej się ta niezamierzona fantazja.

Leśniczy postawił przed nią nową parę gumofilców.

– Niech pani włoży, będziemy babrać się w błocie, prawie jak dziki.

– A czy one, jak to się fachowo mówi, nie ryją jednak w ziemi? – zapytała policjantka.

– Tak, buchtują, zwłaszcza o tej porze, ale tę czynność weźmie chyba na siebie pani przełożony?

Śliwińska musiała powstrzymać uśmiech. Krajewski, który stał nieopodal, nie dosłyszał tej wymiany zdań. W rękę trzymał mapę lasu i próbował ją zorientować, kręcąc się wokół własnej osi.

Olko podszedł w końcu i do niego, ale nie miał dodatkowej pary kaloszy. Spojrzał na czarne, służbowe półbuty komendanta i wyobraził sobie, nie bez radości, jak Krajewski grzęźnie w nich aż po kostki. Postanowił iść cały czas obok niego, prowadząc go przez najgorsze, najbardziej podmokłe fragmenty oddziału, żeby Krajewski poczuł się nie tylko człowiekiem kultury, ale i natury. Olko pomyślał, że nic bardziej nie przybliży człowieka do natury niż błoto: czarne, śliskie i oblepiające, szybko zastyga i pokrywa, co napotka, twardą popielatą skorupą.

III

Policjanci przeczesywali miejsce wokół znalezienia zwłok wolno i skrupulatnie. Olko od czasu do czasu zerkał na ich sylwetki przedzierające się przez zapuszczony podszyt. Mężczyźni patrzyli na boki, patrzyli pod nogi, rozglądali się dookoła, czasami nawet zadzierali głowy do góry – właściwie nie wiadomo czego szukali, bo nie wiadomo, co mogli znaleźć. Ciało dziewczyny już od kilkunastu godzin leżało na stalowym blacie. Krajewski rzucił hasło „ślad”, ale było ono na tyle ogólne, że można było uznać za ślad porzuconą butelkę po wodzie mineralnej, zmięty papier, którym ktoś podtarł sobie tyłek czy kawałek materiału wiszący na sęku, którego nie zauważył amator leśnych przygód. Olce te działania wydawały się bezcelowe, bo wiedział, że w lesie niczego nie da się znaleźć na czas. Nawet w promieniu kilku metrów. W dzień oddział sto dwadzieścia jeden sprawiał jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie niż nad ranem. Śliwińska stawiała wielkie kroki w zbyt dużych butach i próbowała rękoma osłaniać twarz przed gałęziami. Kilka razy oblepiła ją pajęczyna i policjantka musiała się powstrzymać, żeby nie wydać z siebie okrzyku pełnego wstrętu. Pajęczyna na twarzy była jedną z tych rzeczy, których się brzydziła. Może dlatego tak niechętnie zapuszczała się na spacer do lasu? Teraz musiała panować nad emocjami, ale gdyby nie obecność tych wszystkich facetów, na pewno głośno by krzyknęła. Wykonała kilka panicznych ruchów wokół głowy, jakby chciała zrzucić z siebie gigantycznego pająka, na szczęście jej bezładnego machania nie zauważył nawet Olko. Dwa metry od niej szedł Matraszek z dwoma innymi technikami. Wpatrywali się w ziemię niczym wytrawni traperzy, może szukali odcisków butów w błocie, może liczyli na to, że gdzieś znajdą resztę stalowego kłębka, którym opleciona była ofiara?

Tego dnia wszyscy mieli miny skupione i poważne. Olko widział, że szeregowi policjanci sumiennie podchodzą do przeczesywania terenu, chociaż o tej porze roku było to wyjątkowo trudne.

Kiedy Śliwińska zrównała się z leśniczym, Olko zauważył, że ma lekko zarumienione policzki. Wyjął zza pazuchy piersiówkę i wyciągnął w jej stronę, puszczając oko.

– Domyślam się, że to nie jest herbata – powiedziała kąśliwie Śliwińska, ale wzięła piersiówkę.

– Pigwówka, dobre cztery lata temu. Pamiętam ten rocznik, bo wtedy znaleźliśmy chłopaka na grobli – dodał Olko.

– Tutaj? W tym oddziale? – Śliwińska wyraźnie się ożywiła.

– Nie, w sto trzecim. To zupełnie gdzie indziej, chociaż blisko osady. Też przeczesywaliśmy las, ale to była akcja na większą skalę, bo wiedzieliśmy tylko, że chłopak wjechał do lasu na rowerze i już z niego nie wyjechał. Psy, policja, helikopter, dzieciaki z klasy, dosłownie setki ludzi i nic. Nie odnalazł się.

– Mówił pan, że znalazł się przy grobli.

– W końcu się znalazł, ale rok później. Latem przyjechali do wsi Prawda niemieccy turyści. Nie wiem, czego tam szukali, ale wybrali się na romantyczny spacer do lasu. Weszli na groblę, gdzie nikt się z reguły nie zapuszcza, chociaż do dawnej gajówki, w której mieszka do tej pory nasz robotnik leśny z żoną i czwórka dzieci, jest może trzysta metrów, i to właśnie oni znaleźli ciało.

– Widział je pan? – zapytała policjantka.

– Tak, musiałem poczekać na policję. Byłem na miejscu tuż po turystach. Po roku na grobli z pięknego siedemnastolatka, którego zdjęcia widziałem w gazecie, niewiele zostało. Właściwie szkielet ubrany w trampki i wiatrówkę. Był dokładnie oczyszczony, może przez mrówki, ale chyba najgorsze było to, że czaszka leżała obok, dosłownie kilka centymetrów od kręgów szyjnych, tak jakby ktoś ją niechcący potrącił, pewnie jakieś zwierzę starało się ją gdzieś zanieść albo zakopać. – Olko pamiętał bardzo dobrze wzór na kurtce chłopaka i jego uśmiechniętą twarz z gazety.

– Myśli pan, że nic tu dziś nie znajdziemy? – Śliwińska upiła spory łyk pigwówki.

– Nie chcę być złym prorokiem, ale obawiam się, że im bardziej czegoś się w lesie szuka, tym mniej można to znaleźć.

– A nie wydaje się panu, że to brzmi jak zdanie wypowiedziane przez samego Kubusia Puchatka?

– Może i tak brzmi, ale to źle? – Olko rozłożył ręce w bezradnym geście, wziął piersiówkę od Śliwińskiej i ruszyli dalej.

*

Pół godziny później, gdzieś z lewej strony rozległa się komenda Krajewskiego – zarządził przerwę. Kiedy Olko ze Śliwińską wyszli na Guzendowy Dukt, komendant już na nich czekał. Na dłoniach miał lateksowe rękawiczki, a obok stał rower, stary niebieski składak bez lampki, z przerdzewiałym bagażnikiem.

– To rower zrywkarza Mareckiego, zgadza się z jego opisem. – Śliwińska wyjęła z tylnej kieszeni rękawiczki i zaczęła oglądać rower. – Widzi pan – odwróciła się po chwili do Olki – a jednak nie miał pan racji. Jeśli się tylko dobrze czegoś poszuka...

Krajewski spojrział na drugą stronę duktu, jakby chciał wzrokiem objąć i prześwietlić cały drzewostan. Podszedł do leśniczego z mapą.

– Rower znaleziono tu? – upewnił się, kładąc gruby palec na niebieskiej plamie.

– Tak, na poziomie tak zwanego użytku ekologicznego po lewo od duktu, a ciało znaleziono o tu. – Olko przesunął swój palec nieznacznie w górę, na prawo, już za linią duktu zaznaczoną na mapie kolorem zielonym. – W linii prostej może to być zaledwie kilka metrów... niby niedaleko, ale jednak – dodał.

Krajewski dopiero teraz zrozumiał sens słów leśniczego i wzdrygnął się. Mimowolnie spojrział na swoje buty, które oblepiała gruba warstwa błota.

– Gdzie jest ten cały Marecki? Dlaczego go tu nie ma? – prawie wrzasnął na Śliwińską.

– Czeka w samochodzie policjanta Zrębali. Nie chciałam go wysyłać jeszcze raz w pobliże miejsca zbrodni. Jest w kiepskim stanie psychicznym – odpowiedziała bez emocji Śliwińska.

– Może mu się polepszy, jak sobie rowerem pojeździ? – Krajewski wcisnął mapę w ręce Olki i rzucił do Śliwińskiej. – Sprowadźcie mi tu tego zrywkarza, i to już!

IV

Marecki rozpoznał swój rower. Miał jednak zmartwioną minę, kiedy do roweru podbiegł zdyszany Matraszek, w rękawiczkach, ze swoją nieodłączną srebrną walizeczką, i zaczął z gorliwością małego chłopca, który właśnie znalazł skarb, zdejmować z kierownicy odciski palców. Zrywkarz spojrział smutno na rower – nie zanosilo się, że odzyska go w najbliższym czasie. Widział w nim nie pordzewiały, zaniedbany składak, tylko synonim luksusu, drogi prezent dla jego syna na pierwszą komunię w latach osiemdziesiątych. Spod rdzy i błota wciąż przebijał niebieski kolor, a Mareckiemu przypomniało się, jak bardzo ucieszył się jego jedynak, kiedy ten dar otrzymał. To, że kilka lat później porzucił go dla pomarańczowego motoroweru typu Komar, nie miało teraz znaczenia. Rower służył Mareckiemu wytrwale, chociaż zrywkarz nie pamiętał, by kiedykolwiek cokolwiek w nim naprawił, no może raz czy dwa załatał opony. Składak starzał się razem z nim i tak jak jego ciało przybywało siwych włosów i dziur w zębach, tak składakowi ubywało szprych, a przybywało rdzawych plam na ramie. I podobnie tak jak rower stracił w końcu lampkę, która oświetlała drogę w czasie długich powrotów od Biedrzyka, tak Marecki stracił z oczu samego siebie. Nie pamiętał, ile razy przemierzył trasę pomiędzy swoim domem, a tamtym, zawsze w tym samym celu...

*

Twarz Mareckiego tego ranka przybrała odcień lekko fioletowy, a cienie pod oczami były o ton ciemniejsze. Była to twarz człowieka pijącego, ale też strapionego i smutnego. Marecki nie bardzo wiedział, czego chce od niego policja, skoro powiedział już wszystko to, co pamiętał. Krajewski patrzył na niego z wyraźną pogardą i wyższością. Zrywkarz skulił się w sobie pod jego ostrym, świdrującym spojrzeniem i Olko od razu wiedział, że ten nic nowego Krajewskiemu już nie powie. Komendant przechadzał się z Mareckim wzdłuż duktu niczym nauczyciel, który cierpliwie czeka aż krnąbrny uczeń w końcu powierzy mu swoją tajemnicę... Może nawet starał się być według swoich norm wyjątkowo delikatny i wyrozumiały, ale grzech pychy Krajewskiego oplótl ciało i umysł Mareckiego, niczym ssawki jemioly wnikające w ciało żywiciela. Pycha policjanta nie pozwalała mu na nawiązanie kontaktu z prostym, przestraszonym i otrzeźwiałym po raz pierwszy od kilku lat umysłem zrywkarza, który tego dnia nawet kolory

widział inaczej niż wszyscy i bał się własnych rąk, bowiem przy śniadaniu odmówiły mu posłuszeństwa i nie objęły kubka z mocną czarną herbatą... Marecki był dla rzeczywistości już dawno stracony. Alkohol zatruwał jego umysł regularnie od dnia, kiedy po raz pierwszy został u Biedrzyka na noc. Od tamtego czasu, choć sam nie wiedział dlaczego, wołał spędzać każdą wolną chwilę właśnie z nim. Komendant po rozmowie z Mareckim podszedł do Olki i Śliwińskiej szybkim krokiem, jakby właśnie sam z siebie dokonał przełomu w sprawie znalezionej wczoraj ciała.

– Czy ktoś już tego Biedrzyka odwiedził? – zapytał Śliwińską.

– Jeszcze nie, nie było kiedy – dodała policjantka, a Olko pomyślał, że Krajewski jest typem szefa, który nie nawykł do myślenia, a jedynie do wydawania poleceń służbowych, tak jakby od nich zależała jakakolwiek sprawczość.

– To na co pani czeka? Proszę wziąć miejscowego policjanta, może pana leśniczego, jeśli zna tego całego Biedrzyka, i z nim porozmawiać. Ten cymbał od drzew zachowuje się, jakby zobaczył diabła, a nie naga, martwą dziewczynę i szczęka ze strachu zębami przy każdej odpowiedzi.

*

Małuch Olki po nakarmieniu benzyną odpalił za pierwszym razem. Droga przez las nie była zbyt uciążliwa, chociaż jazdę po wąskich duktach trudno było nazwać komfortową. Policjantka odruchowo odchyłała głowę i zasłaniała twarz prawą ręką, kiedy o przednie szyby uderzały gałęzie. Olko kilka razy wjechał też na korzenie – nie pamiętał aż tak dobrze po tegorocznej zimie wszystkich miejsc z ukrytymi przeszkodami. Jazda po lesie zawsze miała w sobie coś z ducha rajdu, kiedy liczyła się spostrzegawczość i refleks kierowcy.

– Czy Biedrzyk będzie w domu? – zapytała Śliwińska. – Może trzeba było do niego najpierw zadzwonić – dodała wymęczona jazdą, po której bolały ją przede wszystkim piersi, mocno ściśnięte watomowanymi miseczkami.

Śliwińska nie lubiła swoich piersi, bo zawsze miała wrażenie, że są za duże. Nie lubiła też, kiedy mężczyźni je zbyt miętosili, bo nie odczuwała przy tym zbyt przyjemności, nie lubiła też, kiedy przesadnie się w nie patrzyli, bo uważała to za obraźliwe w stosunku do jej twarzy. Piersi nie były tematem dla Śliwińskiej i nie lubiła momentów takich jak ten, kiedy boleśnie sobie o nich musiała przypominać. Podczas podróży syknęła nawet

głośno, kiedy samochód prowadzony przez Olkę podskoczył po wjechaniu na wystające korzenie drzew, przecinające dukt niczym twarde, wypukły, krwiobieg. W trakcie tej podróży kilka razy mimowolnie zerknęła na leśniczego i dopiero teraz zauważyła jak bardzo jest przystojny. Miał ogorzałą twarz pokrytą dwudniowym, lekko rdzawym zarostem, krótkie włosy wpadające w ciemny blond lekko falowały na skroniach i czubku głowy. W czasie jazdy czoło miał skupione i ściągnięte, a duże dłonie o wypukłej, niebieskawej siatce żył mocno obejmowały kierownicę. Śliwińska zdziwiła się, że dopiero teraz zauważyła jego matową, cienką skórę w okolicach oczu, która zdradzała wiek, rozkładając się wachlarzem zmarszczek wokół lekko podkrążonych oczu. Policjantka mimowolnie zagryzła wargi tak mocno, że przy kolejnym podskoku samochodu poczuła, jak zęby boleśnie przegryzają skórę na jej ustach.

Odwróciła głowę w stronę szyby – nie chciała patrzeć, jak na luźnych zielonych spodniach w kolorze khaki rysuje się zarys męskiego uda, kiedy leśniczy zmieniał biegi.

Wyobraziła sobie, jak Olko traci panowanie nad kierownicą, samochód gwałtownie skręcając uderza w drzewo, a ona, ulegając sile odśrodkowej, wbija się bezwładnie w jego ciało, gdzieś pomiędzy pachę a żebra. Samochód zatrzymuje się, jej wzrok spotyka się z jego wzrokiem... On nieznacznie pochyła się ku jej twarzy, ona nie może unieść głowy, ale siła spojrzenia pomiędzy nimi jest tak duża, że nic już nie może przerwać niewidzialnej nici pożądania, która oplata ich twarze coraz mocniej. Po chwili leśniczy dotyka jej nadgryzionych ust i zlizuje z nich kreskę krwi, sam je dotkliwie kęsając, ona chwyta go za kark, który się nie ugina i oddaje pocałunek. Zaczynają się opętańczo całować, do bólu, ich zęby uderzają o siebie, jakby chcieli się przez nie przedrzeć. Śliwińska obejmuje rękoma jego głowę, mierzwi włosy, wciska palce w skronie, jakby chciała włożyć je do środka. Wszystko odbywa się na tym jednym, jedynym magnetycznym spojrzeniu – oboje nie mogą nawet na sekundę uciec wzrokiem, bo to, co zobaczyli w źrenicach drugiego jest widzeniem pełni. Przed nimi rozpościera się czarny, bezbrzeżny ocean, w którym powoli się zanurzają, nie czując i nie widząc nic poza swoimi ciałami.

– Dojechaliśmy – rzucił Olko, hamując przed pordzewiałą, niegdyś srebrną bramą.

Śliwińska jeszcze przez chwilę siedziała nieruchomo sparaliżowana erotyczną fantazją. Nacisnęła klamkę, ale drzwi samochodu nie puściły.

Otworzył jej Olko, podał dłoń... Śliwińska udała, że tego nie widzi.

Dopiero teraz, kiedy weszli na podwórko Biedrzyka doceniła, że Olko zaproponował w ten pochmurny, wiosenny dzień kalosze. Trudno było opisać podwórkowe klepisko innym słowem niż maź. Czarna, kleista i śliska maź wypełniała szczelnie całe obejście ogrodzone chwiejącą się, pordzewiałą siatką. Podwórko miało formę dużego kwadratu, w rogu którego gospodarz wybudował pod koniec lat siedemdziesiątych betonowy sześcian, potocznie nazywany „kostką”. Była to budowla tania, otynkowana na szaro. Spod spękanego tynku widać było zarysy sinych pustaków. Sama kostka nie miała żadnych elementów ozdobnych – dwa okna parteru i dwa okna na piętrze przystrojone firankami. Olko szedł przodem wzdłuż ściany domu. Znał to obejście, ale nie lubił tu zaglądać. Biedrzyk teoretycznie był chłopem, miał kilka hektarów ziemi, kilka krów, cztery świnie, kury, gęsi, króliki i kaczki, ale ani o ziemię, ani o zwierzęta nie dbał. Cały inwentarz oprócz krów pławił się przez okrągły dzień w czarnej mazi rozdeptanego klepiska, pośrodku którego stało drewniane koryto. Od czasu do czasu Biedrzyk sypał lub wyrzucał do niego coś, co być może nadawało się do zjedzenia – nie była to bynajmniej pasza dla zwierząt, a Biedrzyk nie zajmował się inwentarzem regularnie, tylko od niechcienia. Efekt był taki, że zwierzęta były wiecznie głodne, a każdy odwiedzający był traktowany jako potencjalny karmiciel. Biedrzyk nie miał w zwyczaju zamykania zwierząt w poszczególnych zagrodach, więc cała ta menażeria włóczyła się po podwórku w wiecznym oczekiwaniu na stare obierki, spleśniałą kaszę perłową czy czerstwe bułki. Teraz do Olki też podbiegła wielka maciora, która bez pardonu przystawiła swój wielki, brudny ryj do kieszeni jego spodni i próbowała wyniuchać, czy nie znajdują się tam choćby zeszłoroczne żołądźcie. Na Śliwińską natarł zadziorny kogut w otoczeniu zrzedliwych indyczek. Okrzyły ją czarnym wieńcem i rzucały w jej stronę swoje różowe, przerośnięte podgardla z bulgoczącym jazgotem. Policjantka oparła się o ścianę domu i przystanąła. To był taktyczny błąd, bo wygłodniała maciora natychmiast przekierowała całą uwagę na nią i zaczęła ją brutalnie obwąchiwać, zanurzając swój ryj w każde zagięcie spodni. Na szczęście Olko przegonił maciorę, objął policjantkę jakby znajdowali się w strefie okupowanej i szybko, wzdłuż ściany budynku przeszli za załom, za którym rozpościerał się jeszcze gorszy widok.

W tylnej ścianie na parterze nie było okien. W bryłę budynku ktoś wkomponował otwór garażowy, prawdopodobnie z przeznaczeniem i na

ciągnik, i na samochód osobowy, bo otwór był bardzo duży, po dwóch stronach oskrzydłony przegniłymi odrzwiami rozwartymi na oścież. Wewnątrz nie było żadnych pojazdów. Kanał zakryty był czarnymi od brudu deskami. Obok ustawiony był długi stół zbity ze źle oheblowanych stempli pozostałych po szalunku i kilku desek zamiast blatu – równie czarnych co reszta podłogi i pomieszczenia. Śliwińska, wchodząc do tej przestrzeni poczuła, że swędzi ją skóra na całym ciele. Choć nie było tu żadnego pieca, wszystko było wymazane czernią – ściany, blat stołu, podłoga, nawet sufit był ciemnoszary. Trzydzieści lat temu był pewnie biały. Pomieszczenie oświetlała goła żarówka przytwierdzona do sufitu, dająca jednostajne światło, co podkreślało zastraszający stan pomieszczenia. Wzrok policjantki padał na detale, na które wcale nie chciała patrzeć. W rogu garażu, tuż przy wejściu, po lewej stronie stał gruby pieńek z wbitym w niego siekierą. Widać było na niej kilka rudych piór... Po drugiej stronie piętrzyła się sterta jutowych worków – skłębiona i zakurzona. Pod sufitem zwieszały się tłuste od sadzy pajęczyny, które falowały pod wpływem powietrza. Po chwili Śliwińska zorientowała się, że pod stołem coś się rusza. Kiedy nieznacznie się pochyliła, pod poziomem blatu dostrzegła wielkiego królika o oklapniętych uszach. Był bury. Pewnie z brudu, choć nie można wykluczyć, że taki był naturalny kolor zmierzwionego i wypadającego kępkami futra. Olko również rozejrzał się po pustym – nie licząc królika i jakiejś zabiedzonej kury – wnętrzu. W tle, po prawej, prowadziły do góry betonowe schodki bez żadnej balustrady – zapewne na Biedrzykowe salony...

– Panie Biedrzyk! – krzyknął Olko w stronę schodów.

– Może go nie ma? – zapytała z nadzieją Śliwińska.

– Panie Biedrzyk! – Olko krzyknął jeszcze raz i odwrócił się do Śliwińskiej. – Na pewno jest. Gdyby go nie było, brama byłaby zamknięta.

Po dłuższym czasie usłyszeli z góry odgłosy krzątania. Towarzyszył temu dźwięk zanurzania twarzy w wodzie zakończony głośnym pluciem. Śliwińska odwróciła się w stronę otwartych drzwi i podeszła bliżej. Wołała wyjść na błoto, ale usłyszała zbliżające się odgłosy zajadłego świńskiego pokwikiwania i postanowiła zostać w środku. Po kilku minutach ze schodów zszedł Biedrzyk.

Szeroka twarz okolona siwą szczeciną lśniła jeszcze od wody, podobnie jak potargane siwożółte włosy. Mężczyzna miał na sobie drelichowe spodnie, które trzymały się na kawałku sizalowego sznurka, wypłowywały T-

shirt w dziwnym odcieniu fioletu, a na nogach bez skarpet koślawe półbuty z wyciętą piętą, które służyły mu za kapcie. Zszedł szerokim krokiem, na krzywych nogach. Widać było, że przed chwilą wstał, bo z bliska na jego twarzy można było dostrzec ślady po odgniecionym na twarzy prześcieradle. Biedrzyk skinął głową na powitanie i podszedł do stołu. Przesunął grubą i silną ręką wszystkie rzeczy, które tam stały, zdjął z gwoźdźca wbitego w ścianę ścierkę, przetarł blat z wyjątkową wprawą, jakby w poprzednim życiu był karczmarzem, westchnął i zasiadł na stołku, opierając ręce o blat. Śliwińska domyśliła się, że było to zaproszenie. Rozejrzała się i dostrzegła pod blatem jeszcze jeden stół, wyciągnęła go i usiadła naprzeciwko Biedrzyka. Mężczyzna spojrzawszy na nią przekrwionymi, spuchniętymi z niewyspania oczami w kolorze rozwodnionego błękitu.

– Darujmy sobie ceregiele – powiedział od razu, zanim Śliwińska zdążyła wypowiedzieć swoją funkcję i nazwisko. – Nie muszę być jasnowidzem, żeby wiedzieć, że pani jest z policji. – Biedrzyk patrzył na nią wzrokiem obojętnym, ale uważnym. – Skoro pan leśniczy mnie obudził, to niech pani szybko pyta, bo muszę oporządzić gospodarstwo. – Powiedział to takim tonem, jakby był wyjątkowo pracowitym człowiekiem...

– Czy może pan powiedzieć, o której w niedzielę wyszedł od pana pan Marecki? – Wiedziała, że pytanie nie ma sensu, ale musiała je zadać.

Chyba najbardziej nie lubiła w swojej pracy pytań z gatunku porządkujących: kto, kiedy, o której. To wszystko dawało się ustalić inaczej, ale jej obowiązkiem było właśnie takie pytania zadawać.

– Ja od osiemdziesiątego dziewiątego roku zegarka nie noszę, jak się tylko wolność w naszym kraju zaczęła, to wyrzuciłem zegarek w pole. Tak rzuciłem, daleko... – Ręka Biedrzyka odkleiła się od blatu i wykonała swobodny, płynny i bardzo powolny ruch nad głową, który równie dobrze mógł oznaczać wyrzucanie czapki. – Rzuciłem czasem o ziemię i przestał mnie dalej obchodzić – dodał.

– Czyli nie pamięta pan, która mogła być wtedy godzina? – Policjantka musiała trzymać się faktów.

– Środkowa to godzina była, środkowa. – Biedrzyk pokiwał głową.

– Czyli jaka? – próbowała się zorientować.

– No albo druga, albo trzecia. – Biedrzyk wzruszył ramionami, jakby godziny środkowe obowiązywały na całej kuli ziemskiej. Policjantka

zerknęła na leśniczego, który stał w otwartych drzwiach garażu i patrzył na ryjącą w błocie maciore.

– A kiedy do pana przyszedł z wizytą?

– Od razu po robocie, w piątek. Pomógł mi poprzerzucać siano w oborze, a potem zasiedliśmy do stołu. – Biedrzyk przeniósł wzrok na rzeczy, które przed chwilą odsunął. Wśród nich były dwa emaliowane obtłuczone kubki, zatłuszczone papiery po wędlinach, niedopita herbata w szklankach, okruchy chleba, resztki smalcu w kamionkowym naczyniu i dwa zmięte opakowania po papierosach. Śliwińska spojrzała na kubki, z których dochodził słodkawy zapach drożdży, niechybny znak, że naczynia musiały być wypełnione bimbrem.

– Zakrapiane spotkanie? – Śliwińska nie lubiła słowa „zakrapiane”, ale często go używała, bo słowo „libacja” wydawało się jej jeszcze bardziej negatywnie nacechowane. I choć wszystko wokół świadczyło o jednej wielkiej libacji, którą bez wątpienia było życie Biedrzyka, wołała zapytać nieco delikatniej.

– A niby jakie miało być? Niezakrapiane? – Biedrzyk spojrzał na nią mętnym wzrokiem i uśmiechnął się obleśnie. – Męskie, samotne i zakrapiane. Takie jak życie, nie?

Śliwińska spuściła wzrok i wstała od stołu.

– Czy mogę się rozejrzeć po pana domu? – Czowała na sobie jego wzrok, który zatrzymał się w okolicach jej pośladków. Śliwińska miała opanowaną strategię ubierania się tak, żeby nie eksponować bioder, piersi i twarzy. Nosiła zawsze czarne spodnie o męskim kroju, granatową kamizelkę, która kończyła się na linii bioder, czarny golf i dopasowany stanik w cielistym kolorze maskujący przebijające sutki. Włosy zawsze upinała w zwykły koński ogon, na który często wkładała policyjną czapkę. W pracy nie używała żadnej biżuterii, a w twarz wcierała matowy podkład. Miała tylko jedną słabość. Często pod bezkształtne spodnie wkładała koronkowe majtki, klasyczne figi w czarnym lub czerwonym kolorze. Tego dnia też miała na sobie czarną bieliznę w drobne czarne kropki. I choć nigdy nie nosiła stringów, poczuła się nagle zdemaskowana przez Biedrzyka, tak jakby ten starzejący się, powolny i zwalisty mężczyzna o wyblakłym spojrzeniu widział, jak opinają jej wypukłe, mocne pośladki. Śliwińska nienawidziła tych momentów, kiedy obcy mężczyzna okazywał jakiegokolwiek zainteresowanie jej płcią. Policjantka nie spojrzała na Biedrzyka. Zaczęła iść w stronę betonowych schodów wiodących na piętro,

kiedy usłyszała odgłos pomiędzy mlaskiem a cmoknięciem. Poczwała, że zaraz zwymiotuje na schody, ale po kilku głębokich oddechach napięcie w żołądku ustało. Na schody weszła już sprężystym, pewnym krokiem, jakby Biedrzyka nie było w ogóle przy stole.

*

Olko patrzył w błoto, po którym przetaczała się głodna maciora, nieustannie buchtowała w poszukiwaniu jedzenia. Zza jego pleców Biedrzyk wyrzucił miskę obierek po ziemniakach. Natychmiast zbiegły się wszystkie zwierzęta: kaczki i kury próbowały wyrwać coś dla siebie, podobnie jak indyczki, ale maciora była bezwzględna – z głośnym kwikiem nacierała na przeciwników, a w krótkich przerwach pożerała obierki. Gospodarz stanął obok leśniczego na szeroko rozstawionych nogach, spojrział na niego i zagadnął, zaciągając się czerwonym marsem, od którego odłamał filtr.

– Śmierć zawitała do pana lasu, co? – zapytał, a Olko nie wiedział, czy pyta złośliwie, czy z troską. Olko nie lubił Biedrzyka, bo miał wrażenie, że jest złym człowiekiem. Przebywanie w jego obejściu zawsze sprawiało na nim przygnębiające wrażenie. Zupełnie nie rozumiał, dlaczego Biedrzyk tak męczy swoje zwierzęta. Nie musiał ich w ogóle trzymać. Miał kilka hektarów ziemi za domem i pod lasem, uprawiał pszenicę i żyto, pędził nielegalnie bimber, który sprzedawał okolicznym mieszkańcom i na pewno nie brakowało mu pieniędzy. Olko miał poczucie, że te wszystkie rozszalałe, wygłodniałe, brudne i umęczone zwierzęta, tańczące w błocie od prawa do lewa są emanacją stanu chorego umysłu Biedrzyka. Leśniczy był prawie pewien, że gdyby rozplątano Biedrzykowi głowę, wylałoby się z niej to samo błoto, w którym musiał w tej chwili stać. Nie miał ochoty z nim rozmawiać, ale czuł na sobie jego natrętne spojrzenie.

– Zawitała jak co roku, panie Biedrzyk – chciał dodać coś o cyklu natury, ale chłop zarechotał.

– Ale ja nie mówię o wiośnie, tylko o tej powieszonej.

– Skąd pan wie, że była powieszona?

– Żona Mareckiego do mnie przyjechała. Powiedziała, że Marecki ledwie żyje, po tym jak znalazł tę babę w lesie. Dobrze, że świeża była, bo takie nadgryzione damskie trupy, to się mogą i po nocach śnić, nie? – Biedrzyk szturchnął leśniczego w bok, jakby właśnie wypowiedział bardzo dobry żart.

– A dużo pan widział nadgryzionych babskich trupów? – Leśniczego zaciekawilo to stwierdzenie.

– Ja? Ani jednego, ale ojciec mi opowiadał. Jak się upił, to często mówił, że ludzkie truchło niewiele się różni od zwierzęcego. To mięso i to mięso. Za okupacji się napatrzył. A temu teraz ta z lasu musiała nieźle zależeć za skórę, franca jedna, skoro ją tak ładnie we wnykach powiesił. Komu by się tak chciało dla baby wysilać? – Biedrzyk splunął w błoto.

Olko znał niechęć do kobiet, z której Biedrzyk słynał w okolicy, od kiedy jego żona uciekła do Niemiec z dwójką synów w pewną zimową noc osiemdziesiątego trzeciego roku. Rozumiał to rozgoryczenie, bo jego spotkało to samo, ale nigdy by nie pomyślał, że nienawiścią do jednej kobiety można obdarzyć również wszystkie inne. U gospodarza nienawiść przekładała się widocznie także na zwierzęta. Kiedy maciora podeszła bliżej drzwi, chłop kopnął ją w bok, wołając głośno:

– Poszła, precz! Kurwo brudna!

Może wydawało mu się, że im głośniejszy krzyknie, tym bardziej maciora go zrozumie? Olko czekał z niecierpliwością na powrót Śliwińskiej, bo nie chciał spędzić w towarzystwie Biedrzyka ani minuty dłużej.

*

Śliwińska po wejściu na piętro domu nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Piętro domu Biedrzyka lśniło czystością: podłoga w salonie i pokojach była wyłożona jasnym, lakierowanym parkietem, meble na wysoki połysk. W salonie na grubym, beżowym niemieckim dywanie stała ława i dwa fotele. Na ławie leżał lniany, ręcznie wyszywany łowicki bieznik, a na nim kamionkowy wazon z bukietem suszonych suchołusek, których Śliwińska nie widziała już od lat. Na ścianie wisiał obrzydliwy, ale nowy zegar ze złotą tarczą zatopioną w wyciętych skórkach farbowanych na różne odcienie wiśni. Był też stół pod oknem przykryty serwetą oraz wersalka ozdobiona poduszkami w bistorowych, brązowych pokrowcach. Piętro wyglądało na niezamieszkałe, ale widać było, że jest regularnie odkurzane. Przez drzwi wiodące z salonu Śliwińska weszła do kuchni zaopatrzonej w białe, laminowane szafki z brązowymi uchwytyami. Policjantka odruchowo zaczęła zaglądać do szafek i szuflad – były puste. Po przejściu do sąsiadującego z kuchnią pokoju domyśliła się, że to sypialnia Biedrzyka. W pokoju zasłoniętym szarą od dymu firanką stała jedynie wąska kozetka, na której piętrzyła się skołtuniona kołdra. Obok

łóżka stał słoik wypełniony niedopałkami, a ściany wyklejone były pozdzieranymi, czarno-białymi plakatami zespołów metalowych. Jak można się było domyślić, z kolekcji Biedrzyka to one nie pochodziły. W rogu stała tania szafa z płyty pilśniowej, do której Śliwińska również zajrzała: zamiast ubrań były w niej skrzynki wypełnione pustymi butelkami po wódce. Ciekawe, gdzie trzyma aparaturę do wytwarzania bimbbru – pomyślała Śliwińska. Piętro domu, mimo że czyste i urządzone wcale nietanymi meblami, zrobiło na niej przygnębiające wrażenie. Miało w sobie coś z atrapy, coś z mieszkania z nieudanego katalogu i zapach pustki. W żadnym z pomieszczeń nie zauważyła ani żywej rośliny, ani przedmiotów osobistych – zdjęć, bibelotów, pamiątek. Gdy wychodziła, na podłodze salonu zauważyła jedynie jakiś brązowy duży paproch. Podeszła bliżej i okazało się, że jest to zasuszona mysz. Śliwińska wzdrygnęła się i zbiegła na dół. Kiedy przechodziła przez czarny garaż, poczuła, że całe jej ciało pokrywa gęsia skórka.

V

Podczas drogi powrotnej oboje milczeli zatopieni we własnych myślach. Olce przypomniała się scena, kiedy ekipa dochodzeniowa ubrana w specjalne kombinezony zabrała ciało młodego samobójcy, z którego został jedynie objedzony szkielet. Kiedy zebrano szczątki do worka, na trawie pozostała dziwna forma mazi w ciemnym kolorze – coś na kształt stężałego bulionu o konsystencji smaru. Olko pamiętał, że dopiero ten widok wstrząsnął nim do głębi; jakby ostatnie soki z młodego chłopaka buntowały się przed wniknięciem pod powierzchnię i ostatecznym zjednoczeniem się z ziemią. Widok błota na podwórku Biedrzyka wywołał w pamięci tamten obraz i Olko poczuł paniczny strach przed śmiercią. W jej obliczu wszystkie prozaiczne czynności wydawały się pozbawione sensu.

Śliwińska pocierała odruchowo przedramiona. Było jej zimno. Maluch nie miał ogrzewania i po wejściu do samochodu znów dostała gęsiej skórki. Policjantka pomyślała o własnym mieszkaniu urządzanym w pośpiechu i bez zapachu trzy lata temu – może dlatego, że właśnie wtedy rozstała się z Pawłem? Mieli zamieszkać tam razem, ale im dłużej trwał remont, tym mniej jej chłopak się angażował; tydzień przed przeprowadzką oznajmił, że

nie może z nią zamieszkać, bo zakochał się w kimś innym. Z perspektywy czasu dla Śliwińskiej było to uczciwe postawienie sprawy. Na pewno gorzej by zniosła sytuację, gdyby chłopak wyprowadził się po kilku miesiącach od przeprowadzki, ale i tak przestrzeń tego mieszkania była od początku ułomna. Nigdy nie urządziła go do końca – w kuchni ze ścian nad zlewem wystawały kable do kinkietów, w sypialni leżał na podłodze sam materac, w salonie zawisł żyrandol, ale brakowało stołu. To puste mieszkanie, do którego zwiozła mnóstwo kartonów przetrzymywanych w piwnicy, nie miało z nią nic wspólnego, i Śliwińska czuła się tam coraz gorzej. Myśl o wyprowadzce jeszcze bardziej ją zniechęcała – nie był to wysiłek, na który była teraz gotowa. Przeraziła ją myśl, że w domu Biedrzyka i w jej mieszkaniu panuje ten sam rodzaj martwej, nieludzkiej pustki, która wywołuje rodzaj nieodwracalnej paniki. Śliwińska mogłaby przysiąc, że z każdego kąta, zarówno w jej mieszkaniu, jak i w domu Biedrzyka słyszała cichy szept: Uciekaj stąd!

*

Kiedy wrócili na miejsce, w którym Marecki znalazł ciało, czekał już na nich wyraźnie zadowolony Krajewski z czerwonym termosem pod pachą. Kiedy tylko Śliwińska wysiadła z samochodu, podetknął jej pod nos jednorazowy kubek i naleł ciepłej herbaty.

– Mam dobre wiadomości w zalewie złych – powiedział takim tonem, jakby właśnie ujął mordercę w pobliskich krzakach.

Śliwińska po wizycie u Biedrzyka nie była w stanie wykrzesać z siebie nawet odrobiny entuzjazmu. Spojrzała na swojego szefa, który wydał się jej tak samo obrzydliwy jak Biedrzyk.

– Zidentyfikowaliśmy dziewczynę. To Anna Konik, lat dwadzieścia jeden, studentka, zamieszkała w Łodzi, przy ulicy Wschodniej dziewiętnaście. Zaginięcie zgłosiła jej matka, Danuta Konik, sześć dni temu, dziś potwierdziła tożsamość ofiary. Jutro czeka cię dzień z mamusią. Już cię umówiłem. – Krajewski ucieszył się jak dziecko ze swojego żartu, a Śliwińska pomyślała, że tylko głupcy są w stanie ekscytować się własnym poczuciem humoru. Zgniotła plastikowy kubek i wcisnęła go do kieszeni kamizelki. Ruszyła w stronę Olki. Odchodząc, zauważyła, że kubek Krajewskiego leży na ziemi, obok jego uwalanych błotem półbutów.

ROZDZIAŁ V

Ptaka nocy

I

Śliwińska spostrzegła, że w kuchni leśniczego nagle zrobiło się czyściej. Leśniczy musiał posprzątać, kiedy ona wysłuchiwała dwugodzinnej tyrady Matraszka o sprycie sprawcy – nie pozostawił prawie żadnych śladów. Matraszek zastanawiał się na głos, jak to możliwe, że ktoś, działając w terenie, zachował tak dużą ostrożność. Musiał długo obmyślać swój czyn, bo Matraszkowi w tej sprawie nic nie wydało się przypadkowe. Miał kilka teorii na temat tego, jak ciało dziewczyny zostało przetransportowane do lasu i jutro rano zamierzał osobiście je zademonstrować ekipie. Podejrzywał, że sprawca miał na sobie jakiś rodzaj stroju, który uchronił go przed pozostawieniem łatwych do zidentyfikowania śladów biologicznych. Dlatego poważnie rozważał zebranie wszystkich liści w promieniu metra albo dwóch od ciała ofiary i dokładne przebadanie materiału oraz pobranie próbek ziemi. Zdawał sobie sprawę, że to praca przypominająca robotę Kopciuszka, ale nie miał innego pomysłu. Jeden włos sprawcy, jeden włos – myślał w duchu Matraszek. Zadziwiła go też liczba tropów dzików, których liczne odciski znajdowały się wokół ciała. Technik snuł wizje, że może zwabił je do powieszony dziewczyny jakiś szczególny zapach, ale w tej chwili nie potrafił jeszcze tej teorii uzasadnić. Podzielił się za to sugestiami z podleśniczym do spraw łowieckich, który potwierdził, że dziki mają wybitny węch, ale w oddziale sto dwadzieścia jeden nie występują wartościowe dęby ze smacznymi dla zwierząt żołądziami, a dziki przechodzą raczej przez ten oddział w poszukiwaniu błota i wody. Podleśniczy też nie potrafił wytłumaczyć tak licznych dziczych tropów, ale ku zgrozie zgromadzonych policjantów opowiedział, że dziki chętnie jedzą padlinę i może fakt, że ciało wydziela po śmierci specyficzną woń, przyciągnął zwierzęta?

*

Olko siedział przy stole w salonie i przeglądał zdjęcia z miejsca zbrodni. Faktycznie wyglądało to tak, jakby cała wataha dzików zbiegła się obwąchać martwą dziewczynę. Może nawet zdarzyło im się rechtać i charkotać na ten widok, może wymieniały się jakimiś informacjami, których my, ludzie, nie potrafimy odczytać?

Leśniczego zastanawiało jednak to nawarstwienie śladów, które jakoś instynktownie nie pasowało mu do natury dzików. Na pewno nie porównałby ich charakteru do leśnych pieniaczy, którzy szukają sensacji w każdym wydarzeniu. O takie zachowanie mógłby podejrzewać już prędzej lisy, które są bardziej ciekawskie i lubią sprawdzać, czy gdzieś w pobliżu trafi się łatwa zdobycz. Widział zresztą parę razy lisy, które rozwlekają resztki padłych saren, ale dziki?

Śliwińska usiadła obok niego. Przyjrzała się jasnej, niewinnej twarzy Anny z legitymacyjnego zdjęcia, które zdążył wyszperać Krajewski. Nie miała ochoty na jutrzejszą rozmowę z jej matką, bo wiedziała, że z rozmowy nic nie wyniknie. Scenariusz w takich przypadkach był jeden: zapłakany, zszokowany rodzic, nic nie pamiętający z życia własnego dziecka. Albo nie pamięta, albo nic nie wie: nie pamięta imion przyjaciół, nie wie, jak dziecko spędzało czas, gdzie lubiło przebywać, z kim się spotykało. Musi upłynąć wiele dni, zanim osierocony rodzic przypomni sobie jakiś nieistotny fakt, drobiazg czy historię, która może pomóc w śledztwie. Policjantka przesłuchiwała wielu rodziców w swoim życiu: ich dzieci, nawet jeśli zdarzyło im się kogoś zarznąć nożem albo udusić, były chodzącymi ideałami. Właściwie bez jakichkolwiek cech charakteru. Dobre, miłe i grzeczne, tak jakby rodzice przegapili moment, kiedy dziecko obrasta i nasiąka tym, co zewnętrzne. Jeśli potrafili wymienić z imienia i nazwiska przyjaciół i znajomych swoich dzieci, to nie potrafili z reguły nic więcej o nich powiedzieć; jeśli wiedzieli, gdzie dziecko chodzi, to nie mieli pojęcia, co się w tych miejscach dzieje. Tak jakby łącząca ich z dziećmi nić stawała się niewidzialna. Oczywiście, kiedy padało pytanie o to, czy w ogóle znają własne dziecko i czy mają z nim dobry kontakt, odpowiedź zawsze była ta sama: Znamy je doskonale i mamy z nim świetny kontakt. Tymczasem policjantka prawie za każdym razem przesłuchując rodziców, musiała obcować ze skutkami rodzicielskiej i wychowawczej klęski. Co matka Anny Konik powie jej jutro o córce?

– To nie mogły być dziki. – Olko wyrwał ją z rozmyślań.

– Jak to? – Śliwińska spojrzała na zdjęcia, które podsunął jej Olko. – Przecież to są tropy dzików. Chyba tak wyglądają? Nie można ich pomylić ani z tropami sarny, ani z tropami daniela. Tak przynajmniej twierdził leśniczy do spraw łowieckich. Jak on się właściwie nazywa? – dopytała.

– Stasiek Michoń. Przecież nikt tego nie kwestionuje. Fakty się zgadzają. To są tropy dzików, ale nie zostawiły ich dziki – upierał się Olko.

– No to kto?

– Człowiek! Nie wiem jeszcze, jak to zrobił, ale na pewno nie był to dzik.

– Ale widziałam te tropy na własne oczy! – Policjantka nie była przyzwyczajona do kwestionowania racjonalnych dowodów.

– Ja też widziałem wielokrotnie świętego Mikołaja – odciął się leśniczy. – Jeśli przyjrzy się pani tym tropom, to zauważy pani, że po pierwsze, zrobił je jeden dzik, a po drugie, był to dzik, który musiałby mieć powyżej metra osiemdziesięciu wzrostu, a na dodatek umiał chodzić na dwóch tylnych łapach, bo liczba odcisków tylnych racic nie zgadza się z liczbą odcisków przednich. – Olko spojrzał na zdziwioną minę Śliwińskiej. – Będzie lepiej widać, jeśli przekalkujemy same tropy ze zdjęć – zaproponował leśniczy.

Śliwińska zaczęła nerwowo liczyć na zdjęciach wyraźne odciski dziczych raciczek.

– I niech pani zwróci uwagę, że dzik był tylko jeden, bo wszystkie ślady są w tym samym rozmiarze.

– Może to był samotny odyniec? – Śliwińskiej jakoś trudno było sobie wyobrazić człowieka używającego butów, które zamiast podeszwy mają racice dzika.

– Wie pani, ile waży odyniec? Jakieś sto kilo więcej od każdego męskiego osiłka. Gdyby to był odyniec, jego tropy na pewno byłyby o wiele głębsze. To wszystko trzeba jeszcze pomierzyć, policzyć, ale na razie nie widzę innej możliwości. – Olko spojrzał na nią z troską.

Śliwińska poczuła, że musi skapitulować wobec wersji leśniczego. Biorąc pod uwagę okoliczności znalezienia ciała i zgromadzone dowody, jego hipoteza wydawała się słuszna, a nawet jedyna z możliwych. Zastanawiała się tylko, w jaki sposób sprzedać ją Krajewskiemu, który był przyzwyczajony do szybkich i sprawdzonych rozwiązań, a nie spraw poziomem komplikacji wykraczających poza krajowe standardy.

– Ten człowiek-dzik zaczyna mnie przerażać – przyznała szczerze i poprosiła leśniczego o kieliszek nalewki.

II

Tej nocy leżała pod pierzyną jak pod wielką górą białego śniegu. Kiedy ją z siebie zrzucała, było jej zimno i zaczynały ją wstrząsać dreszcze, kiedy się przykrywała, zaczynała się dusić. Sama nie wiedziała, czy to przez pierzynę, czy ze strachu. W pewnej chwili zrozumiała, że tej nocy już nie zaśnie i postanowiła się ubrać. Wkładała ubranie w ciemności przeplatanej sinym światłem księżyca. Podeszła do okna, którego szyby były zawilgotniałe od jej własnego oddechu i dostrzegła przez gęste gałęzie żywotnika wielką tarczę księżyca w pełni. Im dłużej się w niego wpatrywała, tym bardziej chciała znaleźć się na zewnątrz.

W mieście rzadko miała okazję patrzeć na księżyc – właściwie nie zwracała na niego uwagi, ale tutaj nie mogła go zignorować. Czowała, że twarz księżyca obraca się specjalnie ku niej. Blask oświetlił jej dłonie i były perłowoniebieskie, jakby jej ciało zmieniło kolor. Zeszła na dół na palcach, po cichu, żeby nie budzić leśniczego.

Znalazła się na podwórku i z daleka dostrzegła świecące ślepia owczarka Joyce'a. Nie szczeknął. Być może pełnia zrównała ich w doświadczeniu, które tak samo wpływało i na zwierzęta, i na ludzi.

Śliwińska głęboko westchnęła i wciągnęła do płuc zimne, rześkie powietrze. Kiedy je wydychała, zauważyła, że wokół jej twarzy utworzył się obłok pary. Może właśnie w takich krótkich momentach, pomiędzy jednym a drugim świadomym oddechem tak naprawdę czujemy, że jest w nas życie?

Rzadko miała okazję zastanawiać się nad samą sobą. Od dnia, w którym zdecydowała się zostać policjantką, całą uwagę kierowała na zewnątrz. Na sprawy, na przypadki, na innych. Tak jakby się bała zwracać uwagę na samą siebie. Dopiero teraz, wdychając ostre wiosenne powietrze, po raz pierwszy od wielu lat poczuła, że ma ręce, głowę, nogi, piersi i trzewia. Ten z nagłą uświadomiony ciężar ciała sprawił, że Śliwińska chciała rzucić się na ziemię i wytarzać w trawie i błocie. Zrobiła nawet krok do przodu i przysiadła w ciemności, dotykając ręką mokrej trawy, ale po chwili jej ciało zachciało się biegać.

Biegła w ciemności, nie patrząc pod nogi. Kiedy ruszyła, podskoczył ku niej pies leśniczego i dalej biegli już razem, zataczając coraz szersze koła po blado oświetlonym podwórku. Owczarek odbiegał i przybiegał niczym najlepszy towarzysz zabaw: czujny, ale nie natarczywy. Śliwińska w pewnym momencie usłyszała, jak przez ciszę przebija się jakiś dźwięk. Dopiero po chwili doszło do niej, że to jej własny śmiech rozbrzmiewa w mroku i odbija się echem od pobliskiej ściany lasu. Zziębnięta oparła się o drzewo i dostrzegła, że przy drugim żywotniku stoi Olko. Stał odwrócony do niej bokiem i na pewno zdawał sobie sprawę z jej obecności, ale nie spojrzał w jej stronę. Księżyc ledwo wyświeślał kontur jego sylwetki. Uspokoila oddech i poczuła, że właśnie w tej chwili musi do niego podejść. Była to potrzeba tak silna, jakby byli ostatnimi ludźmi na ziemi. Kiedy dotknęła jego ramienia, leśniczy odwrócił się do niej powoli, nie był zaskoczony. Jedną rękę położył jej na ramieniu, drugą objął mocno w pasie, po czym pchnął ją delikatnie na drzewo. Nie opierała się. Dotknęła jego twarzy, a potem jej ręka zaczęła się zsuwać niżej jak roślina, która oplata ciało i chce wniknąć w każdy zakamarek. Wyszarpała podkoszulek i obie dłonie włożyła pod jego pachy, jakby chciała je ogrzać. Po drodze jej palce musnęły owłosioną klatkę mężczyzny i jego małe, twarde sutki.

Olko patrzył jej w oczy. Było w nim pożądanie, ale był też spokój. Pewność jego ruchów nie miała nic wspólnego z szamotaniną, jakiej doświadczała ze strony swojego byłego chłopaka: byle jak najszybciej zderzyć z niej ubranie i równie szybko spenetrować.

Śliwińska przyciągnęła do siebie leśniczego. Chciała mieć przy sobie jego szczupłe, ale silne ciało. Rozchyliła nogi i poczuła, że Olko wkłada pomiędzy nie swoje udo. Chwilę potem zaczęli się całować. Uwielbiała ten moment pierwszego fizycznego kontaktu bardziej niż wszystko inne. W pocałunku było coś pierwotnego – coś, co pozwalało jednocześnie nie spuszczać wzroku z partnera i coś, co wyrażało stopień emocji i zaangażowania. Policjantka lubiła się całować tak, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata. Była w tym trwoga, pośpiech, ale też rodzaj ostatecznej namiętności, kiedy zęby zderzają się z zębami partnera, a zgryzione do krwi wargi już nie boją. Śliwińska uwiesiła się na obojczykach leśniczego i wbiła w nie palce. Olko w tym czasie objął rękoma jej pośladki i posadził ją na swoich biodrach. Poczuła, że jego twarde członek ociera się o wewnętrzną stronę jej uda.

Olko nie pamiętał, kiedy ostatnio się kochał. To było dawno – pomyślał. Ale było to też coś, do czego nie tęsknił szalenie. Jego libido przybrało formę utajoną, a po skończeniu czterdziestego roku życia leśniczy wolał obejrzeć film pornograficzny czy przeczytać erotyczną, drugorzędnej wartości powieść o wyczynach jakiegoś szalonego jebaki, niż samemu angażować ciało w przygody. Miał przewidywalny scenariusz: panie wciągały majtki i znikwały z jego życia. Czy Olko chciał je zatrzymać? Może niektóre, ale na jak długo? Nie lubił romansów, nie lubił sypiać z cudzymi żonami i nie lubił tych wszystkich par, które przyjeżdżały do lasu na popierdółki. Popierdółka to termin, który sam wymyślił, i który najlepiej oddawał czynność, jakiej oddawali się ludzie. Trudno było to określić mianem komfortowego lub romantycznego przeżycia.

Ludzie przyjeżdżali do lasu na seks zazwyczaj w ciągu dnia, po to, żeby ewentualny romans się nie wydał. Z reguły wjeżdżali w głąb – tam, gdzie obowiązywały wszystkie zakazy – czasami jednym, czasami dwoma samochodami. Czy nie zdawali sobie sprawy, że samotny samochód zaparkowany w lesie natychmiast przyciąga uwagę? Tego Olko nie wiedział, ale szybko odkrył, że ci sami ludzie uwielbiają wracać dokładnie w to samo miejsce. Oczywiście nie uprawiali seksu na miękkim mchu czy oparci o stuletnie buki. Uprawiali seks w swoich rozgrzanych, starych, ciasnych samochodach. Byle jak i byle szybciej. Z reguły wyrzucali potem przez otwarte okno zużytą prezerwatywę, a za jakiś czas wracali w to samo miejsce. Dlaczego wybierali las? Może dlatego, że był duży i wydawało się im, że nikt ich tam nie znajdzie albo nie zauważy?

Olko miał do popierdółek pobłażliwy stosunek. Sam nie znosił seksu na łonie natury – aż do dzisiejszego wieczoru. Patrząc na biegającą po podwórku Śliwińską, przypomniał sobie fragment filmu dokumentalnego o oślepiłym koniu, który całe życie pracował zaprzęgnięty do kieratu w kopalni węgla. Widok zwierzęcia po raz pierwszy od lat swobodnie biegnącego po łące głęboko zapadł mu w pamięć. Był to obraz prawdziwej, niczym nieskrępowanej wolności i radości. Koń, mimo że ślepy, biegł pewnie, przechodząc od kłusu do galopu, zataczał wielkie koła i tarzał się w trawie. Jeśli jakikolwiek obraz kojarzył mu się ze szczęściem, był to obraz ślepego starego konia uwolnionego z kieratu.

Kiedy zobaczył Śliwińską w ciemnościach, jak biegnie i śmieje się jednocześnie, poczuł, że musi natychmiast znaleźć się blisko jej ciała. Wniknąć w nie, poczuć i osiąść tę radość, która za chwilę może się

ulotnić. Zdążyć złapać w usta chociaż jeden gorący oddech, poczuć pod palcami mokrą, wilgotną od biegu skórę, zapach potu, smak ust schłodzonych wiatrem i cudowne ciepło zamknięte w pochwie. Wchodzenie w kobietę zawsze było dla Olki jak wchodzenie do wnętrza ziemi przez stożek wulkanu. Dopiero głęboko w ciemnościach, ocierając się o rozgrzane ściany, można poczuć istotę swojej męskości. Olko nie lubił słowa „penetracja”, bo kojarzyło mu się nieodmiennie z „infiltracją” – ciągłym wpływem, naporem, zawłaszczaniem. Zresztą jak można penetrować jedną, prostą drogę, na końcu której otwiera się wnętrze ziemi, gdzie nie ma żadnych bocznych ścieżek? Czyż nie jest to najbezpieczniejsza droga dla ślepców, którymi są wszyscy mężczyźni?

III

Śliwińska poczuła, jak ręka leśniczego wślizguje się pod szczelną pokrywę jej stanika i wyłuskuje jednym zagarniającym ruchem prawą pierś. Policjantka nie przepadała za swoim, w jej odczuciu, zbyt obfitym biustem, bo właściwie nikt do tej pory nie umiał zająć się jej piersiami. Kiedy miała dwanaście lat piersi niespodziewanie jej wyrosły od razu duże. Wśród koleżanek z klasy budziły zazdrość na równi z agresją, bo one jeszcze przez kolejny rok były płaskie jak deski. Doskonale pamiętała sceny z damskiej łazienki, kiedy dziewczynki z klasy syczały za nią, że nie nosi stanika i na pewno będzie miała wkrótce dwa wiszące, wyschnięte worki, wzorem wielu afrykańskich zagłodzonych kobiet.

Z kolei chłopcy reagowali na jej wybujałe i idealne okrągłe piersi śmiechem i strachem. Po prostu bali się ich, a mimo to wciąż próbowali niby przypadkiem je dotknąć.

Zachowania grupy rówieśniczej były na tyle uciążliwe, że Śliwińska w końcu poprosiła matkę o biustonosz. Nie zносиła go, ale wkładała dla świętego spokoju. Przedwcześnie wyrosnięte piersi na zawsze ukryła pod stanikiem i od tego momentu przestała się nimi interesować.

Bawiły ją sytuacje, kiedy jej kolejni chłopcy i narzeczeni odkrywając ich rozmiar, powtarzali: łał, ale cycki. Ale na tym okrzyku zwykle się kończyło. Nie umieli się nimi zaopiekować poza pospiesznym tarmoszeniem i ugniataniem. W przypadku Olki było inaczej i Śliwińska od razu tę różnicę poczuła: jego szeroka dłoń delikatnie dotykała piersi, a palec

wskazujący i serdeczny w tym samym czasie lekko ścisnęły brodawkę. Leśniczy uwolnił jej drugą pierś i wtedy rozpiął kamizelkę, a bawełnianą bluzę i podkoszulek uniósł do góry. Kiedy to zrobił, na krótką chwilę odsunął się i spojrzał na jej piersi. Był w tym spojrzeniu podziw, było też uwielbienie. Po chwili zanurzył w piersiach swoją głowę i zaczął je całować namiętnie, ale bez pośpiechu. Śliwińska ścisnęła dłońmi jego pośladki, a po chwili przesunęła rękę w kierunku członka. Chciała, żeby jak najszybciej w nią wszedł i żeby jak najdłużej w niej pozostał.

Moment, w którym mężczyzna w nią wchodził zawsze uważała za najważniejszy. Wahanie... Można jeszcze zacisnąć uda i nie wpuścić mężczyzny, a można je szeroko przed nim otworzyć. Olko wszedł w nią jednym, długim ruchem i poczuła, jak szczelnie ją wypełnia. Nagle zrozumiała, że musi natychmiast zedrzeć z siebie i z niego wszystkie ubrania.

Kiedy stali naprzeciwko siebie zupełnie nadszy i ciężko oddychali przyglądając się sobie, gotowi na drugi akt rozkoszy, odwróciła się w stronę żywotnika, wyprostowanymi rękoma oparła o drzewo i nachyliła się tak, jakby miała wykonać za chwilę głęboki skłon.

Olko chwycił ją mocno za biodra i wszedł w nią ponownie, od tyłu. Wolny, długi rytm jego uderzeń kołysał całym jej ciałem, a kiedy dochodziła, krzyknęła bardzo głośno, jak ktoś, kto bardzo długo wstrzymywał w sobie okrzyk. Nocną ciszę zmącił dźwięk przypominający głęboki szloch i zwierzęcy skowyt jednocześnie. Gdzieś nad nimi, w koronie drzewa coś się poruszyło i pomiędzy gałęzi wyleciał ogromny ptak, którego nie sposób było rozpoznać w ciemnościach. Śliwińska usłyszała trzepot skrzydeł, a sekundę później głębokie westchnięcie leśniczego, który zamiast z niej wyjść, w ostatnim momencie wgniół ją w pień drzewa.

Ich nagie, rozgrzane ciała parowały. Lśniaca od potu skóra połyskiwała w świetle księżyca. Śliwińska nie wiedziała, jak długo stali tak złączeni. Kiedy jej ciało pokryła gęsia skórka i poczuła ostry chłód wieczoru, odwróciła się do Olki i przytuliła do jego drobnego, ale umięśnionego ciała. Zanurzyła rękę w spoconych na karku włosach i poszukała w mroku jego warg, miękkich i ciepłych. Dotąd nie padło między nimi ani jedno słowo, bo nie musiało. Olko wziął ją na ręce i zaniósł w stronę ciemnego obrysu domu. Dopiero wtedy nadbiegł Joyce, który zaczął kobietę obwąchiwać i lizać po łydkach. Leśniczy wniósł Śliwińską do domu i położył do swojego

łóżka, po czym przygniótł ją całym swoim ciężarem, okrywając ich ciała pokrywą z pierzyny.

Jego kolano wcisnęło się pomiędzy jej nogi, ręka przytrzymała jej ramię. Olko odgarnął kobiecie włosy na bok i szepnął do ucha:

– To dopiero początek...

IV

Następnego dnia rano, kiedy Śliwińska jechała ze Zrębala do Łodzi na spotkanie z matką zamordowanej dziewczyny, starała się na niego w ogóle nie patrzeć. Miała wrażenie, że wczorajsze wydarzenia są doskonale widoczne na jej twarzy.

Mimo że bardzo starannie uczesała i wygładziła włosy, nałożyła matujący krem i neutralny podkład, czuła, że jej oczy są zapuchnięte po nieprzespanej nocy i nie da się nie zauważyć obrzmiałych i spierzchniętych od pocałunków warg.

Jej ciało było obolałe na zewnątrz i od środka. Poczowała to dopiero, wsiadając do starego policyjnego poloneza, który miał twarde zawieszenie i źle amortyzował wyboje i koleiny okolicznych wiejskich dróg z kruszącym się na poboczach asfaltem.

Śliwińska nie mogła opanować przyływu wielkiej fali zadowolenia, która teraz odkładała się na jej twarzy. Czuła, że wszystkie jej rysy gną się i zbiegają w uśmiechu i za wszelką cenę nie chciała wierzyć, że to tylko sprawa wydzielających się w jej organizmie endorfin.

Na szczęście Zrębala wydawał się niczego nie zauważać, a policjantka starała się poprowadzić rozmowę w bardziej profesjonalnym kierunku.

– Gdyby miał pan tak szczerze powiedzieć, jakie jest najczęściej popełniane przestępstwo tutaj, na terenie lasu, to co by to było? – zapytała.

Zrębala przez chwilę myślał i wiercił się w fotelu kierowcy.

– Chyba to, co wszędzie, taki standard, na pierwszym miejscu kradzież drewna, na drugim pewnie samochody.

– Samochody? W lesie? – zdziwiła się Śliwińska.

– Może źle się wyraziłem – zachnął się Zrębala i spojrzał przez lusterko na Śliwińską, która poczuła, jak jego wzrok ześlizguje się z jej twarzy na biust. – Mielśmy tu na początku lat dziewięćdziesiątych plagę kradzieży samochodów. To znaczy kradli w mieście, ale przyjeżdżali do lasu, żeby

rozebrać je na części. Raz podpalili wybebeszony samochód, ale z reguły porzucali auta w jakiś chaszczach. Czasami leśniczy je znajdował kilka tygodni później. Tego chyba było najwięcej. A kradzież drewna, to wszystko raczej lokalni sprawcy byli. Nie tak jak teraz z tym zboczeńcem... – Zrębala był prostym człowiekiem, ale na tyle szczerym i sympatycznym, że Śliwińska nie chciała okazywać mu zawodowej wyższości.

– Dlaczego pan myśli, że to zrobił ktoś obcy? – zapytała.

Zrębala uśmiechnął się i odpowiedział tak, że Śliwińska natychmiast usłyszała w jego głosie nutę policyjnej dumy.

– Ja tu wszystkich znam, tego nie mógł zrobić nikt stąd.

Policjantka również odpowiedziała lekkim uśmiechem. Nie chciała wyprowadzać Zrębali z błędu, ale z reguły za takie zbrodnie byli odpowiedzialni ludzie z drugiego lub trzeciego kręgu znajomych ofiary, zwykle pozostający z ofiarą w bezpośrednim lub pośrednim kontakcie. Tego nie mógł zrobić ani nikt przypadkowy, ani nikt, kto nie znał tego lasu tak dobrze jak okoliczni mieszkańcy, myśliwi czy leśnicy. Do tego Śliwińska postanowiła wykorzystać podróż ze Zrębala. Chciała, żeby się po prostu wygadał i otworzył, bo w ten sposób mógł podrzucić jej jakiś trop, który z jego punktu widzenia był nieistotny, a dla niej mógł okazać się cenną wskazówką.

– No właśnie, zna pan tu wszystkich, gdyby działo się coś niepokojącego na pewno by pan o tym wiedział. – Uśmiechnęła się do policjanta.

Zrębala poczuł się mile polectany uwagą koleżanki po fachu.

– Raczej bym powiedział, że nie brakuje tu tak zwanych oryginałów i jest kilku dziwaków, ale wie pani, to raczej tacy poczciwcy, czasami poprzetręcani przez życie – dodał.

– Poprzetręcani? Co pan ma na myśli? – Oczywiście Śliwińska doskonale wiedziała, o jaki typ Zrębali mogło chodzić. Już słowo „poczciwcy” wprawiło ją w podwyższony stan gotowości, bo owi „poczciwcy” zazwyczaj mają najwięcej do ukrycia.

– No, można by powiedzieć, że nieudacznicy życiowi, ale ja wolę myśleć o nich, że to porządne chłopcy, tylko życie im nie wyszło. Przemiany ustrojowe ich zjadły.

– No tak. – Śliwińska pokiwała głową ze zrozumieniem. – Całą Łódź i okolice te przemiany zjadły, prawda? – zawiesiła głos.

Zrębala ucieszył się, że znalazł wspólny temat z policjantką i postanowił opowiedzieć jej swoją wersję opisującą lokalną rzeczywistość.

– Tu raczej tak ich nie zjadło, a nawet niektórzy się dorobili po osiemdziesiątym dziewiątym, małe biznesy, ale stabilne; dla rodziny wystarczy. Starsze pokolenie oddało ziemię za emerytury, dzieci raczej poszły w biznesy własne, a nowe pokolenie to pewnie już za granicę się puści, jak wejdziemy w końcu do unii – kontynuował spostrzeżenia Zrębala.

– A ci, co im nie poszło? Co to za ludzie? – Śliwińska zapytała z ciekawością w głosie.

– No to różnie. Mamy tu taką malowniczą grupę pijaczków-lamusów; stoczyli się, dzieci jakieś porobili, z reguły baby im uciekły, a oni popadają w zdziwaczenie, alkoholizm. Raczej nieszkodliwi są dla otoczenia. Kilku lubi sobie postrzelać, ale nic niepokojącego nie zauważyłem, a przyglądam się uważnie, bo przecież nigdy nic nie wiadomo, prawda?

Śliwińska przytaknęła ochoczo.

– A pan należy do koła łowieckiego? – zapytała.

– Przychodzę czasami na spotkania Ośrodka Hodowli Zwierząt. To grupa leśników, którzy od czasu do czasu polują. Olko mnie namówił, ale to nadleśniczy zaprasza oficjalnie na polowania. Ja raczej strzelać do zwierząt nie lubię, ale zawsze jest okazja, żeby z kumplami się spotkać, poglądy powymieniać, zapalić, wypić od czasu do czasu. Na polowania OHZ-tu to nawet Walendzik księdza zaprasza, więc przy okazji rozgrzeszenie w pakiecie! – Zrębala zaśmiał się ze swojego żartu, ale Śliwińskiej wcale nie było do śmiechu. Będzie musiała wybadać tych wszystkich porządnych chłopów od Zrębali, którzy trzymali w szafkach broń i pewnie od czasu do czasu lubili nie tylko strzelić do sarenki, ale i przylać swoim żonom i dzieciom. Wolą teraz o tym nie myśleć, bo za chwilę czekała ją kolejna rozmowa z matką denatki.

V

Danuta Konik czekała na Śliwińską i Zrębale tuż za drzwiami. Kiedy tylko zadzwonili, natychmiast je otworzyła i zaprowadziła ich do salonu.

Podczas pierwszej rozmowy z bliskim ofiary Śliwińska starała się całą uwagę skoncentrować na rodzicu: taka osoba potrzebowała wsparcia,

którego zapewne nikt jej nie udzielił.

Widać było, że matka denatki wciąż była w szoku. Szok objawiał się najczęściej wielkim spokojem, jakby umysł chronił ciało przed skutkami tragicznej wiedzy. Zazwyczaj takie osoby były nie tylko niesłychanie spokojne, ale też niewyobrażalnie nieobecne.

Konik usiadła na kanapie. Wskazała powolnym ruchem ręki dwa fotele po dwóch stronach ławy, na której stał zestaw do herbaty: porcelanowy dzbanek w róże, dwie filiżanki, cukiernica wypełniona kostkami cukru. Cały, nieużywany na co dzień zestaw ustawiony teraz starannie na ręcznie wyszywanej serwecie.

– To pani wyszywała? – zapytała Śliwińska, żeby wyrwać matkę z marazmu. Po jej minie i znieruchomiałej sylwetce wyczuła, że tylko dzięki takiemu pytaniu jakakolwiek rozmowa stanie się możliwa. Konik spojrzała na serwetę, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy w życiu, ale po chwili zdołała odpowiedzieć.

– Tak, to moja robota, kiedyś lubiłam wyszywać – mówiła spokojnym, spowolnionym głosem.

Śliwińska przyjrzała się uważnie jej twarzy: zapuchnięte od płaczu oczy, włosy w lekkim nieładzie, głębokie zmarszczki wokół ust i poszarpane skórki przy paznokciach. Matka nie była zaniedbaną kobietą, ale widać było, że ciężar wiadomości o śmierci córki odcisnął się na jej twarzy i pewnie już nigdy z niej nie zniknie.

– Ania też lubiła wyszywać? – Drugim pytaniem Śliwińska zawsze nawiązywała do dziecka.

– Nie, nie bardzo, nie lubiła prac manualnych. – Matka nie patrzyła teraz na policjantkę, jej wzrok wciąż spoczywał na serwecie, jakby haft krzyżykowy ujawnił właśnie nieznane dotąd treści, niczym zaszyfrowany przekaz.

– A co lubiła robić najbardziej? – Śliwińska nie liczyła na wylewną odpowiedź, ale tego dnia chciała zdobyć chociaż kilka przydatnych informacji.

– Córka dużo czytała, lubiła czytać. Była zapisana do kilku bibliotek, właściwie od dziecka. Nie wiem skąd to się wzięło, ja na pewno jej nie przymuszałam. Sama tak z siebie... – Matka wyglądała na zagubioną w świecie książek. – Ja się w tym nie orientuję zupełnie – dodała. – Mąż bardziej się orientował.

Śliwińska z raportu przygotowanego wcześniej wiedziała, że ojciec denatki zmarł, kiedy ta miała dwanaście lat.

– A ojciec się orientował? Chodził z córką do biblioteki? – dopytywała.

– Zawsze w środy, po szkole szli razem. Mąż tam jakieś kryminały wypożyczał, a ona te swoje książki.

Śliwińska chciała dopytać, jakie to były te „swoje książki”, ale pewnie szybciej się tego dowie z jej półek w pokoju i z kart bibliotecnych.

– Kiedy widziała pani ostatni raz córkę? – To pytanie zawsze musiało zostać postawione, chociaż policjantka wiedziała, że matka zgłosiła zaginięcie ponad tydzień temu, w poniedziałek.

– W tamten piątek. Córka jak co tydzień wyszła rano na zajęcia, a potem miała spędzić weekend ze swoim chłopakiem.

– I nie spędziła? Czy spędziła? – Śliwińska zaczęła rachować w myślach liczbę osób, które będzie musiała przesłuchać. Chłopak był następny w kolejności.

– No, jak zwykle pojechała do Maćka, ale Maciej powiedział mi w poniedziałek, po tym weekendzie, że w ogóle nie było jej u niego. W ogóle do niego nie przyjechała. – Matka rozłożyła ręce.

– I nie zadzwonił do pani, żeby się dowiedzieć, gdzie jest Ania? – Śliwińska wyjęła z kieszeni kamizelki notes i zapisała w nim imię Maciek.

– Nie, bo córka zadzwoniła do niego i powiedziała, że ma na poniedziałek za dużo do zrobienia i się nie wyrobi. Powiedziała, że cały weekend będzie się uczyć. Tu, w domu...

Śliwińska pokiwała ze zrozumieniem głową.

– A czy przypomina sobie pani jeszcze jakieś rzeczy, które córka lubiła robić, oprócz czytania książek? Sprzątanie? Zmywanie? Spacerowanie? Czy uprawiała jakiś sport?

Konik zawiesiła po raz kolejny wzrok na wyhaftowanej przez siebie serwecie, jakby odpowiedź wymagała szczególnego namysłu. Śliwińska wpatrywała się w nią przez chwilę, a potem przeniosła wzrok na pokój. To mieszkanie wydało jej się typowe i przeciętne. Na ścianie salonu gospodyni ustawiła pospolity tandetny regał na wysoki połysk, który do kompletu miał ławę i fotele, w których teraz siedzieli. Nowszym akcentem była kanapa w salonie, niepasująca zresztą do wnętrza, obita niebieskim materiałem w żółte kółka, które z daleka wyglądały jak monety, całość w ramie z jasnego drewna. Policjantka widziała, że matka naprawdę zastanawia się nad pytaniem. Pewnie teraz przed jej oczami przesuwają się te wszystkie sceny,

jakie zapamiętała z życia własnej córki, gdy miała jeszcze z nią bliski kontakt: pierwsza samodzielna jazda na rowerze, wspólne pływanie w jeziorze, może obiad na kocu gdzieś nad morzem, spacer po lesie w poszukiwaniu jagód albo grzybów, może pierwsze wspólne wakacje za granicą?

– Córka lubiła porządek, chyba najbardziej lubiła odkurzać, zamiatać i układać książki. Dorabiała sobie w bibliotece uniwersyteckiej, jak ktoś szedł na zwolnienie albo na macierzyński, takie zastępstwa. Tu w domu, to ja jej za wiele nie kazałam robić, bo mamy przecież małe mieszkanie.

– A czy mogę zobaczyć pokój córki? – zapytała Śliwińska.

– Oczywiście – odpowiedziała matka, ale nie wstała, tylko wskazała ruchem głowy masywne drewniane drzwi z mosiężną klamką i okuciami, które pamiętały być może pierwszych lokatorów.

Widok pokoju zaskoczył Śliwińską. Spodziewałaby się takiego wnętrza raczej w wynajmowanym mieszkaniu, które można by określić mianem „studenckiego”, ale nie w tak zwanym domu rodzinnym. Pokój był długi i wąski z jednym oknem na tle ściany. Było coś nienaturalnego w proporcjach i Śliwińska szybko zrozumiała, że to mieszkanie musiało być kiedyś większe. Być może podzielono je tuż po wojnie, chamsko i bez namysłu, budując ścianę pośrodku i dlatego pokój stał się długą, wąską i niedoświetloną kiszka. Pewnie żeby zyskać trochę światła, denatka pomalowała go na biało, włącznie z podłogą.

Okno było pozbawione zasłon i firanek, a na podłodze leżał materac. Śliwińska podeszła do wąskiego parapetu i oparła na nim dłonie. Rozpościerał się stąd widok na tymczasowy, błotnisty i pełen wybojów dziki parking, który powstał na miejscu wyburzonej kamienicy. Był on z dwóch stron otoczony ścianami sąsiadujących budynków. Na ścianie na wprost okna zachował się nawet obrys dachu dawnej kamienicy.

Poza dojmującą bielą, pokój był pozbawiony wszelkich cech indywidualnych – idealnie biały i pusty.

Śliwińska miała wrażenie, że niejedno wnętrze hotelowe miało więcej wyrazu niż ta przestrzeń, która przypominała szpitalną izolatkę. Pod ścianą stała prosta, również biała komoda, a na suficie wisiał papierowy klosz przypominający lampion. Policjantka zajrzała do komody. W kolejnych szufladach były ułożone ubrania: biała bielizna, czarne dżinsy, rajtuzy, golfy, dwa swetry, kilka białych i kilka czarnych T-shirtów i to wszystko. Śliwińska podeszła do ściany. W dwóch miejscach dostrzegła małe

gwoździe pokryte białą farbą i ledwo widoczny ślad po niewielkich obrazkach w formacie pocztówkowym. Przez długi czas coś musiało tu wisieć, ale być może właścicielka pokoju zdecydowała, że widoki lub fotografie straciły swój urok, albo było na nich coś takiego, że należało je usunąć.

Śliwińska założyła drugi wariant. Kimkolwiek była ofiara, na pewno miała bardzo wiele do ukrycia, skoro nawet jej pokój udawał anonimową przestrzeń, o której nic nie dało się powiedzieć. Widziała w swoim życiu wiele studenckich pokoi i czuła, że ten jest w jakimś sensie nierealny. Nie to, że przestrzeń była nieludzka, tylko nierealna.

Policjantka przeszukała komodę. Wysunęła każdą z szuflad, odsunęła je od ściany, sprawdziła od dołu. Zajrzała pod materac, przeszukała warstwy pościeli. Nie znalazła niczego, oprócz cienkiej warstwy kurzu, która zdążyła zgromadzić się na parapecie, od kiedy Anna Konik wyszła z domu na zawsze.

Kiedy Śliwińska wróciła z oględzin, zauważyła, że Zrębala popija herbatę, a matka siedzi ze wzrokiem nieruchomo wpatrzonym gdzieś nad jego głową. Na ścianie za policjantem wisiał zegar, którego sekundowa wskazówka przesuwiała się szybko wokół tarczy. Zegar wydawał przy tym ledwo słyszalne cyk-cyk-cyk-cyk, które w tym mieszkaniu potęgowało jedynie martwą ciszę.

Policjantka usiadła z powrotem w fotelu i poprosiła Zrębale, żeby też rzucił okiem na pokój dziewczyny. Chciała zadać matce jeszcze kilka pytań.

– Pani Danusiu, a gdzie pani córka trzymała wszystkie notatki i książki potrzebne na studia? W jej pokoju ich nie ma.

– No, ona uczyła się zawsze po bibliotekach. Notatki robiła w jednym zeszyście, pewnie część rzeczy ma u Maćka, nie lubiła uczyć się w domu. Ja jej za dużo pieniędzy na książki dać nie mogłam, ale ona zawsze większość z biblioteki miała, a jak już coś kupowała na własność, to potem sprzedawała. Nie lubiła gromadzić.

– W jej pokoju zauważyłam na ścianie dwa ślady po jakichś obrazkach albo widokówkach, pamięta pani, co na nich było? – Śliwińska starała się zadawać pytania z niesłabnącym entuzjazmem, żeby podkreślić jak ważna jest dla niej sprawa Anny.

– To były jakieś takie widokówki. Na jednej był las, a na drugiej to nie pamiętam, bo była taka ciemna, z bazgrołami. – Matka rozłożyła ręce.

– Ale czy to były widokówki, zdjęcia, czy reprodukcje wycięte z gazety?

– Chyba bardziej pocztówki, to znaczy reprodukcje obrazów. Na jednej ten las taki czerwony był, chyba. I te ciemne maziaje.

– Pani córka lubiła przyrodę? – zapytała Śliwińska, jakby akurat to pytanie miało jej w czymś pomóc.

Matka wzruszyła ramionami.

– No tak, jak każdy z miasta... Czasami szła do parku, czasami na jakiś spacer, ale raczej do lasu, na grzyby albo na jakieś wycieczki to jej nie ciągnęło.

– A może lubiła malarstwo? Widziała pani jakieś książki o malarstwie, albumy?

Już z twarzy pani Konik było widać, że raczej nigdy w życiu nie miała w ręku albumu z malarstwem. Śliwińska zauważyła, że w salonie nie było książek, a na ścianach nie wisiał żaden obraz ani reprodukcja. Wprawdzie na jednej była półka, na której teoretycznie mogłoby zagościć kilka książek, ale zamiast nich stały trzy wazoniki na małych haftowanych serwetkach i skórzany bukłak przywieziony zapewne z jakiejś zamierzchłej podróży do krajów RWPG. Był też metalowy kwietnik z trzykrotką, a kanapę ozdabiały dwie poduszki z robionymi na szydełku powłóczkami. Wszystkie zgromadzone tu przedmioty kompletnie do siebie nie pasowały i nie było w nich nic poza przypadkowością i pospolitością.

– Czy może mi pani podać numer telefonu do Maćka, chłopaka Ani? – zapytała na koniec Śliwińska.

Matka przytaknęła posłusznie głową.

Zrębała wyszedł z pokoju ofiary i miał wyraźnie zafrapowaną minę. Złapał się za niedogolony podbródek i kilkakrotnie w zakłopotaniu przejechał po nim ręką, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Policjantka wstała i podeszła do Danuty Konik. Wręczyła jej swoją wizytówkę.

– Do zobaczenia, pani Danuto – powiedziała i ruszyła w stronę drzwi. Zrębała na pożegnanie chciał niezdarnie uściskać dłoń matki Anny, ale pani Danuta cofnęła ją w popłochu, jakby bała się kontaktu z żywym człowiekiem.

– Wracamy do lasu? – zapytał Śliwińską, kiedy wsiedli do poloneza.

– Las nie ucieknie. Muszę podjechać do Zakładu Medycyny Sądowej.

Kiedy zaparkowali przy Sędziowskiej Śliwińska pożegnała się ze Zrębą. Czekala ją rozmowa z Dziadkiem, który zrobił sekcję zwłok Anny

Konik.

Dziadek, Wiktor Czerepełło był już po siedemdziesiątce i miał opinię wytrawnego patologa. Śliwińska go uwielbiała. Mimo ponurej i trudnej profesji, był najbardziej pogodnym i życzliwym człowiekiem, jakiego spotkała na swojej zawodowej drodze. Czerepełło wiedział, że policjantka nazywa go Dziadkiem i wcale nie miał jej tego za złe. Zawsze, kiedy do niego zaglądała rozkładał ramiona w powitalnym geście i mówił: – O, moja wnusia, przyszła!

ROZDZIAŁ VI

Bielojad olbrzymi

I

Tego dnia Olko przeleżał w łóżku do godziny dziewiątej, co nie zdarzyło mu się od kilku lat. Kiedy obudził się po raz pierwszy, tuż po szóstej, Śliwińskiej już obok nie było. Leśniczy zauważył na poduszce jej włos. Przyłożył głowę do miejsca, w którym widać było wgłębienie w poduszce i powąchał je. Zawsze lubił zapach kobiecych włosów, a właściwie zapach skóry pod nimi. Kojarzył mu się z mokrymi liśćmi kasztanowca i tłustą, czarną ziemią. Była to dla niego woń subtelna i wyrazista zarazem i nie można jej było pomylić z żadną inną. Zapachu głowy nie były w stanie zagłuszyć żadne lakiery, odżywki i szampony, podobnie jak zapachu łona. Te dwie części ciała pachniały po całym dniu albo nocy zupełnie naturalnie – lekko podgrzanym sebum zmieszonym z wonią włosów. Niektórych zapach skóry na głowie, szczególnie skóry niemytej przez kilka dni, odstręczał, ale Olko go lubił. Nie lubił za to słowa „zapaszek”, które wydawało mu się podejrzane i kojarzyło ze złodziejaszkiem. Dlatego teraz, kiedy jego głowa leżała w zagłębieniu, wdychał łapczywie pozostawiony na poduszce zapach, jakby chciał zaczerpnąć po raz pierwszy po przebudzeniu wielki haust powietrza.

Tego ranka nic nie było takie jak przedtem. Nawet poranny wzwód Olki był po raz pierwszy od lat bolesny. Nabrzmiały członek nie chciał się poddać przez długą chwilę i sterczał wojowniczo lekko purpurowy, a właściwie liliowy. Przypominał leśniczemu o wczorajszej przygodzie. Olko głęboko odetchnął, kiedy członek w końcu zwiotczał, ale wtedy poczuł ból pleców.

Jego dojrzałe ciało puszczane w ruch, odwykłe od skomplikowanej ekwilibrystyki miłosnych zmagania, przypomniało mu boleśnie o sobie. Dlatego, chcąc je nieco ukoić i dać mu odpocząć, zawiął się ponownie w

kokon pierzyny, niczym larwa oczekująca na przejście do stanu imago i zapadł w sen, a właściwie półletarg, przerywany kolejnymi przebudzeniami wyrywającymi go z niekończących się sennych galopad.

W jednej z nich Olko szedł wąską ścieżką pośród bagien. Prószył gęsty śnieg. Jego stopy, choć szedł pewnym krokiem, zapadały się w trawiastym kożuchu. Delikatna kołdra śniegu podsiąkała natychmiast w tych miejscach brązową, wodnistą mazią. Dlatego Olko stapał pewnie, ale jednocześnie ostrożnie i bardzo delikatnie. Przed sobą widział wąską ścieżkę wijącą się przez bagna, którą powoli zasypywał śnieg. Zdążył pomyśleć, że jeśli śnieg ją całkowicie przysypie, to jeden fałszywy krok wystarczy, by rozerwać uginający się pod nim dywan, a wtedy jego ciało zacznie stopniowo zapadać się w bagnie: powoli, miękko, ale nieodwołalnie. Olko nadal widział przed sobą ścieżynkę, widział też prawie czarno-biały krajobraz z wystającymi z bagniska ogołoconymi z liści pniami brzoź, które sterczały niczym poczerńiałe bale jakiegoś pradawnego falochronu wyznaczającego niewidzialną granicę pomiędzy wodą a niebem.

Zadał głowę w górę – zimowe niebo miało dziwny, rozrzedzony odcień matowej szarości. Leśniczy nigdy nie widział takiego koloru nieba. Może gdyby kiedykolwiek odbył podróż do Kadyksu, od razu skojarzyłyby ten rodzaj nieprzejrzystości: rodzaj gigantycznego obłoku, który oblepia wszystko dookoła, nigdy nie przepuszczając przez siebie ani jednego promienia słońca.

Matowe niebo wisiało nisko nad brzoźami. Olko musiał iść ciągle przed siebie. Nie chciał się zatrzymywać, bo wtedy woda spod jego stóp przesiąkała jeszcze szybciej. Szedł jak kot, skradając się. Widział coraz bliżej skraj lasu, gdzie bagno się kończyło, ale kiedy doszedł do końca, okazało się, że znów jest na początku drogi, tak jakby ktoś podniósł go na moment i obrócił pod nim krajobraz niczym kartkę papieru. Leśniczy szedł więc przed siebie, ale jednocześnie była to podróż powrotna. Widział wyraźnie ślady swoich stóp wiodące w przeciwnym kierunku, na które teraz nadeptywał. Na jednym z drzewnych kikutów siedział ptak. Sylwetką przypominał jastrzębia, ale to nie mógł być jastrząb. Odcień jego piór był dokładnie taki sam, jak odcień nieba – szary nieprzejrzysty kamień, który od środka promienieje bielą.

Ptak wpatrywał się w Olkę intensywnie żółtym okiem. Było to surowe spojrzenie, pod wpływem którego leśniczy wzdrygnął się. To błotniak łąkowy – zdążył sobie przypomnieć, a po chwili potknął się o wystający z

bagniska ledwo widoczny, pokryty śniegiem, wąski pieńek. Upadł na wznak, zdążył zakląć, bo poczuł, że jest cały mokry – a wtedy jego wzrok padł z powrotem na ścieżkę.

Przed nim, zatopiona do połowy w bagnie, stała stara martwa i zamarznięta kobieta. Jej dłonie wsparte były na ścieżce jak na niewidocznej krawędzi, jakby chciała się na nich unieść. Szare, wypłowiałe, matowe oczy – wciąż otwarte – patrzyły wprost na niego, a siwe, długie i falujące włosy sięgające przedramion otaczały jej postać. Wyglądały, jak gdyby kobieta celowo je rozpuściła i wystawiła na słońce wzorem renesansowych kurtyzan z Florencji, które rozpuszczały swoje długie włosy na kamiennych balkonach, żeby choć trochę je rozjaśnić. Włosy staruszki miały szlachetny odcień srebrnej siwizny przebijającej od spodu. Śnieg, który wciąż prószył, podobny był do drobnych płatków kruszyny i pachniał wiosną, choć było przeraźliwie zimno. Olko zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, że idąc tą samą drogą, nie zauważył jej ciała wcześniej? Ugrzęzło przecież dokładnie pośrodku. Nie wiedział, co ma teraz zrobić. Jeśli zdecyduje się wyminąć kobietę, będzie musiał zboczyć ze ścieżki, jeśli na ścieżce pozostanie, może zapaść się pod wpływem własnego ciężaru w głąb bagniska. Pomyślał, że gdy przejdzie dostatecznie blisko ciała kobiety, to zawsze będzie mógł jej się chwycić, gdyby wdepnął w grzęzawisko. Zrobił krok do przodu. Chciał obejść ciało z prawej strony. Nagle zerwał się wiatr, który sprawił, że włosy kobiety się uniosły. Olko nie bał się trupów, nie bał się martwych ciał, nie wierzył w żadne siły nadprzyrodzone, ale teraz poczuł się nieswojo. Miał wrażenie, że podmuch wiatru na chwilę wrócił kobiecie życie. Włosy z powrotem opadły na jej ramiona i Olko znów spróbował przejść. Wtem poczuł, że kobieta na niego patrzy. Jej wzrok wyraźnie śledził jego ruchy za każdym razem, kiedy chciał ją wyminąć, choć głowa i całe ciało pozostawały nieruchome. Początkowo się cofał, bo wtedy wzrok kobiety na powrót zamierał. Miał wrażenie, że ma do czynienia nie z trupem, ale z upiorną marionetką, a ktoś pod spodem bagniska trzyma druciki przytwierdzone do gałek ocznych i złośliwie nimi porusza raz w jedną, raz w drugą stronę.

Leśniczy w końcu zdecydował się na skok. Postanowił zignorować oczy kobiety i odskoczyć na pobliską kępę, którą zauważył po lewej stronie. Kępę pokrywał śnieg i wystawało z niej kilka źdźbeł trawy. Kiedy na nią skoczył, trawa ugięła się pod nim jak niska, dziecięca trampolina, ale zdołał utrzymać się na powierzchni. Wtedy poczuł, że coś trzyma go za kostkę.

Była to ręka martwej kobiety – cienka, drewniana, odarta z kory. Na przedramieniu Olko zauważył wyraźny wzór wytłoczony przez bielojada olbrzymiego. Rozpoznał tego szkodnika po charakterystycznych, różowawych wyciekach żywicy w postaci kilku zaschniętych grud. Leśniczy próbował wyrwać kostkę z uścisku, ale drewniane palce trzymały zbyt mocno. Spojrzał w niebo i chciał coś krzyknąć, z jego gardła wydobył się rodzaj skargi – dźwięk pomiędzy jękiem a skowytem – ludzki i zwierzęcy zarazem.

II

Na stole w kuchni leśniczy zauważył wizytówkę przyciśniętą kubkiem po niedopitej kawie. Była to służbowa wizytówka Śliwińskiej. Olko wziął kartonik do ręki i odczytał numer telefonu, jakby chciał go od razu zapamiętać. Obok numeru było zapisane odręcznie tylko jedno słowo: dzwoń! Nie „zadzwoń” tylko „dzwoń”. Olko odczytał to początkowo jako zachętę do dalszej znajomości, ale po chwili zrobiło mu się przykro, że Śliwińska się z nim nie pożegnała i zostawiła mu jedynie służbowy numer telefonu. Olko uznał w końcu, że słowo „dzwoń” odnosi się wyłącznie do kontaktu w sprawach służbowych. Leśniczy położył wizytówkę na parapecie, z myślą, że powinien zabrać ją do kancelarii i odłożyć tam, gdzie było miejsce wszystkich służbowych dokumentów – do szuflady biurka. Czego się spodziewał? Liściku? Wyznania? Małego potoku słów? Czegoś bardziej osobistego? Wykrzyknik przy słowie „dzwoń” przywrócił go do rzeczywistości. Tego dnia Olko miał odbiór drewna w oddziale sto jedenaście, w którym trwał zrąb, a w południe przy mygłe umówił się z tartaczniakiem z Dłutowa.

*

Po wjechaniu maluchem na Drogę Dłutowską docisnął mocno pedał gazu. Wypełniała go podskórna złość porzuconego mężczyzny, od której wszystko nagle zaczęło go irytować, nawet pusta droga. Pomiędzy Rydzynami a Hutą Dłutowską nie było wielu spraw do załatwienia. Drogę tę wybierali miejscowi albo ci, którzy nie byli zbyt przywiązani do stanu swoich samochodów, a w sezonie grzybiarze, jeśli nie zostawili

samochodów na leśnych parkingach usytuowanych na dwóch krańcach lasu.

W trakcie jazdy Olko minął tylko jednego rowerzystę. Las ospale budzący się do życia po zimie nie był jeszcze sezonową atrakcją. W tym roku wydał się leśniczemu wyjątkowo ponury. Wiosna była zimna, smagała wiatrem i straszyla przymrozkami. Po kilkudniowych roztopach Olko widział wokół szarość gołych gałęzi, warstwy przegniłych liści i zrudziałych igieł zalegających podszyt. Żadnych żywych kolorów mchów, soczystych traw, drobniutkich i jaskrawych listków brzozy czy delikatnych pędzelków zielonych i miękkich igiełek modrzewiowych, które tak lubił. Las był pusty w środku i niepokojąco spokojny. Zostały, uległy, na wpół martwy i pogrążony w pozimowym letargu. Przypominał zza szyb samochodu wypłowiałą zbiorową fotografię obumarłych drzew. Stagnację podkreślały poprzerastane kępy wyschniętych traw i rozjeżdżone czarne drogi śródleśne, w których grzęzły koła ciężarówek wywożących drewno. Natura nie chciała jeszcze ruszyć, jakby czemuś się sprzeciwiała.

Olko nie lubił zrębów, bo kojarzyły mu się zawsze z łysieniem plackowatym. Nagie, odkryte miejsca ziały jakąś rozpaczą, pustką i martwością. Zanim na miejscu zrębu powstała nowa uprawa, trzeba było jeszcze oczyścić teren z karpin. To była najgorsza praca, najbardziej rozpaczliwa. Jak usuwanie całego uzębienia zupełnie zdrowemu człowiekowi.

Skrecając gwałtownie w Brukowaną Drogę, Olko poczuł nową falę wściekłości. Może dlatego, że właśnie wjechał na zrąb, a może dlatego, że musiał spotkać się z Marianem Zdanowskim, właścicielem tartaku o nazwie Tar-Mar, która pasowała do tarcicy jak pięść do nosa.

Olko nienawidził użerać się z odbiorcami drewna, którzy w ciągu ostatniej dekady odnaleźli w sobie późnego ducha kapitalizmu. Już nie rzemieślnicy, a przedsiębiorcy, wyciągnawszy nauki z polskiej odmiany turbokapitalizmu, potrafili godzinami stać nad odebraną mygłą i udowadniać leśniczemu, że wciska im niewłaściwą klasę drewna za niewłaściwą cenę. Nie mogąc zakwestionować faktów takich jak długość, średnica i masa, kwestionowali jakość poszczególnych kłód. Pochylali się nad każdą z nich i wpatrywali się w przecięte pnie niczym w czarodziejskie zwierciadła. Odkrywali niewidoczne zasinienia, krzywizny, sęki, zaparzenia, zaciosy i pęknięcia. Kopali ścięte drewno nogami, biegali z miarą, słali do nadleśnictwa reklamacje. Wszystko po to, by zapłacić mniej

i więcej zarobić. Tartacznicy doprowadzali Olkę do szału. A Zdanowski w szczególności, bo kupował setki metrów sześciennych tarcicy rocznie, ale każdorazowo urządzał ten sam rodzaj przedstawienia.

Dojeżdżając do linii oddziałowej, na którą wyciągnięte było drewno, Olko już z daleka dostrzegł postać tartaczника skaczącego po mygłe jak pchła po nodze. „Dzwon”, dźwięczało mu w uszach i Olko nie był pewien, czy tego dnia nie wciśnie Zdanowskiego pomiędzy kłody. Życzył mu, żeby dotknął go czyreń sosnowy powodujący zgniliznę pstrą i żałował, że choroby drzew nie przenoszą się na ludzi.

III

Czerepełło tego dnia pod sztywny, śnieżnobiały fartuch włożył jasnoniebieską koszulę i purpurową muchę. Śliwińska lubiła jego elegancję, którą on sam nazywał z przekąsem przedwojenną. Dziadek był cały przedwojenny i w odróżnieniu od innych nie wstydził się ani swojego zawodu, ani swojej przeszłości, ani tego co robił. Czekał na Śliwińską w swoim gabinecie z herbatą, którą serwował w przedwojennych filiżankach. Z okazji odwiedzin Śliwińskiej wyjął z biurka talerzyk z keksem.

– Na osłodę dnia, wnusiu, jedz! Krajewskiemu nie dałem... – powiedział.

Śliwińska uśmiechnęła się i zjadła w pośpiechu kawałek ciasta.

– Wygłodniała wracasz z tego Rydzyńskiego Lasu... Sprawdziłem nawet, gdzie to jest. Czy wiesz, że tyle lat żyję i jeszcze tam nie byłem? Zawsze odstraszała mnie brzydota Pabianic, przez które przejeżdżałem raz jeden jedyny, chyba w latach siedemdziesiątych. To okropne miasto, okropne. Pokraczne, bez polotu, zapyziałe zupełnie tak samo jak Łódź, ale zupełnie inaczej, bez stylu. Nic tam nie ma. Gdyby nie trup Konik, to w ogóle nie przypominałbym sobie o tym mieście. Bełchatów też zresztą podły... Oba miasta podłe, nijakie, osowiałe. Jedno charakteru nigdy nie nabrało, a drugie nie zdążyło. I pewnie ten las pomiędzy miasteczkami najpiękniejszy. I nazwa ładna.

– Od wsi Rydzyzny – uściśliła policjantka i sięgnęła po kolejny kawałek keksa.

Na masywnym biurku patologa, którego blat wyłożony był zieloną skórą, zobaczyła nową teczkę, przy której leżało wieczne pióro. Czerepełło

dostrzegł jej spojrzenie i się uśmiechnął.

– Od razu chciałabyś wszystko wiedzieć, przecież znam cię, ty mała szelmutko... – Pogroził jej palcem. – Chcesz mi zajrzeć do teczki, a ja jeszcze myślę! Myślę o naszej pięknej Annie, i jej równie pięknej śmierci... – Lekarz zawiesił głos.

– Nic mi dzisiaj nie powiesz? – zapytała Śliwińska, wiedząc, że z Dziadkiem trzeba się zawsze trochę podroczyć.

– Może obejrzysz ze mną ciało? Nie możemy być przecież tacy gołosłowni nad tym keksem? – zaproponował.

Śliwińska wstała. Był to znak, że mogą teraz rozpocząć drugą część spotkania, tę właściwą. Czerepełło uwielbiał okazywać ciała, jak o nich mówił, i lubił obserwować reakcję policjantów, którzy do niego przychodzili. Twierdził, że ze sposobu, w jaki reagują można rozpoznać charakter człowieka.

– Komendant już u ciebie był? – dopytała Śliwińska.

– Tak, wpadł jak piorun, zrobił burzę i ulotnił się z szybkością rozchodzącego się dźwięku grzmotu. Niewiele mu zdążyłem powiedzieć, bo zaskoczył mnie jeszcze przed krojeniem.

Czerepełło szedł przodem długim korytarzem prowadzącym do sal sekcyjnych. Ściany korytarza oraz wszystkich sal wyłożone były kwadratowymi kafelkami w kolorze seledynowym, który Śliwińskiej kojarzył się z nagłą, tragiczną bądź gwałtowną śmiercią. Był to kolor absolutnie nieznośny, podobny w swej nieznośności do niebieskiego koloru sal operacyjnych. Policjantka zawsze się zastanawiała, kto decydował o doborze kolorów w takich miejscach i za każdym razem nabierała pewności, że musiała to być osoba głęboko zaburzona.

Czerepełło podszedł do jednego ze stołów sekcyjnych i odsłonił przed Śliwińską ciało Konik, taktownie zatrzymując białą płachtę na linii cięcia jamy brzusznej. Nachylił się nad zwłokami, jakby chciał spojrzeć kobiecie w twarz i gestem poprosił Śliwińską o to samo.

– Widzisz coś charakterystycznego? – zapytał.

Śliwińska po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć się ofierze z tak bliska. Nie zauważyła niczego szczególnego. Czerepełło dosunął nad twarz Konik lampę kosmetyczną i ją włączył. W środku znajdowało się duże szkło powiększające, przez które kazał powtórnie spojrzeć Śliwińskiej.

– A teraz?

Dopiero teraz, dzięki lampie policjantka dostrzegła na twarzy denatki liczne i drobne pęknięcia naczynek krwionośnych, które wyglądały jak podskórne mikrowylewy. Konik była za młoda na takie zmiany skórne, które zazwyczaj dotyczą kobiety po pięćdziesiątce.

– Popękane naczynka – odpowiedziała.

– Zawsze powtarzam, że do badania umarłych warto używać narzędzi dla żywych. – Czerepełło włożył na dłonie lateksowe rękawiczki i delikatnie odchylił dolną powiekę lewego oka. – Tutaj to samo, liczne pęknięcia naczyń krwionośnych. – Oczywiście nie mówię o zasinieniach na szyi oraz wokół nóg, bo to zobaczyć może każdy idiota.

Ślady po zdjętym drucie, na którym zawieszono było ciało Konik miały mocny, wyraźny odcień burgundowo-fioletowy, prawie idealnie dopasowany do koloru muszki patologa.

– Jestem w trakcie przygotowywania raportu, ale mogę ci wnusiu powiedzieć, że na razie te ślady wskazują na rasowego asfiksjo-filytyka. Pamiętasz jeszcze coś z seksuologii klinicznej, wnusiu? – dopytał Czerepełło.

Śliwińska przytaknęła.

– To dość rzadka odmiana tej parafilii. Zwykle ludzie sami się podduszają. – Śliwińska zamyśliła się. – A potem rodziny myślą, że mężczyzna w kwiecie wieku popełnił samobójstwo. Powiesił się na pasku, z rozpaczy...

Spojrzała jeszcze raz na gładką, spokojną twarz Konik, tak jasną i niewinną, niepasującą zupełnie do wizerunku tajemniczej, wyuzdanej i perwersyjnej istoty, którą najwidoczniej musiała być. Czerepełło zakrył z powrotem ciało płachtą.

– Dziewczynę musiało zgubić zaufanie do sprawcy. Znasz to powiedzenie, że nawet w lesie należy się obawiać jedynie drugiego człowieka? – Lekarz stał jeszcze przez chwilę w bezruchu nad zasłoniętymi zwłokami, jakby żegnał się z ofiarą. – Żal mi tak przedwcześnie zwiędłych kwiatuszków. Mogła zaznać i dać jeszcze tyle rozkoszy ziemskich, a skończyło się na podduszeniu – powiedział na koniec Czerepełło. – Opowiadałem ci kiedyś, wnusiu, o przypadkach tych wszystkich nieszczęśników, którzy utknęli na śmierć, zawinięci we własne dywany? – Czerepełło zdjął rękawiczki, umył ręce i wziął Śliwińską pod ramię, jakby chciał oprowadzić ją po ogrodzie pełnym dziwnych okazów roślinnych.

– Nie spotkałam się nigdy z takim przypadkiem – powiedziała policjantka.

– A wiesz dlaczego? Bo dywany wyszły z mody, a zwłaszcza tureckie!
– Czerepełło roześmiał się, a jego ciepły, łagodny głos starego gawędziarza odbił się od wypolerowanej powierzchni seledynowych kafelków.

IV

Maciek miał szafirowe oczy. Śliwińska długo się w nie wpatrywała, bo były po prostu piękne. Od razu też zrozumiała nieżyjącą od kilkudziesięciu godzin Annę i jej wybór. Chłopak był urzekająco przystojny urodą dwudziestojednolatka, który jeszcze nie myśli o tym, że za lat piętnaście jego twarz straci nie tylko młodzieńczy owal, ale zamieni się w szarawą, ziemniaczaną masę z dwoma szafirowymi punkcikami na pocieszenie. Być może tak nie będzie... Wszakże Śliwińska widziała już wielu swoich kolegów, których twarze czas upodobnił bliźniaczo do sterty poszarzałych kartofli. Maciek na razie nie przejmował się czasem i swoją urodą. Istniało dla niego wyłącznie bolesne tu i teraz, z którego zniknęła Anna. Trzymał w palcach papierosa. Ręce trochę mu się trzęsły, drżał lekko również podbródek, a szafirowe oczy przesłaniała mgła łez. Siedział na korytarzu akademika przygarbiony i pochylony, jakby przygnębienie i strata – być może pierwsza śmierć w jego dorosłym życiu – były czymś, co napiera z każdą nową chwilą. Śliwińska poczuła, że śmierć Anny musi mieć dla niego konkretny ciężar. Usiadła naprzeciwko i postanowiła dać mu to, czego teraz najbardziej potrzebował: współczucie i uwagę. Dowiedziała się, że byli ze sobą od dwóch lat, od kiedy Maciek przyjechał na studia do Łodzi. Nie mieszkali razem, bo nie zgadzała się na to Danuta. Policjantka dowiedziała się, że Anka mu pomagała, w końcu była rok wyżej i dostawała od niej wszystkie notatki. Spędzali ze sobą prawie każdą wolną chwilę, z wyjątkiem tych, kiedy Anka pracowała albo oboje byli na zajęciach. Nie było między nimi kłótni i zazdrości. Na pozór idealna studencka miłość. Ale im dłużej Śliwińska słuchała Maćka, tym bardziej ta „studencka miłość” wydawała się jej podejrzana.

– I to jest przesłuchanie, tak? – Maciek spojrzał na Śliwińską.

– Nie, to nie jest przesłuchanie. Tak by było, gdybym teraz zabrała cię na komendę, posadziła za stołem, dała do ręki kartkę i wyszła, żebyś miał

czas opisać, jak wyglądało twoje ostatnie czterdzieści osiem godzin... Teraz po prostu rozmawiamy jak człowiek z człowiekiem. – Odpowiedziała jak najspokojniej, żeby chłopak miał pewność, że za chwilę nie wyciągnie zza pleców kajdanek.

Maciek jednak czegoś się bał i Śliwińska to czuła.

– Jak się właściwie poznaliście? – zapytała swobodnie i z zaciekawieniem w głosie.

– Już mówiłem, na wydziale...

– No, ale w jaki sposób? Jak wyglądało wasze pierwsze spotkanie? – sprecyzowała. – Możesz je opisać?

Maciek wzruszył ramionami, jakby nie było w tym nic szczególnego. Przynajmniej dla niego.

– No, chyba dość zwyczajnie. Stałem na korytarzu, w przerwie pomiędzy wykładami. Podeszła do mnie i zapytała, czy miałem już kolokwium z obrazów głosek polskich. No to powiedziałem, że nie, bo nie miałem. Myślałem, że jest z mojego roku, bo przecież trudno od razu zorientować się, która jest z twojego roku, jeśli jest ich ponad setka. A ona powiedziała, że wszyscy faceci z jej roku to kolokwium oblali i że poprzenosili się po semestrze na inne studia, bo te obrazy to przegięcie. Tak to mniej więcej wyglądało. W sensie technicznym.

– I co? Zdałeś? – zapytała Śliwińska.

– Zdałem. Bo ona mi powiedziała, że Sroka, to znaczy profesor Sroka, ma dwa zestawy, których nigdy nie miesza: jeden do połowy alfabetu, a drugi od połowy. I tak naprzemiennie, rocznikami, od jakichś dwudziestu lat to tłucze. No bo po co się wysilać? W jej roczniku było do „eń”, więc nauczyłem się od „m”. Zaufałem, uwierzyłem i zdałem. – Maciek nie wyglądał na szczególnie pilnego studenta.

– Ale chyba nie zostałeś jej chłopakiem tamtego dnia? – dopytywała Śliwińska.

– Nie, ale powiedziała, że jak zdam, to stawiam jej piwo.

– I postawiłeś? – Policjantka się uśmiechnęła.

– Tak. Po piwie poszliśmy do mnie, to znaczy tu, do akademika, i jakoś tak się potoczyło. – Maciek uśmiechnął się do siebie, jakby przypomniał sobie coś szczególnie miłego, co akurat nie było przeznaczone do wiadomości Śliwińskiej. Dodał do słów nieokreślony gest ręką.

– A pamiętasz, jakie obrazki wisały na ścianie pokoju Ani w jej mieszkaniu?

– A to ważne? – Maciek spojrzał na nią swoimi zniewalającymi, szafirowymi oczami.

Nie potrafił jeszcze uwodzić, nie myślał o tym. W stanie uśpienia było zapewne też jego ciało, równie atrakcyjne... Przyglądając się mu i analizując jego zachowanie, Śliwińska doszła do wniosku, że Maciek był seksualnie zablokowany. Na pewno miał stosunki z Anną, ale prawdopodobnie na jej zasadach. Jego ciało wciąż tkwiło w skorupie nieśmiałości, kompleksów, ostatnich pryszczycy, które od czasu do czasu pojawiały się na czole, i niskim poczuciu własnej wartości. Śliwińska miała wrażenie, że siedzi naprzeciwko pięknemu okazowi perłopława, który nie wie jeszcze, że w jego wnętrzu krystalizuje się nowy, obcy kształt.

– Wszystko jest ważne, każdy detal, każdy szczegół – odparła po chwili. – Czasami niepozorne fakty mogą naprowadzić na ślad mordercy. – Policjantka starała się być wobec chłopaka miła, rzeczowa i wspierająca. – Pamiętasz co to było?

Maciek wzruszył ramionami.

– Rzadko bywałem u niej w domu.

– A kiedy byłeś ostatni raz?

– No nie wiem, jakieś trzy miesiące temu? Pani Danuta nieszczególnie mnie lubi, zawsze robiła Ani jakieś afery, dlatego że spędzamy czas ze sobą, zamiast poświęcać go na naukę.

– A ile czasu w tygodniu spędzaliście razem?

– Nigdy nie liczyłem. – Maciek uśmiechnął się do siebie, jakby przyplłynęło do niego jakieś szczególnie miłe wspomnienie.

– No to jak wyglądał wasz tydzień, tak mniej więcej, pomyśl chwilę.

Wyciągnęła z kieszeni kamizelki papierosa i zapaliła. Zaciągnęła się głęboko i oparła o zimną ścianę. Maciek siedział wciąż przygarbiony, zamyślony, a Śliwińska zaczęła przyglądać się jego przedramionom. Spod przykrótkiej bluzy wyłaniały się niebieskawe żyły, które tworzyły na bladej skórze wypukły wzór. Przypomniały się jej mocne ręce Olki i poczuła, jak bardzo chciałaby, żeby jego ciało znalazło się przy jej ciele. Wyobraziła sobie, że upada twarzą na miękkie warstwy pierzyny, a chwilę potem jej ramiona i plecy otula leśniczy. Oboje są w ubraniach oplatających ich ciała piekące od pożądania, pierzyna, w której mają ukryte twarze prawie nie pozwalają na oddech.

– A jak wyglądało wasze życie seksualne?

Wbiła wzrok w Maćka. Wydawało się jej, że żyły chłopaka poruszają się pod skórą. Wyobraziła sobie, że wstaje, podchodzi do niego, rozgryza jego nadgarstki i wyszarpuje niebieskie linie spod skóry. Dopiero kiedy czuje w ustach jego krew, na chwilę się uspokaja. Patrzy mu w oczy, w których również widzi spokój.

– Niech pani na mnie tak nie patrzy! – Maciek objął się ramionami, jakby chciał ochronić swoje tajemnice przed jej penetrującym, głębokim spojrzeniem.

– Jak? – dopytała Śliwińska, udając, że nie wie, o co mu chodzi.

V

Kiedy Śliwińska otworzyła drzwi mieszkania, zorientowała się, że coś śmierdzi. Był to zapach niewyniesionych śmieci, o których przed wyjazdem w teren zapomniała. Zmieszane fusy od herbaty, resztki cytryn, skorupki od jajek i obierki wytwarzały dziwną woń rozkładu, której nie można było pomylić z żadnym innym zapachem. Śliwińska spakowała śmieci i wyniosła je przed drzwi. Wiedziała, że zostawianie śmieci obok wycieraczki to zwyczaj najgorszy z możliwych, ale tego dnia nie miała siły na wędrówkę do śmietnika. Weszła do łazienki i napełniła wannę gorącą wodą. Kąpiel była jedyną czynnością w ciągu dnia, kiedy mogła odpocząć od ciągłego przymusu myślenia. Przymknęła oczy i przypomniała się jej scena z dzieciństwa. Miała może dziesięć lat, kiedy brat jej matki wrócił z Francji i przywiózł jej w prezencie puzzle. Drobne, ładnie wyprofilowane, połyskujące. No i tysiąc dwieście części; prawdziwe wyzwanie dla kogoś, kto do tej pory miał do ułożenia najwyżej pięćset. Puzzle były reprodukcją *Zamku w Pirenejach*. Obraz przedstawiał wiszącą w powietrzu szarą skałę, na której stał równie szary zamek. Skała lewitowała nad siną powierzchnią morza, które zlewało się z pochmurnym niebem. Liczba szarych elementów o różnym nasyceniu na początku załamała Śliwińską, ale kiedy udało się jej ułożyć kawałek morza i kontur obrazu, zaczęło ją to pochłaniać, wypełniać dni i godziny, podczas których zapominała o całym świecie. Po powrocie ze szkoły zniknęła w pokoju i tak długo dopasowywała szare części, aż udało się jej ułożyć większy fragment. Przypomniała sobie, że ustaliła sama ze sobą dzienną normę: pięćdziesiąt elementów układanki. O ile morze i niebo

w końcu pokonała, o tyle skała okazała się zabójcza. Teraz, z perspektywy czasu miała wrażenie, że praca nad zamkiem musiała trwać miesiącami.

W rzeczywistości zajęło jej to miesiąc, może nawet trzy tygodnie, ale dla Śliwińskiej były to najbardziej mozolne chwile jej dzieciństwa. Teraz, leżąc w wannie, pomyślała, że być może dlatego została policjantką. Czy jej praca nie jest żmudnym poszukiwaniem elementów układanki o tym samym odcieniu, która finalnie złoży się na dość absurdalny w swej wymowie obraz?

Śliwińska otworzyła oczy i spojrzała na opuszki palców pomarszczonych pod wpływem wody i wyglądających jak skóra owocu, który zaraz zacznie gnić. Wzdrygnęła się i nabrała pewności, że Anna Konik musiała oszukiwać albo swojego chłopaka, albo swoją matkę. Może nawet oszukiwała oboje najbliższych jej ludzi. A może ci najbliżsi wcale nie byli tacy bliscy?

Zamek w Pirenejach oprawiony przez jej matkę na pamiątkę dziecięcej niezłomności w szarą ramkę nie został przez policjantkę nigdy powieszony. Kiedy Śliwińska weszła do sypialni owinięta w ręcznik kąpielowy, ukucnęła przed komodą stojącą w pokoju. Wysunęła dolną szufladę i wyciągnęła obraz. Postawiła go na komodzie i cofnęła się pod okno.

Z oddalenia nie było widać, że składa się z tysiąca małych elementów.

ROZDZIAŁ VII

Obce ciało

I

Olko obudził się ze snu, w którym wspinał się po drzewach. Szedł nocą po lesie, w gęstym mroku. Zadzierając głowę, patrzył na ciemne sylwetki potężnych, smukłych buków połyskujących w świetle księżyca. Kiedy tak błędził i czuł, jak jego buty rozgniatają wypadające ze zdrewniałych okryw brązowe orzeszki bukwi, stanął pod jednym z buków i nagle pomyślał, że dawno nie wspinał się na drzewo. Jego ręce same objęły gładki, śliski pień, a palce przywarły do kory. Wtedy dostrzegł, że jego opuszki są zakończone rozplaszczonymi kuleczkami, zupełnie jak u rzekotki drzewnej. Nie musiał nawet specjalnie chwycić się pnia. Po prostu zaczął się po nim wspinać, jakby umiał to robić od dziecka.

We śnie nie musiał nawet szukać stopami konarów, żeby się podeprzeć. Korona majaczyła w mroku i kiedy się rozwidliła, wybrał grubszy konar, który górował nad resztą. Czuł na twarzy i ciele lekki dotyk liści. Dotarł na czubek drzewa. Przed nim rozpostarł się widok na ciemny, falujący krajobraz złożony z tysięcy innych koron, które uginały się pod wpływem wiatru. A potem dostrzegł, że nie jest w tej ciemności sam. Powoli z mroku nocy wyłaniały się sylwetki innych zwierząt, które tak jak on przyszły zobaczyć ciemny las z góry. Kilka drzew dalej na czubku siedział kruk, który od czasu do czasu wykrzykiwał w noc gardłowe: krrrkrrr. W ciemności dostrzegł też sylwetkę niedźwiedzia – wyglądał jak olbrzymia, brunatna czeczota. Co chwilę sięgał łapą do najbliższej gałęzi, łapał ją w pysk i przesuwiał po odsłoniętych dziąsłach. Olko słyszał, jak jego płaskie zęby miarowo miażdżą orzeszki bukwi.

Jeszcze dalej dostrzegł siedzącego na gałęzi puchacza. Ptasia głowa cały czas się obracała, rejestrując setki szczegółów, których Olko nie był w

stanie spostrzec. We śnie jego zmysły pozostały jednak słabymi zmysłami człowieka.

Noc była wyjątkowo ciemna. Olko wyteżał wzrok, ale widział jedynie zarysy rzeczy i widm. Czuł, że bolą go owiewane zimnym wiatrem oczy; łzawią. Konsystencja łez wydała mu się dziwna. Były słone, ale miały posmak soli morskiej – ostry, szorstki i wyrazisty. Kiedy dotknął policzka, poczuł, że są cięższe i bardziej lepkie niż zazwyczaj. Przetarł go ręką i wtedy zauważył, że palce zabarwiły się na czarno, jakby z oczu kapał mu atrament. Wzdrygnął się i chciał zejść z drzewa, tymczasem jego opuszki przybrały z powrotem ludzką formę.

Wydawało mu się, że właśnie się obudził, że jest mu zimno, że siedzi sam na czubku drzewa, i że nie pamięta, jak się tam dostał. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, a on sam zrozumiał, że musi natychmiast skoczyć, choć wiedział, że tego nie przeżyje. Pod nim, jak czarne prześcieradło, rozpościerała się jedynie nieprzenikniona ciemność. Przez ułamek sekundy, pomiędzy jednym oddechem a drugim, poczuł wszechogarniający strach – strach przed śmiercią. W wąskiej szczelinie czasu miał chwilę zawahania. Mógł jeszcze skok powstrzymać, ale wziął jedynie ostatni, głęboki oddech i rzucił się w dół.

Obudził się na podłodze sypialni. Był spocony i obolały. Nad nim z łóżka zwisała pierzyna przypominająca niebieskosiną czapę lodowca, która za chwilę go przygniecie.

Olko spojrzał w ledwo zarysowany kwadrat okna. Musiała być trzecia nad ranem. Było jeszcze ciemno, ale z oddali usłyszał trzeszczącą wśród podwórkowych świerków zwrotkę szarego kopciuszka, który zapowiadał godzinę ptaków. Dotknął ręką twarzy i poczuł, że jest mokra od łez.

II

Mycie twarzy lodowatą wodą nigdy nie jest przyjemne, ale był to najpewniejszy sposób Olki, żeby pozbyć się złego snu. Zostawić go za sobą jak cienką, nieprzyjemną pajęczynę, która oblepia pogrążony w obrazach nieświadomy umysł.

Leśniczy przyłożył do twarzy lodowate, mokre dłonie. Przez zamknięte powieki poczuł zmrożone opuszki palców i natychmiastową ulgę. Spojrzał w lustro, co robił rzadko, i po raz pierwszy uświadomił sobie, że zaczyna

się u niego proces, który jest najłatwiejszy do przegapienia – proces starzenia się. Zaskoczyła go głębokość zmarszczek wokół oczu, poszarzała, niemal fioletowa skóra pod oczami, przebarwienia na twarzy, które wyszły po zimie zupełnie jak pierwsze przebiśniegi spod śniegu. Ale najbardziej przygnębiające było matowe, przygaszone spojrzenie, jakby oczy straciły dawny blask i zaczęły powoli przygasać niczym zbyt długo przecierana politura, gdy traci pierwotny odcień i mleczniej pod wpływem światła.

Może gdyby nie sen, leśniczy nie zwróciłby uwagi na swoją twarz, poprzecinaną siatką zmarszczek mimicznych, które mogłyby podobać się kobietom. Ale ta konfrontacja o szarym świetle sprawiła, że Olko poczuł się nie tylko stary, ale i zły.

Tego zbyt wczesnie rozpoczętego kwietniowego dnia, jego twarz przybrała wyraz nieokreślony, chmurny i złowrogi. Może stało się to przez łwie zmarszczki, a może przez wyraźnie zarysowane zmarszczki palacza, nie wiedzieć czemu zwane zmarszczkami gorczy, tak jakby gorczyca gromadziła się jedynie wokół ust?

Kiedy Olko stał tak przed lustrem, wyobraził sobie, że powinien pomalować twarz niczym wojownik jakiegoś starego afrykańskiego plemienia. Nasmarować ją gliną, wyżłobić na niej nowe wzory, ruszyć w głąb swojego lasu i znaleźć ślad tego, kto zakłócił i zburzył spokój.

Ruszył do kuchni, zapalił papierosa i zaparzył kawę mocniejszą niż zwykle. Na suszarce zauważył kubek, z którego ostatnio piła kawę Śliwińska. W pierwszym odruchu chciał do niej zadzwonić, ale co miałby jej powiedzieć? Że wciąż jest ciemno za oknem? Że budzi się jeszcze wcześniej niż poprzednio? Że ma złe sny? Czy miał prawo obciążać tę kobietę, która pojawiła się w jego życiu tak nieoczekiwanie, jakkolwiek wiedzą o sobie? Czy te wszystkie informacje, którymi obdarzali bliskich nie są i tak zbędne? Co wnoszą i do czego prowadzą? Dlaczego nie można przestać na czystym, zwierzęcym rodzaju kontaktu nieobciążonym masą słów, które przecież i tak nie wyrażają prawdziwych emocji, odczuć, nie wspominając o uczuciach?

A wystarczyłoby, pomyślał Olko, że ze światem roślin łączyłyby nas zwyczajne epinastie. Tak jak rośliny otwierają kielichy kwiatów, tak nasze ręce otwierałyby się na drugą osobę w ostatecznym geście oddania.

Sącząc niespiesznie zbyt gęstą kawę, zdał sobie sprawę, że natura poskapiła człowiekowi najprostszym narzędzi komunikacyjnych, zastępując je językiem – tą ułomną strukturą ciągle poszukującą

właściwych słów na oddanie rzeczy i emocji, skazując użytkowników na wieczną tułaczkę w przepastnym labiryncie głosek. Przestraszył się też myśli, że gdyby teraz zadzwonił, okazałoby się, że Śliwińska nie tylko nie śpi, ale myśli dokładnie o tym samym; o tym, że odpowiedź na wszystkie pytania znajduje się w jego lesie.

Podszedł do okna w kuchni, za którym wciąż panowały ciemności, chociaż czerń nocy powoli przeradzała się w powolną szarość. Czekał jeszcze dobre pół godziny, żeby zrobiło się nieco jaśniej. Wypatrywanie świtu obudziło w nim jednak nowy rodzaj nadziei. Czy świt nie jest tym, co zawsze nadchodzi?

Leśniczy nie chciał przyznać się przed sobą, że zakochał się w kobiecie, która nieoczekiwanie, przypadkowo wtargnęła w jego życie. Uzbrajał teraz swój mózg w najlepsze blokady: złość, szorstkość, nieczułość, ból i zniechęcenie.

III

Matka Anny Konik nie okazała zdziwienia, kiedy otworzyła drzwi Śliwińskiej. Rozczarowanie przyszło chwilę później, kiedy okazało się, że policjantka wcale nie chce z nią rozmawiać, tylko jeszcze raz wejść do pokoju córki. Wzruszyła ramionami i bez słowa go wskazała.

Śliwińska od razu dostrzegła zdjęcie Anny ustawione na parapecie. Portret był powiększonym zdjęciem legitymacyjnym. Konik miała na nim może dziesięć, a może dwanaście lat i był to ostatni okres w życiu tych dwóch kobiet, kiedy łączyła je jeszcze jakaś autentyczna więź. Prawy dolny róg fotografii zamkniętej w stalowych ramkach opasywała czarna, żałobna wstążka. Policjantka uznała, że dla matki córka umarła w czasie, kiedy wykonano to czarno-białe zdjęcie. Potem, zupełnie jak w złej bajce, Anna została przemieniona w niewdzięczną, milczącą postać wyniosłej i krnąbrnej księżniczki, która nie chciała przyznać się już do starej matki, a tym bardziej jej słuchać.

Policjantka jeszcze raz przeszukała pokój zamordowanej dziewczyny i jeszcze raz nic w nim nie znalazła, ale nie chciała z niego wychodzić. Zamarła w bezruchu i wyczuła obecność matki za drzwiami. Towarzyszył temu jakiś dziwny rodzaj wyczekiwania, jakby kobieta stojąca za drzwiami chciała zostać w domu sama.

Śliwińska wyobraziła sobie matkę denatki, która przychodzi codziennie do pokoju zmarłej córki, kładzie się na jej materacu i przez długie godziny wpatruje w sufit, myśląc o tym, kiedy popełniła błąd wychowawczy, który sprawił, że wiele lat później jej córka trafiła w ręce mordercy. Podążając za tym wyobrażeniem, sama położyła się na materacu. Chciała w spokoju pomyśleć o tym, jaką tajemnicę mogła skrywać Anna Konik.

Kiedy mościła się wygodnie w pozycji horyzontalnej niczym na katafalku, pod nogami wyczuła coś w rodzaju zgrubienia. Jakby w tym miejscu materac został źle wypchany i włożono do niego zbyt dużo bawełny. Policjantka wstała i wyjęła z kieszeni kamizelki scyzoryk. Delikatnie nacięła brzeg materaca na szwie i włożyła do środka rękę. Pomiedzy warstwami zbitej bawełny wyczuła prostokątny kształt owinięty dodatkową warstwą materiału. Przyszło jej do głowy, że musi to być albo obraz, albo jakaś książka. Kiedy wyszarpała z wnętrza materaca zawiniątko, spod warstw starej poszewki wyjęła płaskie pudełko z laki. Musiało być stare; ciemnowiśniowa powierzchnia była miejscami poprzecierana i nie lśniła jak nowe wyroby. Inkrustowane wieczko wypełniała podobizna chińskiego smoka, który wił się w płomieniach ognia. Gdzieś na wysokości jego otwartej paszczy widniała mlecznobiała perła z masy perłowej. Była otoczona płomieniami, ale przypominały one raczej czerwono-pomarańczowe skrzydełka.

Śliwińska powoli uniosła wieczko. W pudełku znajdował się tylko jeden przedmiot. Był to zeszyt o białych, tekturowych okładkach.

*

Po powrocie na komendę chciała iść ze znaleziskiem od razu do szefa, ale Krajewski ją ubiegł. Wpadł do pokoju i rzucił na jej biurko stertę porannych gazet.

– No i po ptakach, jak to się mówi! Teraz będę musiał zwołać konferencję! „Śmierć niewinnej studentki”, „Kto zabił Annę K.?”, „Morderca z lasu” – już się osły dobrały do żłoba i teraz nie dadzą nam spokoju. Komar wyszedł dzisiaj z siebie.

– No to może niech wróci do siebie i wyda nakaz aresztowania tego zapitego zrywkarza? Wszyscy byliby wtedy zadowoleni, włącznie z panem, prawda? – odcięła się Śliwińska.

– Co się z tobą dzieje, Śliwińska? Masz okres, czy ten cały modny peemes?

– Chwyty poniżej pasa rezerwuję dla mężczyzn z jajami. – Śliwińska nagle poczuła, że ma dosyć takiego traktowania.

Krajewski nabrał powietrza w płuca i policjantka przez chwilę miała wrażenie, że już nigdy go nie wypuści, a nabrzmiała żyła na jego czole za chwilę pęknie i jak w tanim horrorze zaleje mu oczy strugami jaskrawopomarańczowej farby. Zdołał tylko wrzasnąć:

– Oczekuję na oficjalny raport w tej sprawie! I to migiem! I wszystko mi jedno, czy w tej sprawie ruszysz dupą, czy głową!

Śliwińska wstała, stanęła na baczność i rzuciła odświeżnie:

– Tak jest, panie komendancie!

Krajewski nie wytrzymał jej kpiącego spojrzenia i wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami.

Po chwili zauważyła, że drżą jej ręce. Poczula też, że zaraz zwymiotuje i pobiegła do służbowej łazienki. Zdażyła spojrzeć na najtańsze, zielone papierowe ręczniki leżące na zimnym wysokim parapecie z lastrico i treść żołądka wylała się z jej trzewi wprost do umywalki.

Pomieszczenie wypełnił odór świeżych wymiocin. Poczula, jak nadchodzi druga fala torsji. Chwyciła się krawędzi umywalki i zaparła na lekko rozstawionych nogach. Cokolwiek jej zaszkodziło, zaszkodziło potężnie.

Kiedy wróciła do pokoju, usiadła za biurkiem, lekko osunęła się na krześle i przymknęła oczy. W ustach czuła charakterystyczny posmak kwasu solnego. Starła się spokojnie oddychać, ale zalała ją fala panicznego niepokoju. Zupełnie jak w momencie, kiedy trzyma się w ręku odbezpieczoną broń i ma się przekroczyć próg kolejnego pomieszczenia, w którym może ukrywać się sprawca. W takich momentach umysł nie koncentruje się na ciele; funkcjonuje w całkowitym oderwaniu od niego. Ciało działa automatycznie, sprawnie i pewnie zaprogramowane podczas licznych ćwiczeń i policyjnych sprawdzianów. Ciało w takich przypadkach prawie nigdy nie zawodzi. Za to umysł w tym czasie zalany jest nadmiarem bodźców potrzebnych do analizy i oceny sytuacji. Dla umysłu ten stan skrajnej koncentracji i napięcia, który musi się utrzymywać przynajmniej przez kilka minut, przypomina ostatnią fazę przed otwarciem ognia ciągłego. Sekundy wydają się godzinami, ale właśnie wtedy umysł osiąga moment ostrości widzenia, która pozwala przemyśleć bardzo dużo rzeczy w jednym ułamku sekundy. Dla umysłu to jednocześnie stan największego komfortu i dyskomfortu.

Śliwińska nigdy nie lubiła tych momentów, bo kiedy napięcie opuszczało jej ciało i umysł, czuła się jak ktoś, kogo ścięło z nóg potężne napięcie elektryczne zdolne do wypalenia dziury w głowie i w sercu. Ale właśnie w tym momencie, kiedy tak bardzo starała się pozbyć tego szczególnego napięcia myśli, stan zaczął się jedynie pogłębiać. Czuła się tak, jakby niewidzialna siła próbowała rozprostować jej sieć neuronową na płaskim, zimnym, marmurowym blacie niekończącego się stołu, a pompy jonowe pracowały na najwyższych obrotach, nie pozwalając neuronom na sekundę odpoczynku. Pomyślała, że śledztwo rozlało się właśnie jak plama ropy na bezkresnym morzu i wszyscy byli upaprani czarną mazią. Wystarczyła iskierka emocji, żeby wszystko stanęło w ogniu. Wiedział o tym Krajewski. I wiedział o tym Komar.

Spojrzała na zeszyt o białych okładkach leżący na jej biurku i poczuła, że zaraz zemdleje. Zdażyła jeszcze otworzyć oczy, odchylić okładkę, ale chwilę potem jej pole widzenia zalała kompletna czerń. Straciła przytomność, osuwając się z krzesła pod biurko, jakby próbowała zanurkować w morzu, wsuwając stopy pod powierzchnię płynnej magmy. Bezszelestnie, niepostrzeżenie, nie wydając z siebie żadnego dźwięku.

IV

Zaczęło siąpić. Olko ucieszył się z tej wiosennej, lekkiej, ale uporczywej mżawki, która zapowiadała tak potrzebne tej wiosny ożywienie. Postanowił podjechać na zrab od strony oddziału sto dwadzieścia jeden. Zaparkował malucha na końcu Baraniego Duktu. Sam nie wiedział, dlaczego na rozwidleniu skręcił w lewo, a nie w prawo, w stronę jazgotliwych odgłosów pił łańcuchowych. Może chciał zobaczyć, czy wyszły już przylaszczki, których w oddziale sto dwadzieścia jeden było najwięcej, a może odwlekał tylko moment, kiedy będzie musiał skontrolować postępy wycinki i odebrać ścięte drewno.

Olko uwielbiał moment, kiedy las kwitł. Nagle spod warstwy uschłych liści, jakby się nad nimi unosząc, zwisały drobne kwiatki, które swoim istnieniem zaprzeczały zimie i burym liściom. Wyrastały, przysłaniając szarobrazową warstwę liści intensywnym, fioletowym kobiercem.

Olko lubił przylaszczki, bo były to jedyne rośliny, które najpierw wydawały kwiat, a dopiero potem liście.

Leśniczy szedł niespiesznie w stronę Guzendowego Duktu i wypatrywał roślin, które podczas deszczu zawsze zamykały kielichy. Sam nie wziął z samochodu kurtki, bo lubił, kiedy lekki, wiosenny deszcz padał mu na głowę. Nie rozumiał ludzi, którzy przed deszczem uciekają albo tych noszących ze sobą wielkie, czarne parasole. Komu zaszkodzić mogła zwykła mżawka? Olko zauważył pierwszą kępę kwiatów, które dopiero nieśmiało przebiły się przez liście.

Wiosenny deszcz wydobywał i wzmacniał zapach lasu – podczas opadów wszystko nabierało wyrazistości. Leśniczy po chwili przystanął i wciągnął powietrze głęboko do płuc. Może dla kogoś innego ten zapach, który był mieszanką wilgotnej grzybni i zapleśniałych liści kojarzył się ze stęchlizną – ciężką i duszącą, ale dla Olki był zapowiedzią nadchodzącej w naturze zmiany. Czuł w nim zawsze ostrą, rześką nutę. Gdyby był twórcą perfum pewnie potrafiłby opisać to bardziej poetycko: powietrze pachniało tego dnia ciemną żywicą, mchem porastającym dęby, mokrymi szyszeczkami buczyny i wilgotnymi liśćmi leżącymi przy wejściu do lisiej nory.

Nie spieszyło mu się na zrab, ale postanowił wracać. Zobaczył przyłasczki i poczuł się uspokojony. Pod butem Olki pękła drobna gałązka i leśniczy zrobił kilka kroków naprzód. Kiedy zawrócił w stronę oddziału sto jedenaście, poczuł równie intensywną, ale niemiłą i agresywną woń padliny. Olko z doświadczenia wiedział, że rozkładające się zwierzęce ciała, nawet mniejszych zwierząt, mogą wydzielać intensywną woń. Tego rodzaju fetoru, podobnie jak zapachu lasu po deszczu, nie można było pomylić z żadnym innym. Leśniczy poszedł za zapachem. Chciał sprawdzić, czy padłego zwierzęcia nie trzeba będzie zakopać, zanim nie rozwłoką truchła lisy, kruki albo bezpańskie psy.

*

Zapach nie pochodził od zwierzęcia, zapach pochodził od ciała. Ciało było powieszona na drzewie, na drucie owiniętym wokół pnia. Ciało należało do starej kobiety. Olko widział już kiedyś taki sposób wieszania zwierząt, ale ludzi nigdy.

W latach osiemdziesiątych, zanim powstały wszystkie ruchy biorące w obronę zwierzęta, nikt specjalnie nie pochylał się nad losem topionych kociąt, przeznaczonych na rzeź starych koni czy psów bezpańskich albo na łańcuchach. Zwierzęta były nieważne. A najmniej te okołopodwórkowe

Burki i Mruczki. Były rzeczami, a nie istotami. Olko zapamiętał szczególnie wyraźnie pewien mroźny poranek osiemdziesiątego pierwszego roku, kiedy poszedł do lasu na obchód i oprócz pięknych saren skubiących przemarznięte gałązki sterczące spod śniegu, zauważył na drzewie uduszonego kota, którego powieszono za pomocą taniego, aluminiowego drutu.

Kot wisiał na wysokości jego wzroku. Był rudo-biały i musiał do końca walczyć o życie, bo podgardle miał całe rozorane, aż po widoczne w zaschniętej krwi ścięgna. Ciało kota wisiało już bezwładnie i sztywno. Olko długo zastanawiał się, po co ktoś zadaje sobie tyle trudu, żeby uśmiercić niepotrzebne mu zwierzę? I to w tak okrutny sposób? Nie był w stanie zrozumieć bezmyślnego okrucieństwa, tępej przemocy, siłowej przewagi prowadzącej do znęcania się nad istotami, które żyją obok. Przecież jeśli pozostawi się je w spokoju, to one same tego spokoju nie będą zakłócać.

Jedyne, co mógł zrobić tamtego mroźnego dnia, to zdjąć kota z pnia sosny i ułożyć w śniegu pod drzewem. Ziemia była zbyt twarda, żeby go zagrzebać, a śnieg przyjął martwe zwierzę niczym miękka pierzyna. Olko zauważył, że koci pyszczek jest wykrzywiony w bolesnym grymasie. Obrazu cierpienia dopełniały połamane z jednej strony długie, białe wąsy. Kot na długo po tym zdarzeniu nawiedzał leśniczego w snach. Czasami słyszał jedynie jego mruczenie w ciemnym kącie pokoju, czasami kot przychodził do niego nieoczekiwanie z nieokreślonej przestrzeni. Najpierw wbijał pazury w fotel przed kominkiem, a potem wskakiwał na jego kolana, wycierał swój biało-rudy pyszczek w jego brodę, smyrał go wąsami i łypał jasnozielonym okiem. Kot zadomowił się w przestrzeni jego snów i stał się towarzyszem jego nocnych podróży. Jeździł z nim samochodem, czasami nawet prowadził go za niego, ukrywał się w gumofilcach, zasiedlał najwyższe półki z książkami, zagrzebywał odchody w wyleniałej skórze dzika leżącej na podłodze salonu. Za każdym razem, kiedy mu się śnił, chciał mu pewnie coś przekazać, ale Olko nie umiał odczytać znaków wysyłanych przez zwierzę. Nie było w nich zresztą nic nadzwyczajnego – zwykłe zachowanie kociego umarłaka, który błąkał się jeszcze w zakątkach jego umysłu. Kot poszedł dalej dopiero w roku osiemdziesiątym dziewiątym. Olko pomyślał wtedy, że musiał zacząć trzecie, lepsze życie zupełnie gdzie indziej.

Kobieta, która wisiała na wysokości jego wzroku przypominała mu właśnie tego kota. Ktoś ją powiesił w podobny sposób: stopy nie dotykały ziemi, ciało było zupełnie nagie, a ręce zaciśnięte wokół stalowego drutu. Musiała się długo szarpać przed śmiercią. Kora sosny była otarta na wysokości pięt, a palce na pewno szukały ratunku w drzewie, bo powierzchnia sosny była poorana paznokciami, jakby ofiara chciała się w nie wczepić i znaleźć punkt oparcia. Kobieta miała długie siwe włosy, które częściowo zasłaniały bezwładnie spuszczoną głowę dotykającą podbródkiem klatki piersiowej. Szyję oplatała cienka stalowa linka, którą morderca dodatkowo kilkakrotnie owinął dookoła pnia. Olko nie podchodził do ciała. Stał w odległości, z której spostrzegł kobietę – kilka metrów od drzewa.

Wtedy usłyszał za sobą trzask suchej gałęzi. Odwrócił się gwałtownie, przysiadając na nogach, gotowy do ucieczki. Czy spodziewał się spotkać mordercę? Rozejrzał się w panice dookoła... Na leśnym dukcie stał spokojnie stary odyniec, który na jego widok lekko zjeżył chyb, a potem powoli zszedł z duktu, znikając mu z oczu. Olko odwrócił się z powrotem w stronę ciała i dopiero teraz poczuł, jak bardzo musiał się bać. Jego nogi stały się ciężkie i słoniowate, a do głowy uderzyła fala gorąca.

Olko nie widział zbyt wielu ciał starych nagich kobiet. To wydało mu się podwójnie poszkodowane: przez rodzaj brutalnej śmierci, który je sponiewierał, i przez odarcie z godności i intymności. Leśniczy miał wzrok wytrenowany do szczegółu; potrafił wypatrzeć kapelusz podgrzybka zatopiony głęboko w mchu i leśną mysz, która błądzi w gąszczu drobnych gałązek. Teraz też jego wzrok zarejestrował szczegóły, których chętnie by nie zauważył. Pierwszy to całkowicie siwe łono – wyschnięte i wychudzone, pokryte srebrnymi, długimi i cienkimi włoskami. Sprawiało szczególnie przygnębiające wrażenie, jakby podwójnie opuszczonego istnienia: przez czas i śmierć. Olko, który wciąż nie miał jeszcze siwych włosów, nie uzmysławiał sobie, że włosy łonowe również siwieją. Może dlatego ten widok tak nim wstrząsnął? Drugim szczegółem, który go zaskoczył, były długie, poźółkłe paznokcie u stóp, zbyt długie. Wystawały znacząco poza obrys palców, i to pewnie one, obok pięt, tak zażarcie wspomagały kobietę w walce o znalezienie jakiegokolwiek podpory. Nawet z daleka było widać, że są połamane, pokrwawione i zdarte.

Olko widział już wisielców w swoim życiu, ale byli to mężczyźni, którzy zginęli w ten sposób z własnej ręki. Dotychczas najbardziej znaną

sprawą w okolicy był przypadek „Kochanków z poloneza” – tak miejscowa prasa nazwała parę, która znalazła ciało.

Trwał sezon na popierdółki i sporo par przyjeżdżało do lasu. Olko pamiętał, że tamtego lata, w roku dziewięćdziesiątym czwartym, a może dziewięćdziesiątym piątym, par było szczególnie dużo. Był to także rok, w którym stara Bronowska, przechodząc przez las w poszukiwaniu grzybów, odkryła dwóch homoseksualistów uprawiających seks na masce samochodu. Ona przechodziła ścieżką, a oni nie zwrócili na nią uwagi. Bronowska uciekła w popłochu, bo przeżywszy osiemdziesiąt lat swojego życia, nie wiedziała, że takie rzeczy rzeczywiście być mogą i to w jej lesie. Plując i czyniąc raz po raz znak krzyża, dotarła do leśniczówki wstrząśnięta i spocona. Już od progu zażądała, by Olko chwycił za dubeltówkę, wrócił z nią, a następnie zastrzelił obu rozpustników. Bronowska nie potrafiła właściwie opowiedzieć, co dokładnie widziała, bo nie znała żadnych terminów z dziedziny ludzkiej seksualności. Nie mogła też zrozumieć, dlaczego Olko ich nie zastrzelił i nie zlikwiduje grzechu w momencie jego trwania.

Kiedy Olko odmówił, chciała chociaż zabrać z obejścia grabie albo motykę, by wymierzyć sprawiedliwość własnoręcznie. Olko nie chciał za bardzo dyskutować z Bronowską o zabijaniu ludzi tylko dlatego, że uprawiają seks na masce auta. Kiedy w końcu kobieta poszła, złorzecząc na świat i na niego, wsiadł w samochód i pojechał ostrzec beztruską parę. Na szczęście już ich nie zastał. Ręka boska bronowska nie zdążyła ich dosięgnąć, ale mógł sobie wyobrazić, jak Bronowska nadciąga ze szwadronem zaalarmowanych sąsiadów zaopatrzonych w motyki, widły i grabie. I jak sprawnie w imię boże, a więc niejako z najwyższej potrzeby, która zwalnia ze wszelkich wyrzutów sumienia i z myślenia, okłada nieszczęsną parę po nagich tyłkach. Od tamtego czasu Olko stanowczo wypraszał z lasu wszystkie pary uprawiające różnorakie odmiany miłości. Owszem, czasami fundował im stosunek przerywany, ale czy życie nie jest ważniejsze?

„Kochankowie z poloneza” również doświadczyli traumy. Kto wie, może nawet większej niż Bronowska. Przyjechali do lasu w porze obiadowej w dzień powszedni, co minimalizowało możliwość nakrycia. Samochód należał do mężczyzny. Był to nowy polonez w kolorze nautico, który wprawdzie odcinał się od zieleni, ale nie był aż tak widoczny jak popularne wówczas modele w odcieniu „indyjska kość słoniowa”.

Mężczyzna, w lokalnej prasie nazwany Bogusławem M., chciał nie tylko pochwalić się przed swoją kochanką nowym samochodem, zapewne pragnął odnowić na tylnym siedzeniu dozgonne śluby namiętności, które tak łatwo jest obiecać, a tak trudno dotrzymać.

Para kochała się namiętnie, z rozmachem, przy drzwiach otwartych, kiedy leżąca głową w dół dziewczyna dostrzegła wiszącego, a właściwie siedzącego na drzewie i powieszono na szelkach mężczyznę. Krzyknęła głośniej, już nie z rozkoszy, a z przestachu, co Bogusław odczytał opacznie. Chciał w końcu przyszpilić dziewczynę członkiem do tylnego siedzenia, ale wtedy i jego wzrok padł na wisielca. Namiętność czmychnęła prosto w las, by już nigdy nie powrócić. Para w popłochu ubrała się i uciekła, porzucając samochód i wisielca. Rozstali się w milczeniu, by już nigdy do siebie się nie odezwać. Kiedy Olko przybył tam ze Zrębala, obaj pomyśleli, że samochód należy do nieboszczyka. To było nie tylko logiczne, ale i prawdopodobne. Ale to, co wydaje się logiczne i prawdopodobne, zwłaszcza w obliczu śmierci, takim zazwyczaj nie jest.

Podczas dochodzenia dosyć szybko zidentyfikowano personalia samobójcy oraz kierowcy. Na jaw wyszedł też romans „kochanków z poloneza”, którym wisielec zniszczył życie. Żona Bogusława M. zażądała rozwodu, w akcie szału zdewastowała nowy samochód. Kochanka Bogusława do końca życia cierpiała na zaburzenia orgazmu, a przez pięć lat od zdarzenia w ogóle nie uprawiała seksu. Zamiast wyjechać z miasta, pracowała uparcie w lokalnym domu handlowym. Otrzymywała wprawdzie wiele propozycji seksualnych od mężczyzn, którzy zakładali, że skoro dała tamtemu to i im może, ale wszystkie te propozycje niweczyły częste kaśliwe i raniące uwagi ze strony innych kobiet. W mieście nazywano ją Trupiarą i nawet Olko raz złapał się na tym, że użył kiedyś tego określenia. Przypomniawszy sobie po latach jej smutny wyraz twarzy i przygaszone piwne oczy, kiedy owijała w szary papier pudełko na dyskietki.

Nawet policja przyznała, że samobójca wybrał nietypową metodę. Jak dowiedział się wtedy Olko, wcale nie potrzeba wieszać się wysoko. Wystarczy klamka, kaloryfer, niewysokie drzewo. Żeby zatrzymać krew, potrzebny jest ucisk ledwie ponad trzech kilogramów na tętnice szyjne. Zrębala tłumaczył mu, że w sumie łatwo się powiesić, bo właściwie w ciągu kilku minut traci się przytomność i choć serce może jeszcze bić kilkanaście minut, to śmierć mózgu jest nieodwracalna, a po utracie przytomności trudno się przecież rozmyślić. Olko nigdy nie dowiedział się

z prasy, dlaczego mężczyzna powiesił się w taki sposób ani jakie miał ku temu powody. Lokalna prasa wołała skoncentrować się na żywych i z regularnością kościelnego dzwonu przypominała o romansie „kochanków z poloneza”, dopóki łamów nie zdominował kolejny skandal erotyczny. Lubiany ksiądz Marek zrzucił sutannę, by rok później poślubić rozwódkę i matkę dwójki swoich dzieci.

Olko spojrzął po raz kolejny na trupa kobiety. Z daleka widać było również bruzdę wisielczą – ciemnobrunatny ślad na szyi, efekt podwieszenia ciała na stalowej linie. Leśniczy nie chciał nawet wyobrazić sobie, przez jaki czas musiała cierpieć ta stara kobieta. Nie zastanawiał się, kto tak okrutnie się z nią obszedł i czy był to ten sam człowiek, który w podobny sposób zabił Annę.

Ciało starej kobiety musiało wisieć w tym miejscu, oddalonym od ciała Anny Konik nie więcej niż kilkaset metrów już od dłuższego czasu. Miało żółtawo-niebieski kolor i zaczynało już puchnąć – był to znak, że procesy rozkładu opanowały tkanki. Olko wzdrygnął się i pomyślał, że ma pretekst, żeby zadzwonić w końcu do Marty, ale czy właśnie takiego pretekstu szukał? Chciał wyciągnąć telefon, ale kieszeń jego kurtki była pusta. Jak zwykle zostawił aparat w samochodzie. Nie cierpiał rozmawiać przez komórkę, ale teraz podreptał w kierunku samochodu, przygnębiony znaleziskiem.

Wybrał numer Marty z pamięci, ale jej służbowy telefon milczał. Numeru domowego nie znał.

Ósme ciało – pomyślał. To poprzednie i tamci. Spojrzął na rękę. Jakby miały osiem palców.

Z oddali usłyszał dźwięk pracującego dziecięcia. Wyjął paczkę papierosów. Zaciągnął się mocno... Nabrał pewności, że mordercą musi być ktoś z okolicy. Może nawet ktoś, kogo zna? A może nawet ktoś, z kim pracuje?

Staął oparty o maskę samochodu i zastanawiał się, kto to może być. Typowanie potencjalnego mordercy początkowo wydało mu się kompletnie idiotyczne i bezsensowne. Na pewno jego koledzy mieli wiele sekretów, ale przecież nie aż tak strasznych? Odkrywanie sprawcy we własnym otoczeniu, niezależnie od skali wykroczenia, zawsze musi być zaskakujące. Olce przypominała się pewna scena sprzed lat.

Jechał przez las na rowerze, właściwie zjeżdżał na obiad do domu po odbiórce drewna, kiedy kątem oka dostrzegł po prawej dwa samochody.

Ktoś inny mógłby ich nawet nie zauważyć, bo jeden z samochodów miał odcień butelkowej zieleni, a drugi stalowoszary. Kierowcy wjechali dość daleko w las i zaparkowali świadomie bądź nie pośrodku rozległego terenu, na którym rosły krzaki czarnej borówki, poprzetykane kępami brusznicy. Było to dość popularne miejsce wśród zbieraczy runa leśnego i Olkę zdziwiło, że ktoś wjechał tam samochodem. Ale spojrzenia Olki nie zatrzymał tamtego dnia kolor aut, tylko ruch. Jeden z samochodów uginał się w charakterystycznym rytmie, którego nie można było pomylić z żadnym innym: w górę i w dół, w dół i w górę. Klasyczna popierdółka, pomyślał wtedy Olko i po raz kolejny zadumał się nad ludzką głupotą. Nie mógł zrozumieć, dlaczego kierowcy pchali się w sam środek lasu, w owocujące połacie jagodzin, gdzie w każdej chwili mógł nadejść przygodny zbieracz. Musiał interweniować. Wypędzenie kierowców z lasu należało do zakresu jego obowiązków. W każdych okolicznościach.

Leśniczy nie lubił takich obowiązków. Zaskakiwanie obcych ludzi podczas seksu zawsze budziło w nim dyskomfort. Nie tyle ze wstydu, co z niemożności przewidzenia ich reakcji – raz chciano go pobić, innym razem przejechać. Ludziom wydawało się, że pośrodku lasu, w swoich szczelnie zamkniętych samochodach z zaparowanymi szybami są niewidzialni niczym drapieżca z kosmosu z *Predatora*. Kiedy Olko podszedł bliżej ruszającego się auta, wywnioskował, że akt odbywa się na tylnym siedzeniu, chociaż wszystkie szyby były szczelnie zamknięte i zaparowane. W takich momentach zwykle pukał w szybę. Zapukał i tym razem. Parze w aucie zajęło dłuższą chwilę, zanim zorientowała się, że ktoś w lesie może tak bezceremonialnie zapukać. Po kilku chwilach ruch jednak ustał. Mężczyzna o poczerwieniałej, spoconej twarzy opuścił w końcu szybę samochodu, a leśniczy rozpoznał znajomą twarz sąsiada. Na pewno sąsiad był zdziwiony, ale Olko był zdziwiony chyba jeszcze bardziej. Gość wydawał się dobrym, przykładowym małżonkiem, troskliwym ojcem i był ostatnią osobą w okolicy, którą Olko mógł sobie wyobrazić w jagodzinach w biały dzień, uprawiającego seks z elementami woltyżerki z jakąś obcą kobietą w zaparowanym aucie. Leśniczy na zawsze zapamiętał wyraz twarzy sąsiada. W jego oczach było zmieszanie, strach, wstyd i potworne skrepowanie związane z charakterystycznym maślanym wyrazem podniecenia i ekstazy. Sąsiad patrzył na Olkę wzrokiem spokorniałego baseta, który w każdej chwili, nagi, mógł wyczołgać się z samochodu i

przypaść do jego nogi, skomlać o litość i wyrozumiałość. Jeszcze chwila, a usłyszałby piskliwe błaganie: Tylko nie mów mojej żonie!

Z wnętrza samochodu buchnął mu w nozdrza odór cudzego seksu. Mieszananina zapachów erotycznych wydzielin, potu, słodkawych perfum, wody po goleniu, mokrych włosów, brudnej tapicerki, rozgrzanego plastiku deski rozdzielczej i aromatu benzyny. Olko odsunął się od szyby... Nakazał jak najszybsze opuszczenie tego miejsca. Odwrócił się, bo nie chciał patrzeć na kobietę kulącą się na tylnym siedzeniu. Zauważył tylko jej nagie ciało pokryte czerwonymi plamami. Gdyby spojrzął jej w twarz, mógłby jeszcze rozpoznać jakąś znajomą i wtedy poczułby się podwójnie parszywie. Właściwie powinien wtedy wypisać mandat i bez słowa wręczyć go obojgu albo bezceremonialnie zatknąć za wycieraczkę. Mimo wszystko chciał być ludzki. Wycofał się w odpowiednim momencie, nie pilnował pary, aż wyjedzie z lasu, postanowił zachować milczenie i nie chwalić się kolegom, kogo nakrył. Mimo to konsekwencje dotknęły właśnie jego. Sąsiad prowadził w okolicy popularny sklep wiejski i zawsze, kiedy Olko robił tam zakupy ostentacyjnie milczał i był niemiły – tak jakby to leśniczy miał grzeszny romans, a nie on.

Dla Olki każdy człowiek w lesie był intruzem. Ludzie nie byli w stanie zrozumieć roli strażnika lasu. Często odnosili się do niego wrogo, jakby fakt, że broni drzew był z zasady błahy i niepoważny. Czy drzewo może być ważniejsze niż człowiek? Czy las jest ważniejszy niż społeczność?

Zgasił papierosa i schował niedopałek do kieszeni. Głęboko westchnął i wsiadł do samochodu. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że to, co się wydarzyło w jego lesie jest wymierzone przeciwko niemu, dotyczy go osobiście i osobiście mu zagraża.

V

Śliwińska ocknęła się na podłodze pokoju. Leżała jeszcze przez chwilę w bezruchu, dostrzegając warstwy kurzu pokrywające węzowisko kabli tłoczących się pod biurkiem. Wstała z postanowieniem, że musi zrobić badania na zawartość mikroelementów we krwi. Nie chciała lekceważyć omdlenia, ale zrzuciła to na przemęczenie i niedostatki magnezu. Kiedy spojrzała na zegar wiszący na ścianie, uświadomiła sobie, że minęło zaledwie kilka minut. Postanowiła skoncentrować się na dzisiejszym

znalezisku. Wzięła ponownie zeszyt w ręce i zanim zaczęła go kartkować odwróciła go grzbietem do góry i odgięła sztywne okładki. Do wnętrza pudełka wpadła pocztówka. Przedstawiała martwego, śnieżnobiałego łabędzia zwisającego z postumentu albo kolumny. Obraz tętnił od barokowych szczegółów: lekko nadpleśniałych brzoskwiń, przekwitłych róż i kilku innych ptaków, których nazw policjantka nie знаła. W tle majaczył włoski krajobraz z dramatycznie skłębionym niebem. Obraz martwego łabędzia wypełniał prawą stronę pocztówki. Szyja i głowa ptaka leżały na blacie stołu, a prawe skrzydło odchylone w bok, wciąż wyglądało tak, jakby chciało wzbić się do lotu. Śliwińska odwróciła kartkę. Pocztówka nie była zapisana. Policjantka odczytała na rewersie nazwisko malarza i tytuł obrazu: Jan Weenix, *The Daed Swan*, 1716. Nazwisko nic jej nie mówiło. Przypomniała sobie z lekcji historii, że nazwa „martwa natura” wcale nie była taka martwa. Holenderskie *stillevan*, niemieckie *stilleben* i angielskie *still life* miało w sobie jednak coś z życia. Może cichego, może nieruchomego, ale jednak życia. Ale czy ludzie jadali kiedyś łabędzie? Ten symbol czystości, szlachetności i niewinności? Śliwińska przybliżyła do oczu reprodukcję. Pośrodku była mała dziurka. Zapewne po pinezce – pomyślała. Czy był to jeden z obrazków, które wisiały w pokoju Anny?

Śliwińska usłyszała na korytarzu jakieś zamieszanie. Chciała wyrzeć, ale nie zdążyła, bo do jej pokoju wpadł komendant. Nie zdążyła jeszcze o nic zapytać, kiedy rzucił w jej stronę:

– Czy odbieranie służbowej komórki też jest dla ciebie problemem?

Śliwińska spojrzała na swoją torbę rzuconą w kąt pokoju.

– Coś się stało? – zapytała.

Komendant wzniosł oczy do góry, co oznaczało najwyższy stopień poirytowania.

– Ten cały, jak mu tam, Olko? Ten leśniczy znalazł kolejne ciało. Ponoć wydzwaniał do ciebie. Na szczęście powiadomił też innych. Ekipa już jest w drodze.

Krajewski nie czekał na jej reakcję. Wyszedł z pokoju, zostawiając otwarte drzwi. Był to znak, że Śliwińska musi się zbierać. Spakowała do torby lakowe pudełko, w którym z powrotem zamknęła zeszyt i wyłuskała z wewnętrznej kieszeni telefon. Kiedy odchyliła klapkę na ekranie wyświetliło się pięć nieodebranych połączeń od leśniczego. W jej spisie numerów Olko figurował jako Człowiek z Lasu.

ROZDZIAŁ VIII

Cięgiedź

I

Leśniczy i policjantka szli w milczeniu do miejsca, w którym wisiało ciało starej kobiety. Olko rozmyślał o słowach, które bezpowrotnie zniknęły z użycia, czyniąc język ojczysty może bardziej przejrzystym, prostszym, ale i uboższym. Nie wiedział, dlaczego akurat teraz przyszło mu do głowy słowo cięgiedź, które kiedyś oznaczało zarośla bądź gęstwinę. Było w nim coś niepokojącego, coś co oddawało zmaganie się z zieloną materią. Coś nie do przebycia. Takich miejsc nie było już w jego lesie. Po Kniei Łódzkiej, podmokłej, rozległej i niedostępnej, nie zostało prawie nic. Lasy padły ostatecznie pod naporem maszyn. Trzeba było wyrąbać puszcę pod Bałuty i Chojny. Krajobraz z leśnej cięgiedzi zamienił się w miejską cięgiedź. Olko czasami wyobrażał sobie, jak musiało wyglądać i jak gęsto było zaludnione to miasto w przededniu pierwszej wojny światowej. Ta wymarła Łódź, która po osiemdziesiątym dziewiątym zamieniła się w miasto włókienniczych widm. Wszystkie tkaczki i prządki zniknęły i nikt w kraju nie wiedział, co zrobić z postindustrialnym molochem, który zaczął obumierać niczym zgniłe jabłko. Najpierw opuszczone fabryki pokryły się kurzem, potem pleśnią, później zaczęły się walić, a na koniec spod warstwy czerwonych cegieł, niczym z zatrutej, czarnej pestki zaczęły kiełkować rachityczne brzozy i topole. Olko rzadko jeździł do Łodzi, ale ilekroć tam przebywał dopadał go ten dziwny rodzaj pustki, jakby całe miasto toczyła osobliwa odmiana miejskiego raka, którego przerzuty pojawiały się w najmniej oczekiwanych miejscach. Czy była to ulica Legionów, Wschodnia czy Lodowa – bez względu na lokalizację było widać syndrom pustoszenia. Przetarte szyldy, ślepe okna, łuszczące się tynki, wądoły na brukowanych ulicach, czerniejące pomniki, wyrwy w chodnikach, ciasne torowiska, dachy kryte czarną papą, walące się kamienice, grzyb w przyziemi, ziejące

czernią zimne wnętrza zatęchłych piwnic, brak drzew, błotniste podwórka-studnie oblepione samochodami. Stan zaniedbania zamieniony w stan opuszczenia utrwał się w Łodzi niczym wystawiony na wiatr, deszcz i zapomnienie piękny wełniany kobierzec, z którego wystawały szare nitki osnowy, tworząc w całości misternego wzoru potężne luki. Oczywiście najbardziej przygnębiająco wyglądało ścisłe centrum. Fasadowy remont słynnej Piotrkowskiej jedynie dotkliwie obnażył nędzę równoległych podwórek, które pączkowały na tyłach masą przedziwnych komórek, garaży, przybudówek i śmierzących oficyn. Dla Olki była to zurbanizowana forma czyścica. Miasto przejściowe, tymczasowe, z którego należy się wydostać, a którego szczerze nie lubił. Nie lubił zwłaszcza ulic w centrum, przy których nie rosły nawet pojedyncze drzewa. Tak jakby miasto, które pożarło knieję musiało unicestwić ostatnie ślady jej istnienia, wypełniając przestrzeń architektonicznym nadmiarem po brzegi. Jedyną dzielnicą, którą akceptował była Ruda. Może dlatego, że nigdy do Łodzi nie należała, wcielona w obręb Litzmannstadt w czasie okupacji? Ale i tu klimat podmiejskiego letniska wkomponowanego w starodrzew zniknął zupełnie. Piękne, drewniane pałacyki i wille po latach komunalnej dominacji przypominały drewniane, zbutwiałe, nasiąknięte wodą, zapadające się rudery.

Śliwińska zastanawiała się, jak przekonać szefa, żeby zwiększył obsadę śledztwa. Teraz już nikt nie miał wątpliwości, że trzeba będzie zmierzyć się z seryjnym mordercą. Sprawa zaczynała toczyć się niczym kula śniegu. Najpierw powoli, by wszystko skutecznie oblepić, a potem, zwiększając masę, nabrać niebezpiecznego tempa. Niebezpiecznego dla wszystkich.

Punkt tymczasowej zbiórki policja urządziła przy dużym paśniku, który na górze miał magazyn do przechowywania siana. Rozstawiono nawet jeden rozkładany stolik z przenośnym termosem, co Śliwińska uznała za szczyt organizacji. Kiedy Krajewski zobaczył Śliwińską, natychmiast do niej doskoczył, wziął pod rękę i zaprowadził na dukt, tak żeby nikt nie mógł ich usłyszeć.

– Ta stara wiedźma nie została jeszcze zidentyfikowana. Oczywiście nie znaleziono przy niej żadnych dokumentów, jak się domyślasz – komendant sapął do ucha policjantki.

– A cokolwiek znaleziono? – zapytała Śliwińska, chociaż było to pytanie retoryczne.

– Matraszek nad tym pracuje, znasz go, on jest w stanie znaleźć wszystko, na razie znalazł tropy dzików.

Śliwińska przytaknęła, bo Matraszek był bardzo skrupulatny i działał z pedanterią, która właściwa jest wyłącznie osobom samotnym. Po prostu w życiu nie miał nic innego do roboty. W pełni oddany pracy – taki napis na nagrobku Matraszka ujrzała Śliwińska w wyobraźni.

– Coś mi mówi, że tej starej więdźmy nie nazwiemy tak szybko po imieniu. – Krajewski zapatrzył się na korę drzewa, jakby dostrzegł tam coś niezwykle ważnego.

– A co, jeśli będzie kolejne ciało? – zapytała spokojnie Śliwińska.

Komendant odwrócił się do niej gwałtownie, ale wcale nie był zdziwiony. Westchnął tylko i nagle z jego oblicza zniknęła doczepiona gęba wiecznego żartownisia, który w żart potrafiłby obrócić nawet własną śmierć. Złość na Śliwińską już mu przeszła, ale nadal był na nią obrażony.

– Myślałem o tym... – dodał.

Zaskoczył tym Śliwińską w dwójnasób. Raz, że na to wpadł, a dwa, to odkąd znała Krajewskiego, a znała go od czasu, kiedy przyszła na staż w komendzie, nie słyszała, żeby myślał nad czymkolwiek dłużej niż kwadrans.

– Może wezwiemy do pomocy członków tutejszego koła łowieckiego?
– Krajewski zdawał sobie sprawę, że trzeba będzie przeszukać nowe miejsce zbrodni w promieniu kilkudziesięciu metrów.

– Tu działa Ośrodek Hodowli Zwierząt. Taka przykrywka do polowań. Niby leśnicy; dokarmiają zwierzynę, dbają o paśniki, a po godzinach strzelają – sprostowała Śliwińska.

– Tym lepiej, że mają pojęcie o polowaniu. Mogą nam pomóc, prawda? Warto ich bliżej poznać... Zresztą domaga się tego twój ulubiony prokurator.

– Komar? Mój ulubieniec? – zapytała.

– A kto? Komarzyca? – zakpił Krajewski. Odwrócił się znowu obrażony i odszedł w stronę paśnika.

*

W tym męskim zbiorowisku egotyków brakowało jedynie Komara, prokuratora, który był wyjątkowo nieprzyjemny, chociaż określenie „wyjątkowo nieprzyjemny” nie oddawało jego prawdziwej natury. O ile Krajewskiego można było uznać za niegroźnego wesołka, który do tego był

próżny i lubił ułatwiać sobie życie, o tyle Komar ze swoją śmiertelną powagą i mentalnością księgowego oraz jawną mizantropią był osobą bardziej nadającą się na wykonawcę średniowiecznych tortur niż na prokuratora wojewódzkiego. Śliwińska miała już z nim do czynienia i odnosiła wrażenie, że gdyby prokurator miał wybór, to prędzej by ją udusił, niż z nią rozmawiał.

Policjantka zauważyła, jak komendant poklepuje po ramieniu nadleśniczego Walendzika, który osobiście przyjechał na miejsce drugiej zbrodni. Domyśliła się, że nadleśniczy zaraz do niej podejdzie i zapewne opowie jakąś piękną i wzniosłą historię o członkach miejscowego OHZ-tu. Nie minęło pół minuty i rzeczywiście stanął przed nią siwy, przystojny, wysoki i postawny mężczyzna.

– Ryszard Walendzik. – Ukłonił się.

– Marta Śliwińska... – Policjantka wyciągnęła do niego rękę, którą nadleśniczy ujął w swoją dłoń i nachyliwszy się pocałował. Ten gest wydał się jej szczególnie nie na miejscu. Odniosła wrażenie, że kręcący się obok policjanci i ekipa, włącznie z leśniczym, zwrócili na to uwagę. W tym geście było coś obraźliwego, bo poza grzecznościową formą Śliwińska wyczuła próbę narzucenia paternalistycznej relacji. I raczej się nie myliła, już następne słowa nadleśniczego były tego potwierdzeniem.

– Rozmawiałem z pani przełożonym. Zaproponowałem pomoc członków naszego OHZ-tu w oględzinach terenu. To świetni fachowcy. Myśliwi, tropiciele... Ponoć chce ich pani bliżej poznać? – Nadleśniczy stanął w lekkim rozkroku, skrzyżował ręce i mimowolnie zaczął lekko kiwać się na czubkach palców.

– Tak, chciałabym z nimi porozmawiać. – Śliwińska też stanęła w rozkroku i też skrzyżowała ręce, ale nie zaczęła się kiwać, bo jednak byłaby to jawna parodia.

– Mogę panią zapewnić, że znam moich chłopaków od lat – podkreślił Walendzik z naciskiem na zwrot „od lat”.

– I co w związku z tym? – Śliwińska potrafiła być asertywna, jakby ta oczywista uwaga, która prowadziła do kolejnego zdania, była dla niej niezrozumiała. Nadleśniczy nadał się, wyraźnie niezadowolony, że jego słowa nie trafiają od razu w sedno.

– Chcę tylko powiedzieć, że znam tych chłopaków osobiście i są to porządni ludzie – dodał, a jego ciało kiwnęło się do przodu.

– A oni są jeszcze w szkole, te pana chłopaki, że tak ich pan broni? – Śliwińska wychwyciła od razu, że nadleśniczy wyraża się o dorosłych mężczyznach per „chłopaki”. Oburzenie nadleśniczego można było porównać do zachowania rozwścieczonego indora, który właśnie nastroszył pióra i zatrząsał energicznie koralami podgardla. Jego twarz przybrała odcień świętej purpury, a głos stał się wyniosły i lodowaty.

– Spodziewam się, że ma pani odpowiednie kompetencje, żeby się o tym przekonać – odpowiedział wolno, wbijając w policjantkę zimne spojrzenie.

– Ja również się spodziewam, że ma pan odpowiednie kompetencje.

Postanowiła przerwać tę słowną przepychankę, bo wiedziała, że i tak sytuacja jest dość przejrzysta. Nadleśniczy zmanifestował podwójny problem: problem związany z władzą i problem z kobietami. Oba w przypadku ich relacji splatały się w jeden węzeł. Policjantka nie tylko była kobietą, ale miała nad nadleśniczym władzę. Było to dla nadleśniczego połączenie całkowicie nie do zaakceptowania. Śliwińska, nie czekając na reakcję z jego strony, odwróciła się i wzrokiem poszukała Zrębali.

Zrębala stał pod drzewem i mieszał cienką, rozpuszczalną kawę białym plastikowym patyczkiem. Śliwińska zaczęła z marszu, bo on nie robił żadnych ceregieli i nie stroił fochów.

– Zna pan na pewno sołtysów z okolicznych wiosek.

– No znam, nie wszystkich osobiście, ale niektórych lepiej. – Zrębala doskonale znał kilku, a przynajmniej tych, którzy mieli w zwyczaju prowadzić auto po pijaku i nie widzieli w tym żadnego problemu. Wierzyli, że wiejskie drogi w nocy są po prostu puste, a przynajmniej te wiodące do najbliższej wioski. Tym charakterem znajomości akurat nie chciał się zbyt chwalić.

– Najpierw niech pan pojedzie do tych, których zna pan lepiej. Może to mieszkanka jednej z okolicznych wiosek? Niech pan dyskretnie wypyta, czy ktoś zauważył zniknięcie starszej pani.

Zrębala kiwnął głową i przytknął dwa palce do skroni, jakby miał za chwilę wykrzyknąć: Tak jest! Policjantka przespacerowała się wśród ekipy, chciała odszukać wzrokiem Olkę, ale leśniczego nie było w pobliżu.

Olko próbował przypomnieć sobie twarz matki, ale we wspomnieniach przybierała zawsze postać starej, zgorzkniałej kobiety, którą pamiętał już jako dorosły mężczyzna. Im dłużej żył, tym bardziej starał sobie przypomnieć twarz matki młodej, uśmiechniętej, radosnej, ale to wspomnienie nie nadchodziło. Powracała za to twarz pokryta zmarszczkami i bruzdami, zacięta, nieprzyjazna, zła i zamknięta, na której widać było jedynie rozczarowanie życiem. Olko często myślał o matce. O jej życiu na polskiej wsi w dużym domu, wybudowanym zaraz po wojnie przez ojca, pośród pojawiających się rok po roku dzieci. O tym, że właściwie jej nie znał, i że nigdy z nią nie rozmawiał. Matka nie koncentrowała się na żadnym z dzieci z osobna. On pojawił się jako czwarty, przedostatni w tym łańcuszku powojennego szczęścia, ale jako pierwszy i jedyne uciekł, kiedy miał ku temu okazję.

Do szkoły dla leśników trafił przypadkiem. Zawsze marzył, żeby być lotnikiem, ale właściwie nie zrobił nic, żeby to marzenie spełnić. A potem, po maturze było już za późno. Wystarczyła jedna dziura w zębie, żeby go zdyskwalifikowano podczas badań lekarskich w Dęblinie i właśnie ta dziura w szóstce złamała Olce karierę lotnika wojskowego. Leśniczy nie mógł sobie również przypomnieć, skąd w jego chłopskiej głowie zrodziła się potrzeba latania. W dorosłym życiu panicznie bał się samolotów, a odrywanie się od ziemi nigdy nie sprawiało mu większej przyjemności. Odstępowały go karuzele i wesołe miasteczka, wysokie wieże i latarnie morskie. Jedyne perspektywa, z której był w stanie spojrzeć na ziemię z wysokości, to górski szczyt – ale też bez przesady. W wieku lat dwudziestu, za sprawą swojej ówczesnej narzeczonej, wspinał się na Giewont i na tym poprzestał.

Olko miał już dość gwaru i hałasów wywoływanych przez ekipę dochodzeniową. Ludzie w większej grupie go irytowali. Ostatnio z trudem znosił nawet wspólne biesiadowanie w gronie kolegów. Może obcowanie z drzewami uczyniło z niego odludka, a może tylko ustaliło zdrową proporcję pomiędzy nim a resztą przedstawicieli jego gatunku?

Szedł wolno, rozmyślając, kiedy usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się i zobaczył, że zbliża się Śliwińska, prawie biegnie. Dogoniła go, a jedyne, co była w stanie zrobić, to oprzeć się o jego ramię i głośno zapłakać. Olko spojrział w kierunku, z którego przyszła, i szybko, żeby nikt postronny ich nie zobaczył, zszedł z duktu. Wziął Śliwińską za rękę i poprowadził w stronę gęstego, świerkowego młodnika. Wkrótce po wejściu pomiędzy

czterometrowe drzewa ogarnął ich bezpieczny półmrok. Gęsto posadzone świerki, przed pierwszymi czyszczeniami, otaczały ich ze wszystkich stron. Wypatrzył wolne miejsce, w którym świerk nie wyrósł albo został wycięty przez kogoś, kto szukał parę lat temu ślicznej, bożonarodzeniowej choinki.

Ziemia pod ich stopami była pokryta gęstą warstwą zleżającego igliwia, które teraz, w zimny, ale wilgotny kwietniowy dzień, wydzielalo mdły żywiczny zapach. Olko spojrzal w zapłakaną twarz policjantki i poczuł, że jakiegokolwiek słowa pocieszenia nie mają sensu. Przyłożył dłoń do jej ust i pchnął na drzewo. Śliwińska początkowo chciała go powstrzymać. Oparła rękę na jego torsie, ale kiedy Olko boleśnie zacisnął jej drugą rękę na karku, poczuła, że pragnie go w tej chwili z taką samą intensywnością.

Z boku mogło to wyglądać jak mecz bokserski, który rozgrywa się w ciasnej przestrzeni zielonego ringu. Ich ciała tańczyły, zahaczając o siebie bezboleśnie, raz szarpiąc się, raz okładając po nerkach, żebrach i głowie. Dopiero w czwartej rundzie udało im się w siebie wczepić, zakleszczyć i wytrwać w tym uścisku przez kolejne trzy rundy. Oboje czuli, że ta pozorna walka powoli zdejmuje z nich napięcie ostatniej doby, choć na chwilę zwalnia z przymusu myślenia. W pewnym momencie policjantka podcięła leśniczego i wykręcając mu rękę wprawnym chwytem zmusiła go do położenia się na ziemi. Olko poddał się jej bez wahania, jakby element przemocy był elementem gry miłosnej. Poczul jak obejmuje go zimna ziemia. Chłód podłóża przenikał przez kolejne warstwy ubrania. Policjantka przyklęknela nad nim. Jedną ręką obejmowała członek, drugą odgarnęła włosy – chciała go wziąć w usta, ale Olko poprosił: Usiądź mi na twarzy...

Przemknęło jej przez myśl, że żaden z jej dotychczasowych kochanków nigdy od niej tego nie chciał. Wahala się przez chwilę... Widziała jego oczy – były prawie czarne. Przypominały wilcze lampy i patrzyły na nią w skupieniu i napięciu. Opadła na kolana. Olko złapał ją mocno za pośladki i przyciągnął do siebie, przymknął oczy... Jego twarz całkowicie zniknęła pomiędzy jej nogami, a ona czuła narastające podniecenie, napływające z wnętrza niczym odległa, wzbierająca fala, która zaraz uderzy z niewiarygodną siłą o brzeg. Czuła, że nie powstrzyma krzyku, który na pewno doszedłby do ekipy dochodzeniowej. Chwyciła jego dłoń i przytknęła sobie do ust. Kiedy szczytowała, zagryzła rękę Olki mocno, aż do krwi. Jednocześnie z orgazmem poczuła na języku jej słodkawy smak. Olko z trudem otworzył oczy. Poczul jej orgazm – na tyle silny, że prawie wypchnął jego język z ciepłego wnętrza. Jego twarz była teraz lepka i

mokra. Zobaczył nad sobą zawieszoną twarz kobiety – rozpuszczone włosy dotykały jego czoła i policzków.

Śliwińska starała się uspokoić oddech, głośno dysząc. Czuła się jak zwierzę, które szuka wody. Jej usta wyschły, a krew ściekała wolno w kierunku przełyku. Leśniczego odurzył zapach, który dopiero teraz do niego dotarł – słodko-kwaśna woń wymieszanych wydzielin ludzkich ciał. Olko złapał policjantkę za włosy i przyciągnął, żeby ją pocałować. Kiedy ich wargi się zetknęły, odszukał członkiem wejście do jej wnętrza i wślizgnął się tam jednym długim ruchem, by po chwili znów się całkowicie wysunąć i znów wbić do środka. Tym razem tak mocno, jak tylko potrafił. Policjantka wydała z siebie stłumiony jęk, ale się nie broniła. Całkowicie rozluźniona otworzyła się na głębokie, długie pchnięcia na granicy bólu. Czuła, jak w kolana wbijają się jej świerkowe igielki. A kiedy odwróciła głowę, zobaczyła, że wokół nich chodzi mnóstwo mrówek. Wspinały się powoli na nagie przedramię leśniczego. Szły jedna za drugą wzdłuż niebieskich ścieżek jego żył, jakby to była rzeka, której ujście znajdują za chwilę tuż pod skórą. Zauważyła, że krew na jego dłoni zakrzepła, ale ślady jej zębów były wyraźnie widoczne i przybrały lekko fioletowy odcień. Na pewno utrzymają się przez kilka kolejnych dni – pomyślała. Olko wysunął się z niej, sprawnym ruchem pchnął ją na plecy, podwinął koszulkę i ściskając mocno piersi wciśnięte w miseczki biustonosza, zalał jej brzuch ciepłym strumieniem spermy. Przyłgął do niej i leżał bez ruchu przez kolejne kilka minut. Wiedział, że zaraz będą musieli wstać, starannie się otrzepać, wyjść z powrotem na ścieżkę, wrócić do służbowych obowiązków i udawać, że nic ich ze sobą nie łączy. Ale czy tych kilka stosunków, które ze sobą odbyli, brutalnie, wytrwale, do upadłego, wiedzeni jakimś dziwnym instynktem, który kazał im szargać ich ciała – gryźć, drapać, boleśnie penetrować, dociskać, wbijać zęby – można było nazwać jakąkolwiek relacją? Może pchnęła ich ku temu wielka samotność, która wylewała się z ich wnętrza niczym smoła z kadzi – wolno i powoli, zalewając wszystko na swojej drodze lepką mazią? A może pchnął ich ku temu instynkt? Głęboka potrzeba innego kontaktu niż werbalny z drugim człowiekiem? Bo przecież od pierwszego momentu ich ciała ujawniły niezwykle rodzaj porozumienia, tak jakby czekały na siebie w utajeniu.

Olko położył się obok Śliwińskiej, wyciągnął papierosa i leżąc na wznak, patrzył na wąskie skrawki nieba wyświetlające się spomiędzy świerkowej ciżby jak połamane szkiełka w kalejdoskopie. Ogarnął go

smutek tak gęsty, jak cięgiędź, która ich otaczała. Nie była to oczywiście wina Śliwińskiej, ani tym bardziej jego. Była to wina myśli, które napływały jedna za drugą, niepowstrzymanie i bez litości. Olko myślał o chwilach, w których kiedykolwiek poczuł, że jest szczęśliwy. Może po raz pierwszy zdarzyło mu się to w wieku lat trzynastu podczas przeprawy przez mały drewniany most w sąsiedniej wiosce. Zaskoczyła go gorąca, letnia burza. Już pierwszy głuchy pomruk sprowadził strugi deszczu. Z nieba zaczęły spadać wielkie, ciepłe krople. Olko zamiast uciekać, stanął na moście i pozwolił, by krople, najpierw nieco nieprzyjemne, a potem kojące, spływały po jego ciele. Zdjął koszulę po starszym bracie i przerobione przez matkę krótkie spodenki i stanął na mostku nagi. Gdy podniósł ręce do góry, poczuł się po raz pierwszy w życiu szczęśliwy. Woda spływała po nim małymi strumykami, które torowały sobie drogę wzdłuż jego wątego, bladego ciała w stronę przyrodzenia. Krople wsiąkały we włosy łonowe – wtedy były jeszcze nieposkręcane i jaśniejsze, a kremoworudy puch otaczający jego członek przypominał gęsie gniazdo. Olko poczuł, że pod wpływem ciepła i deszczu jego członek unosi się i pęcznieje. Spojrzał na niego z góry. Był jak delikatna, opalizująca, cienka witka leszczyny – giętka i prężna. Mały Olko nie mógł się powstrzymać i zaczął namiętnie przesuwać ręką skórę wzdłuż członka. Robił to inaczej niż dotychczas – nie szybko i mocno, tylko wolno i niespiesznie. Chciał, żeby przyjemność trwała jak najdłużej. Odślaniał powoli żołądź i zatrzymywał ruch na chwilę, po to by spadły na nią krople deszczu. Kiedy krople uderzały, czuł rozkosz. Czuł ją także wtedy, kiedy liczył w myślach odległość pomiędzy błyskiem a grzmotem. Burza zbliżała się niebezpiecznie w jego kierunku i zdawał sobie sprawę, że wystawanie na mostku jest niebezpieczne. Poczucie szczęścia było jednak silniejsze. Zszedł z mostku nagi, dopiero kiedy wypłynął z niego białawy, lepki płyn. Pozwolił jeszcze, żeby deszcz zmył z niego ten ekstrakt męskości – zawiesinę życia, która szklila się jeszcze potem przez chwilę na drewnianych deskach mostku, niczym świeżo złożony skrzek. To jednostkowe doświadczenie szczęścia wróciło podczas uprawiania seksu z policjantką. Olko ucieszył się z tego stanu, a zarazem bardzo się go przestraszył. Porywy namiętności nie leżały w jego spokojnej, statecznej i nieco uśpionej naturze. Sam nie wiedział, skąd się brały. Czy z reakcji na permanentny brak stałej partnerki, czy z tęsknoty za bliskością? Olko był jak drzewo. Jego życie nawarstwiało się jak kolejne słoje, ale

każdy ze słojów był osobny. Miał swoją grubość i linię, zawsze różne, bo każdy słój formował się pod wpływem innych okoliczności.

Olko spojrzał na Śliwińską. Leżała obok, na wznak, prawie jak na tymczasowym katafalku z grubej warstwy igliwia. Oddychała wolno i spokojnie, ale na jej zaróżowionej twarzy wciąż oblanej miłosnym wykwittem leśniczy dostrzegł smutek.

– Musimy wstać – powiedział cicho, prawie szeptem.

– Nie mam siły – odpowiedziała. – Czuję, że to wszystko naprawdę mnie przerasta. I jeszcze ten twój szef, niezły kawał skurwysyna – dodała. – Jak sobie z nim radzisz?

Olko nie znosił szefa. Nie dlatego, że był złym fachowcem, bo był świetnym. Nie znosił go jako człowieka. Był typem zimnego, wyrachowanego, cynicznego gracza, dla którego niespecjalnie liczył się „czynnik ludzki”. Struktura, jaką zarządzał, sprzyjała budowaniu „zielonego folwarku”. Lubił panować i chciał czuć, że ludzie się go boją. Był jak srogi ojciec, który rozdziela fawory swoim chłopakom. Większość drżała przed nim, bo srogi ojciec był też kontrolującym. Każda niedoskonałość budziła w nim jawną odrazę i skazywała podopiecznego na niełaszkę. W nadleśnictwie panował porządek oparty na strachu i podszyty przemocą. Olko jako jeden z nielicznych nie bał się szefa. Dostrzegł w nim wszystkie ułomności – pychę, ambicję, chęć dominacji. Podczas konfrontacji starał się schodzić mu z drogi. W głębi duszy ignorował go i nie przejmował się, jak inni koledzy, jego osobą. Nadleśniczy podświadomie to wyczuwał i czasami liczył się z jego zdaniem. Olko był jedynym podwładnym, któremu podarował swój tomik wierszy. Bo nadleśniczy pisał poezję. Oczywiście poezję najgorszą i najbardziej prymitywną, w jakiej piękno przyrody znikało pod topornymi rymami „dzik – w mig”, „leśna brać – przyjaźni kadź”. Czasami, późno w nocy, Olko patrzył na ten tomik w ramach ćwiczeń z odrazy. Walendzik, ilekroć odwiedzał go w leśniczówce, z wielką przyjemnością odszukiwał wzrokiem cienki grzbiecik swojego tomiku włożony pomiędzy inne książki. Olko zrobił to zresztą celowo – umieścił tomik nadleśniczego pomiędzy wyborem wierszy Roberta Frosta i René Chara. Lubił patrzeć, jak Walendzik niby mimochodem podchodził do półki i wyluskiwał wzrokiem niebieskawy grzbiecik umieszczony na tle grzbiecików żółtych. Oczywiście szef nie znał ani poezji Frosta, ani poezji Chara. Może nie znał nawet żadnej poezji z wyjątkiem własnej, ale miał o poezji pewne wyobrażenie i

fakt, że Olko umieścił ten wydany własnym sumptem zbiorok wśród innych tomików, za każdym razem łechtał jego ambicje.

Olko często się zastanawiał, jakie są granice ludzkiej próżności, ale ilekroć przyłapywał nadleśniczego przystającego w cieniu jego ulubionych poetów, dochodził do wniosku, że muszą być niezmierzone. Oczywiście szef nigdy nie sięgnął po Frosta stojącego po lewej i Chara ustawionego po prawej. Nie był ciekawy ich fraz, przenośni, melodii i refleksji. Wystarczyło, że sam znał równie poetyckie nazwy wszystkich szkodników leśnych. Te wszystkie prządki pierścienice, zwójki zieloneczki, boreczniki i szeliniaki... Ten świat nie układał się jednak w żaden wzór. Nie było w nim naddatku piękna. Nadleśniczy nie znał subtelnych połączeń słów w związki frazeologiczne, co do tego Olko nie miał wątpliwości. Krótko mówiąc, wewnątrznie olewał Walendzika i nie miał zamiaru się go bać. Może nadleśniczy to wyczuwał i właśnie dlatego traktował Olkę mniej surowo niż innych, a może i nie wyczuwał, a była to nagroda za miejsce na półce.

– Nie radzę sobie – odparł Olko po dłuższym namyśle. – Po prostu go toleruję. Zakładam, że jest częścią pewnego układu, w którym sam uczestniczę i na który nie mam wpływu. Mogę go wziąć na siebie – zaproponował.

– Nie o to chodzi. – Śliwińska spojrzała na Olkę. – Masz w nadleśnictwie kogoś, komu naprawdę ufasz? – zapytała.

Na to pytanie Olko nie odpowiedział.

III

W głowie wciąż majaczyło mu słowo „przyjaciół”. Kogo właściwie mógłby tak nazwać? Na pewno jego ostatnim przyjacielem był Mudi, owczarek węgierski. Mudi, jak prawie każdy mudi, był czarny i kudłaty, nie tak wielki, jak popularny owczarek niemiecki, ale obdarzony niespotykanym jak na psa poczuciem humoru. Trafił w ręce Olki przez przypadek. Kolega z sąsiedniego leśnictwa hodował króliki – piękne puszyste angory, które Mudi pewnego dnia, pod nieobecność rodziny, ze szczenięcą radością powywlekał z klatek i zadusił. Kiedy kolega wraz z żoną i dziećmi wrócili z zakupów, na zielonej soczystej trawie zauważyli kłęby białego puchu unoszące się na letnim wietrze z wielką gracją, a tuż za nimi rozpościerały się martwe ciała z szeroko rozwartymi czerwonymi

oczami. Młodsza córka, która jako pierwsza znalazła porzucone w trawie zwłoki swojego ukochanego samczyka, wpadła w histerię tak wielką, że kolega nie śmiał odmówić jej czegokolwiek. Mudi – morderca – musiał na zawsze zniknąć jej z oczu. Niczym w bajce o Królownie Śnieżce dostał od żony trudne do wykonania zadanie. Miał zabrać psa do lasu i natychmiast uśmiercić. Córka, która trzymała martwego królika w ramionach, płakała tak głośno i rzewnie dopóty, dopóki mężczyzna nie wziął odruchowo psa na smycz i ruszył za płot z zarzuconą na ramieniu strzelbą.

Oczywiście przywiązał psa do drzewa i wycelował w niego ze sztucera, ale kiedy zobaczył niewinny i przemiły pysk...

Pomyślał więc, że klatki z królikami wcale nie były tak dobrze zabezpieczone, że wetknięty zamiast metalowego skobelka patyk mógł wypaść, a klatka mogła sama się otworzyć na wietrze. Czyż winą psa był zew zabawy, tarmoszenia, zaganiania, który sprawił, że Mudi zadusił piętnaście królików w jedno letnie popołudnie? Kiedy wszystko to sobie uświadomił, to pojechał ze szczeniakiem do Olki.

Leśniczy był wtedy tuż po rozstaniu z żoną, która uciekła z urzędniowcem i postanowił psa przyjąć. Jeśli można mówić o głębszym porozumieniu pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem, to doszło do niego właśnie w przypadku Mudiego i Olki. Kiedy szczeniak wyskoczył z samochodu, od razu przylgnął do Olki, jakby znał go od dawna. I nie było w tym prostej zależności uczuciowej, jaka zwykle wytwarza się w przypadku znajdy i wybawiciela. Nie było w tym także wdzięczności i litości – była w tym czysta przyjaźń. Odtąd Olko nie rozstawał się z psem. Chodził z nim wszędzie – do lasu, na spacer, na zakupy. Bez wątplenia Mudi był szalony szaleństwem węgierskim, głębszym, które narodziło się gdzieś przed wiekami w nizinnej puszczy – bezleśnym, płaskim bezkresie doliny, którą można było przemierzać bez końca, która i dla Mudiego, i dla jego przodków nie miała granic.

Mudi miał w sobie niestrudzonego ducha. Tropił z wiecznym zapalem na podwórzu wszelkie gryzonie. Uwielbiał polować na szczury, myszy, łasice, nornice i kuny. Właściwie każde zwierzę, które zastał na własnym podwórku traktował jak intruza. Gonił, ścigał i walczył, aż do śmiertelnego finału. Taka była właśnie jego natura: czujnego obrońcy, lojalnego przyjaciela, żywiołowego towarzysza. Czasami, a zdarzało się to głównie zimą, Olko brał Mudiego do domu. Pies z reguły kręcił się po mieszkaniu przez jakieś dwie godziny w tę i w tę, ale w końcu kładł się na skórze

dzika, tuż obok fotela Olki i zasypiał. Olko lubił patrzeć na jego lśniąca, czarną sierść, która falowała na grzbiecie. Lubił wpatrywać się w jego ciemne, żywe, brązowe oczy, które zawsze szukały okazji do poderwania się i zabawy. Kiedy Mudi spał, Olko czytał mu na głos książki. Nie wybierał jakichś specjalnych lektur, ale czuł, że czytanie wyraźnie Mudiego uspokaja – pies kładł się na boku, przymykał oczy i wyciągał łapy. Świat podwórkowy, który na co dzień tak go podniecał i angażował, wydawał się teraz nieważny. Mudi zapadał w głęboki sen i Olko był przekonany, że bez czytania Mudi nie byłby taki grzeczny.

Zwykle wieczorami Olko stawał przed jednym z regałów i zastanawiał się, co przeczytać psu. Dzięki tej praktyce często wracał do książek, po które powtórnie by nie sięgnął i do tych, które lubił kartkować od czasu do czasu. Gdyby Olko miał talent marketingowy i zapisywał te wszystkie tytuły, fragmenty i cytaty, jakie z taką troską i miłością czytał przez osiem długich lat ich wspólnego życia, mogłyby z tego powstać modne i poczytne pozycje poradnicze o znamionach światowego bestsellera: *Co czytać psu, aby był szczęśliwy i spokojny*, *Literatura dla psów* czy *Dziesięć powieści, które odmieniają życie twojego psa*. Olko zmysłu marketingowego nie posiadał. Niezmiernie cieszył go fakt, że okres bolesnej transformacji ustrojowej własnego kraju przepracował w lesie i nikt nie zmuszał go do kapitalizowania własnych przyjemności.

Autentyczna mądrość i inteligencja Mudiego nie zdołała go jednak uchronić przed tragiczną śmiercią. Nie dane mu było wkroczyć w nowe tysiąclecie. Tuż przed końcem dwutysięcznego roku Mudi uciekł przez wykop pod siatką do lasu i wrócił z rozszarpanym gardłem. Musiał złapać się w jakieś sidła. Zdołał się z nich wyszarpać, ale rozorał sobie całe podgardle. Kiedy zawył przed furtką, a Olko zobaczył na jego czarnych, kręconych włosach lśniąca krew, wiedział, że psa nie da się uratować. Zanim przyjechał z miasta zaprzyjaźniony weterynarz, Mudi padł na jego rękach. Olko jeszcze długo siedział na ziemi, trzymając w objęciach martwego psa. Patrzył Mudiemu w oczy. Najpierw zniknął z nich blask, potem stały się matowe, na koniec wyglądały tak, jakby ktoś pociągnął je odrobiną białej farby. Olko czuł jak rozgrzane ostatnim biegiem ciało Mudiego stopniowo oddaje ciepło.

Postanowił psa spalić. Sam właściwie nie wiedział, dlaczego nie zakopał go w ogrodzie pod uginającą się od kwiatów starą jabłonią. Byłaby to przecież piękna mogiła. Wybrał kilka odpowiednich, żywicznych szczap,

ułożył je na środku podwórka w rodzaj promienistego stosu, uzupełnił chrustem, ułożył Mudiego i podpalił. Usiadł na trzecim schodku wiodącym do leśniczówki i dopiero wtedy zapłakał.

Teraz, patrząc na Martę, przypomniał mu się cytat: „Nie tylko człowiek umiera, nie bój się. Któregoś dnia kamienie też umrą. Umrze też ogień, a na świecie pozostanie jedynie lodowaty proch. A potem umrze ten proch, bo nie będzie niczego, co mógłby pokryć. Wszystkie gwiazdy zamkną oczy, bo nie będzie na co patrzeć. Nie bój się. Idź i baw się, kamykami, książkami, miłościami^[1]. Chciał wypowiedzieć cytat na głos, ale się powstrzymał. Obawiał się, że zostanie źle zrozumiany.

IV

Pani Helena Widmańska mieszkała we wsi Prawda od roku tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego. Nie była stąd i nikt nie wiedział, skąd była. Przywiózł ją Widmański z wojny i została. Sąsiedzi jej nie lubili. W jej ruchach i głosie odczuwali obcość, a do tego widzieli jej niewprawność we wszelkich czynnościach gospodarskich.

W połowie lat pięćdziesiątych jej mąż, Jakub, wybudował nowy dom, ale zamiast zrobić to tak jak wszyscy w okolicy, czyli przesłonić nową murowaną chałupą starą skorupę drewnianego domu, Widmańscy wybrali odległy od wsi zakątek, tuż przy ścianie lasu, na końcu należącej do Jakuba ojcowizny. Dom był skromny, nieotynkowany, na kamiennej podmurówce, ale miał porządną dachówkę, a Helena uparła się na aleję głogów wiodących do domu niczym do pałacu. To też się nie podobało, podobnie jak to, że nie było obejścia wytyczonego płotem, ani psa, który by ujadał na łańcuchu. Widmański tuż po pobudowaniu się znalazł pracę w mieście. Zajmował się skupem żywca na terenie okolicznych wiosek i jego też nikt już nie lubił, bo mimo że był chłopakiem ze wsi, płacił za świnie tak, jak kazali mu w mieście. We wsi Prawda Widmańscy byli chlebem powszednim wszelkich plotek. Ludzie nienawidzili ich za to, co im samym nigdy by nie przyszło do głowy. Nie cierpieli Widmańskiego, bo pracował w mieście, Widmańskiej, bo nie umiała wydoić krowy i miała blade, drobne, czyste i niezniszczone pracą dłonie. Nie znosili ich także, a może przede wszystkim z tego względu, że Widmańscy byli szczęśliwi i czasami potrafili obnosić się ze swoim szczęściem w sposób wyjątkowo bezczelny,

idąc objęci na przystanek pekaesu. Widmański nie pił i nie tył, a Widmańska, zawsze zadbana, nosiła pończochy, a takie marnotrawstwo wiejskim kobietom także nie mieściło się w głowach. Kiedy Widmańskiego potrącił w mieście samochód i wiadomo było, że już się nie wyliże, wiele osób ze wsi wcale żonie nie współczuło. Widzieli w tym wypadku znak, że to oni mieli rację. Przed wojną Widmański zalecał się do mieszkających dwie chałupy dalej siostr Wroczak. Gdyby ożenił się z jedną z nich, na pewno wybudowałby dom od frontu, zrobił kilkoro dzieci i był szczęśliwy szczęściem przypisanym do ziemi.

Od momentu, kiedy Widmańska po raz pierwszy stanęła sama na przystanku pekaesu, by odwiedzić swojego męża w szpitalu, mieszkańcy wsi Prawda przestali jej się kłaniać. Potem przestali z nią rozmawiać, a później w ogóle o niej zapomnieli, jakby nigdy we wsi nie mieszkała. Bo przecież nie mieszkała. Za głogową aleją nie było już wsi – była tylko ściana lasu.

Widmańska żyła na przekór upływowi czasu, jakby po śmierci męża wykiełkował w niej owoc głogu. Owoc z czasem tracił barwę, marszczył się, kurczył i gorkniał, ale jego twarda, mocna i duża pestka wciąż tkwiła w środku, niczym duży polny kamień, którego można przesunąć na miedzę, ale nie można usunąć z pola.

Z perspektywy Śliwińskiej było logiczne i całkowicie zrozumiałe, że morderca wybierze właśnie ją – mieszkającą na uboczu, gdzie można było podejść od strony lasu. Starą panią, którą nikt się nie zainteresuje, bo przecież nikt o niej już od dawna nie pamięta.

Jej dom był zaskakująco przytulny. Kiedy Śliwińska szła głogową aleją razem z sołtysem i Zrębalą, spojrzała na drzewa – poskręcane przez czas i wiatr tak samo, jak powieszona ciało Widmańskiej. Wyobraziła sobie tę aleję w rozkwicie. Jej widok musiał uspokajać swoją pewnością, a lekko różowawe kwiaty, niczym oblana rumieńcem twarz dziewczynki, przypominać o dniu, kiedy tę aleję zasadzono.

Gdy przekroczyła próg domu, w pierwszym pokoju, sąsiadującym z kuchnią, zobaczyła ciemnozielony tapczan – wysoki i twardy – przygnieciony trzema grubymi wałkami. Stał pod ścianą obok obłożonego białymi kaflami pieca. Ściany pokoju pomalowano na szaro, ale bez śladu srebrnych szlaczków. Nad tapczanem brakowało też kilimu z Jezusem w ogrodzie Getsemani. I to, co zauważyła z dużym zdziwieniem: nie było

krzyża nad drzwiami. Jedynym elementem, który mógł świadczyć o tym, że jest to dom na wsi, był duży, pleciony z grubej wikliny kosz na drewno.

We wnętrzu nie było żadnych śladów włamania. Może staruszka, przywykła do samotności, ucieszyła się z niespodziewanej wizyty, a może знаła tego, kogo wpuściła pod swój dach? Policjantka poruszała się po domu ostrożnie nie tylko z zawodowych względów. W domu było coś, co wymuszało szacunek. Ostrożnie, w rękawiczkach, dotykała nielicznych przedmiotów: starego, wysokiego kwietnika z ustawioną na szczycie paprotką, wypłowiałych oparc krzesel wyłożonych tym samym starym aksamitem co tapczan i wreszcie dużej, trzydrzwiowej szafy pokrytej jasną czeczotką, na której było widać lekkie splekania.

Delikatnie otworzyła szafę – wewnątrz pachniało lawendą. Ujrzała kolekcję szytych na miarę sukienek. Pomiedzy wieszakami jaśniała ta jedyna – jedwabna. Odruchowo zdjęła ją z wieszaka i przyłożyła do ciała. W lustrze na drzwiach spotkała własne spojrzenie obleczone w haftowane zaślubiny. Suknia miała fason z lat czterdziestych. Lekko marszczone rękawy do połowy ramienia, wykończone atlasową lamówką, wcięcie w pasie zaznaczone efektowną kokardą i półklosz spódnicy rozlewający się do połowy łydek. Kolor sukni nie był biały – miał herbaciany odcień pozbawionej wody hortensji. Sukienka podkreślała nie tylko jej figurę, ale także odcień skóry. Policjantka pomyślała, że teraz te wszystkie rzeczy ktoś – być może nawet sam sołtys z rodziną – po prostu wyrzuci do rowu przy drodze albo wywiezie do najbliższego chłopskiego lasu, gdzie stopniowo będą butwieć, pokrywać się pleśnią, aż w końcu zgniją targane przez deszcze, wiatr i czas. Śliwińska rozejrzała się. Zrębala z sołtysem byli wciąż w kuchni, przeglądali domową apteczkę i szuflady kuchennego stołu, jakby tam chcieli znaleźć na cokolwiek odpowiedź. Zwinęła sukienkę starannie w cienki rulon i obłożyła sobie nim talię. Pod granatową kamizelką nie sposób było tego dojrzeć. Policjantka wiedziała, że to, co robi, urąga wszelkim zasadom, ale nie mogła się powstrzymać. Chwilę wcześniej na niskim nocnym stoliku dostrzegła zdjęcie Jakuba. Był to prosty, czarno-biały portret mężczyzny w średnim wieku. Jakub mógł mieć na tym zdjęciu może czterdzieści lat, może pięćdziesiąt, ale nie więcej niż pięćdziesiąt pięć, bo wtedy umarł. Obcy mężczyzna z fotografii patrzył na nią szczerym, przejrzystym spojrzeniem. W tym spojrzeniu odbijały się pewność i stanowczość. Pomyślała, że Jakub był człowiekiem, na którego można było liczyć. Chciała mieć coś tych obojga dla siebie, po prostu mieć.

Po krótkiej opowieści sołtysa historia tej dziwnie niedobranej pary jeszcze bardziej ją zaintrygowała. Gdzie się spotkali? Gdzie się pokochali? Kto kogo uratował? Kto co komu zawdzięczał? Kto pierwszy powierzył drugiemu tajemnicę, jeśli jakaś była? Sołtys niewiele poza plotkami mógł powiedzieć. Wiedział tylko, że Jakub wziął udział w bitwie nad Bzurą, na krótko wrócił do wioski, a potem znowu przepadł. Po wojnie wrócił z żoną. Sołtys u Widmańskiej w domu nigdy nie był. Za daleko. Czy staruszką ktoś się interesował, też nie wiedział, bo ród Widmańskich na Jakubie się zakończył. Dzieci nie zostawił, rodzice pomarli tuż po wojnie, a jedyna siostra przeprowadziła się pod Tuszyn. Może ona coś więcej powie? A może pani Stenia ze sklepu gminnego, do którego czasem Widmańska zaglądała?

Śliwińska zaczęła się zastanawiać, która forma samotności jest gorsza. Samotność miejska i te wszystkie staruszki wyglądające z okien bloków z lat siedemdziesiątych, kiedyś piękne i tryskające energią, teraz zasuszone i wypatrujące bliskich, którzy nie nadchodzą. Czy samotność wiejska: wieczne wpatrywanie się w ten sam, jednostajny krajobraz, który w sposób namacalny i zmysłowy zaznacza upływ czasu dzień po dniu? Kiedy spojrzała przez okno pokoju, w którym stała szafa, dostrzegła, że głogowa aleja schodzi w dół, opada pod łagodnym kątem tak, że można zobaczyć każdego, kto nią idzie. Tymczasem z okna w kuchni widziała pociemniałą, jednolitą ścianę lasu oddaloną od obejścia może dwieście, może trzysta metrów. Wyszła przed próg i spojrzała najpierw w lewo, potem w prawo. Wszystkie chałupy i zabudowania były po lewej stronie dużo niżej, oddalone od ściany lasu o trzy, cztery kilometry. Ten, kto nadszedłby tędy za dnia, mógł pozostać niezauważony. Gdyby któryś z mieszkańców wioski obserwował chałupę Widmańskiej po zmroku, i tak niczego by nie wypatrzył. Drzwi od strony głogowej alei były zamknięte – klucz wciąż tkwił w zamku. Drzwi od strony podwórka były otwarte, ale Śliwińska była przekonana, że ekipa dochodzeniowa nie znajdzie na nich żadnych śladów. Zatrzymując się na wyślizganym progu, który prowadził na podwórze, zauważyła stojącą pośrodku podwórka starą, nieużywaną już od wielu lat studnię z kamienną cembrowiną, przy której rósł rozłożysty dąb. Zastanawiała się, ile mógł mieć lat. Pień był gruby, a gałęzie o tej porze roku wciąż bezlistne. Nachodziły na dom, otaczając go niczym wielkie, ciemne, żylaste przedramiona. Śliwińska podeszła do drzewa. Oparła się o nie i na chwilę przymknęła oczy. Kiedy spojrzała na drzwi wejściowe,

uświadomiła sobie, że morderca musiał znać Widmańską, a ona jego. Zdarzało się to rzadko, ale bywało, że Śliwińska wbrew swojej sceptycznej, racjonalnej naturze wywoływała wizje, które prowadziły ją w nieznane, ale pomagały odkrywać prawdy umykające przed trzeźwym umysłem. Przywiązywała do tych obrazów znaczenie tak duże, jak niektórzy przywiązują do snów, szukając w nich klucza do interpretacji. Zobaczyła teraz staruszkę, która stoi na progu w skromnej, granatowej sukience. Nieco niżej na dużym polnym kamieniu, stał młody mężczyzna. Trzymał Widmańską za rękę – pomagał jej zejść. Staruszka miała rozpuszczone włosy, które mimo siwizny pozostały mocne i gęste. Wyglądała jak mała, przedwcześnie postarzała dziewczynka zdziwiona własnym wiekiem i własną starością. Uśmiechnęła się do mężczyzny i odeszli razem w stronę ciemniejszej ściany lasu. Na twarzy Widmańskiej nie było widać strachu. Było widać jedynie ten rodzaj szczęścia, który towarzyszy twarzom zakochanych kobiet.

Śliwińska zapaliła papierosa i ruszyła w stronę lasu. Gdyby spojrzała teraz na siebie z boku, zobaczyłaby, że również jej twarz upina się w ten sam rodzaj uśmiechu zakochanej kobiety. Śliwińska o tym jeszcze nie wiedziała. Nie wiedziała, że miłość odkłada się na twarzy każdej kobiety grymasem, który szybko dostrzegają inni, ale dla nich samych pozostaje jeszcze długo ukryty.

Szła, brnąc przez zeszłoroczną, wyschniętą trawę, a nad nią świeciło kwietniowe, blade i słabe słońce, które o tej porze ledwo wyzierało spoza podkutego mlekiem nieba. Wpatrywała się sumiennie w usianą drobnymi kamieniami ziemię. Kiedy chciała ominąć jeden z nich, dostrzegła w trawie małą, białą kulkę. Przykucnęła i rozejrzała się dookoła. Zobaczyła, że kilka centymetrów dalej w trawie leży druga kulka, potem dostrzegła kolejne, niczym rozrzucone koraliki z paciorka. Układały się w prowizoryczną ścieżkę prowadzącą w stronę lasu. Śliwińska zbierała je i wrzucała do foliowego worka. Kulki były małe, niektóre puściły lepki, gęsty sok o mlecznej barwie, który w dotyku i konsystencji przypominał spernę. Ślad urywał się na rowie porośniętym mchem, oddzielającym linię lasu od łąki. Ostatnia kulka leżała w zroszonym mchu, w promieniach słońca wyglądała jak mała perła, którą ktoś zostawił na zielonym, aksamitnym kobiercu dla panny młodej. Śliwińska nie wiedziała, że zbiera owoce jemioli. Dla niej były to wciąż małe, białe kulki, które kojarzyła z owocami śnieguliczki – lubiła je rozgniatać w dzieciństwie na łódzkich chodnikach. Tyle że kulki

jemioly nie wydawały z siebie żadnego dźwięku. Pozostawały nieme jak dąb przy studni...

V

Kiedy Śliwińska weszła do leśniczówki, Olko siedział w kuchni, tyłem do wejścia. Położyła mu delikatnie dłoń na karku i zanurzyła głowę w jego włosach. Olko odwrócił się i wtulił głowę pomiędzy jej piersi. Po chwili wstał, wziął ją na ręce i zaniósł do pokoju na górze. Śliwińska spojrzała mu w oczy. Nie było w nich pożądania i to ją przestraszyło. Zdażyła odwrócić się na brzuch, żeby nie patrzeć mu w twarz, kiedy ta przybrała nowy, nieznany wyraz. Olko pociągnął ją za nogi, a jego ręka błyskawicznie odnalazła drogę do paska. Szybko ściągnął z niej spodnie i majtki i jednym ruchem włożył dwa palce do środka. Śliwińska była sucha, odruchowo zacisnęła pochwę, co sprawiło jej ból, ale postanowiła całkowicie poddać się Olce. Uniosła do góry biodra. Olko chwycił ją za pośladki i wszedł w nią równie nieoczekiwanie i brutalnie, jakby jego członek był przedłużeniem palców. Ten akt pozbawiony czułości, nastawiony na ból i zranienie pozwolił jej swobodnie myśleć. Śliwińska nie zauważyła momentu, kiedy sama stała się wilgotna i otworzyła całkowicie na kolejne, mocne pchnięcia. Olko ściągnął jej także gumkę z włosów. Jej twarz tonęła pod włosami, które wdzierały się do półotwartych ust. Dopiero po jakimś czasie doszedł do niej jej własny, chrapliwy i rytmiczny skowyt, który wydawała z siebie przy każdym pchnięciu. Po kilkunastu minutach Olko gwałtownie odwrócił ją na plecy i wtedy poczuła, jak lepka, ciepła, pachnąca deszczem i kasztanami sperma pada dużymi, ciężkimi kroplami na jej twarz. Nie spojrzała na Olkę. Myślała tylko o tym, czy podczas stosunku spod jej kamizelki nie wystawała ślubna sukienka Widmańskiej.

– Chciałam ci coś pokazać. Coś ważnego – powiedziała po chwili.

Leśniczy wstał i zapiął spodnie.

– Czekam na dole – rzucił sucho i szybko zszedł po schodach.

ROZDZIAŁ IX

Czerwony las

I

Śliwińska postawiła przed leśniczym pudełko z laki i podniosła wieczko. Olko spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– To pamiętnik Konik – odpowiedziała niepytana.

– Czy nie łamiemy właśnie jakiejś procedury?

Trudno powiedzieć, czy Olko pytał z zaskoczenia, czy raczej podkreślał ich spiskową wspólnotę.

– Złamaliśmy już wszystkie możliwe procedury, jakie były do złamania... – Śliwińska spojrzała na Olkę.

Patrzyli sobie w oczy o sekundę za długo i dopiero teraz Olko w pełni uzmysłowił sobie, że to igranie z karierą, że Marta wiele ryzykuje, będąc z nim w tych okolicznościach. Uznał, że jej postępowanie jest całkowicie zgodne z dziecięcą logiką zagładania do skrzyni ze skarbem i zupełnie niezgodne z procedurą policyjną. Spojrzał na policjantkę, wyciągając rękę po zeszyt, i dostrzegł, że Marta ma w sobie dużo dziewczęcości i że chyba to właśnie mu się tak podobało. Zauważył, że przygryza lekko dolną wargę – jedyny znak, że była podekscytowana i zniecierpliwiona.

Wziął zeszyt i zanim go otworzył opadł na krzesło.

– Mogę usiąść? – zapytał, jakby pozycja ciała miała w tym momencie znaczenie.

– Przecież jesteś u siebie. – Śliwińska uśmiechnęła się do niego i sama też usiadła przy stole.

Olko poczuł niepokój, który towarzyszy zazwyczaj osobom zmagającym się z materialnym aspektem lektury. Ten specyficzny rodzaj napięcia na chwilę przed otwarciem stronic. U każdego napięcie kumuluje się pod skórą. Gdyby Olko wiedział, że pomiędzy skórą a mięśniami znajduje się cienka błonka, czyli powięź, mógłby powiedzieć, że jest to

rodzaj niepokoju, który ogarnia człowieka, kiedy uzmysławia sobie, że w ogóle posiada coś takiego jak powieź. Jest to niepokój rozproszony w ciele, ukryty na tyle głęboko, by nie móc znaleźć jego prawdziwego źródła. Rozchylone, białe okładki mamy leśniczego kolorową wyklejką w pawie pióra. W końcu Olko ugiął się i otworzył notes.

Wtorek

A. znowu dziś mi się przyśnił. Sen był bardzo realistyczny i do teraz nie mogę się z niego pozbierać.

Już w trakcie jazdy pod górę nabieram pewności, że to miejsce jest gdzieś daleko, gdzieś poza granicami naszego kraju. Gdzie? Nie wiem, ale wszystko wokół mnie, kiedy się rozglądam, wygląda inaczej: kolor nieba, asfalt dróg, ludzie idący poboczem, samochody. Wiem, że jestem na terenie dużej winnicy. Rozpoznaję krzewy winorośli, które są małe i poskręcane. Porastają zbocza góry, na którą wjeżdżam z A. zdezelowanym, starym musztardowym jeepem. Samochód, w którym nie ma szyb, oprócz przedniej, jedzie z minimalną prędkością, mozolnie wspinając się pod górę. Patrząc na krawędzie zbocza i trochę się boję. Droga przed nami jest wąska, tłusta od gliny i wydaje mi się, że za chwilę możemy się z niej ześlizgnąć. Trzymam się kurczowo deski rozdzielczej. Moje czerwone i podrapane kolana uderzają o siebie, ale A. prowadzi pewnie. Nie patrzy na mnie. Jest skupiony na drodze. Zauważam, że na rękach, które trzyma na kierownicy, ma specjalne, skórzane rękawiczki samochodowe w kolorze czerwonego wina. Na szczycie zbocza, na samej górze, gdzie winorośl już nie sięga, znajduje się biała kaplica. Wsiadamy z samochodu. A. podchodzi do ciemnozielonych drzwi. Naciska klamkę, ale kaplica jest zamknięta. Zaczynam się rozglądać, tak jakbym spodziewała się, że za chwilę wyjdzie do nas ktoś, kto będzie miał przy sobie klucze. Ale nic takiego się nie wydarza. A. obchodzi mały budynek dookoła. Znika z pola mojego widzenia. Ja wciąż stoję przed wejściem. Nagle czuję, że zaraz będę musiała zrobić siku. Rozglądam się wokół. Z boku kaplicy, tuż nad krawędzią wzgórza zauważam jakieś gęste krzaki, w które będę mogła się schować. Chcę w nie wejść, ale kiedy do nich podchodzę, okazuje się, że zamiast liści z gałązek zwisają martwe wróble zawieszane łebkami w dół. Zaczynam się im przyglądać i zauważam, że nie wszystkie są do końca

martwe. Niektóre wyglądają, jakby drzemały, niektórym z nich drgają jeszcze skrzydełka, jakby ostatnim wysiłkiem wytrzepywały spod piór pył, który unosi się po przejechaniu naszego samochodu. Wróble przypominają mi jesienne, zwinięte, wysuszone liście, które długo utrzymują się na огоłoconych krzewach. Przecież jest lato – myślę i cofam się na ten widok ze wstrętem. Wtedy czuję na swoim nieosłoniętym, rozgrzanym od letniego słońca karku, dotyk ciepłej i suchej dłoni A.

Po wewnętrznej stronie ud zaczyna mi spływać ciepły mocz, tak jakbym nie miała na sobie majtek. W tym momencie się budzę. Faktycznie chce mi się siku. Przez chwilę, tuż po przebudzeniu, czuję jeszcze ciepło i żar tego nieznanego miejsca, w którym unosi się zapach drzew oliwnych rosnących pomiędzy krzewami winorośli. Czuję ten zapach wyraźnie i intensywnie w nozdrzach, chociaż nigdy nie widziałam drzew oliwnych na własne oczy.

Chyba zrobiła mi się dziura w zębie.

Olko przeciągnął ręką po brodzie. Zrobił to odruchowo, jak zawsze, kiedy zanurzał się w nowo rozpoczętą lekturę. Czy pamiętał jeszcze swoje sny, kiedy sam miał dwadzieścia lat? Jego myśli zaczęły krążyć swobodnie, kołować nad głową jak rodzina bocianów, która trafiła na komin powietrzny. Nie potrafił sobie nic przypomnieć, chociaż sen dziewczyny wydał mu się dziwnie znajomy. Było w nim jakieś osobliwe powinowactwo...

Spojrzał znad kartki na Śliwińską. Policjantka wyjęła z torebki aparat, a potem wyszła na zewnątrz. Zostawiła go samego. Nie wiedzieć czemu Olko poczuł się w tej chwili jak barbarzyńca, który nie nauczył się jeszcze panować nad emocjami i czuł, że jego twarz staje się dziwnie plastyczna i podatna na nagłe grymasy zmiennych nastrojów.

Czwartek

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam A. pomyślałam, że musi być gejem, takim starzejącym się pedałem, któremu cała radość z życia została w skarpetkach. Tamtego dnia był ubrany na czarno – czarne dżinsy, czarny golf, czarna marynarka – i do tego kolorowe skarpety. Na dodatek różowe. Więc co mogłam pomyśleć?

W ogóle ubierał się na czarno i właśnie dlatego na początku pomyślałam, że musi być nie tylko gejem, ale i profesorem. I na pewno z ASP. Siedziałam wtedy za wielkim, masywnym biurkiem ustawionym pośrodku czytelni w bibliotece uniwersyteckiej, zza którego obserwowałam wchodzących i wychodzących z czytelni. Nasze spojrzenia spotkały się, kiedy A. kładł na blacie stołu stos albumów z malarstwem.

To, co mnie wtedy zdziwiło, to kolor jego oczu: intensywnie niebieski, ale jakby zaciągnięty białą farbą albo pszenną mąką – dziwnie rozbielony.

Zapytałam moją koleżankę, z którą zazwyczaj mam zmianę, czy go kojarzy, ale wzruszyła tylko ramionami – nie, nie kojarzy go. Jak można nie kojarzyć tak charakterystycznej postaci na tle spanikowanych studentów, którzy przebiegają chyłkiem pomiędzy zaułkami półek, w popłochu, jak biblioteczne szczury, bo boją się, że spadnie na nich zbyt ciężki wolumen.

Ja zauważyłam go od razu. Na początku A. uśmiechał się do mnie z daleka. Zazwyczaj nie odwzajemniałam tego uśmiechu. Ludzie nie są dla siebie mili. Nie w Łodzi. W moim rodzinnym mieście ludzie się do siebie nie uśmiechają. Kiedy wracam z pracy w bibliotece, mijam twarze tak ponure jak łuszczące się fasady kamienic – poszarzałe, liszajowate i brudne.

Za każdym razem, kiedy moje spojrzenie wyłowi jednak jakąś przypadkową twarz i ktoś idący z naprzeciwka odwzajemni spojrzenie, widzę same niedobre rzeczy. Dojmujący smutek, rezygnację, zmarszczki głęboko osadzone w twarzy, które przypominają wąwozy mozolnie wyżłobione przez troski, przygaszone, zmatowiałe źrenice, spękane usta, których już dawno nikt nie całował, potargane, przetłuszczające się włosy.

Twarz A. jest zupełnie inna – jest miła i przyjazna. W końcu nauczyłam się odwzajemniać jego uśmiech, kiedy z daleka wita mnie w każdy wtorek w bibliotece uniwersyteckiej. Odpowiadanie na jego uśmiech zajęło mi półtora miesiąca. Musiałam się upewnić, czy naprawdę jest przeznaczony dla mnie.

To A. poradził mi, żebym zapisywała swoje sny, bo twierdzi, że to dobre ćwiczenie, które pozwoli mi więcej pisać. Też tak sędzę – muszę pisać każdego dnia, zapisywać rzeczy na pozór nieistotne, błahe, bo z czasem mogą się ułożyć w większą całość. Nie mam żadnego sprecyzowanego planu. Szukam słów, szukam połączeń pomiędzy nimi. Może powinnam robić sobie od czasu do czasu jakieś ćwiczenia? Podsluchiwać ludzi, wylapywać dialogi w tramwajach albo na ulicy, notować wyrazy, którymi posługują się moi rówieśnicy? A może czas

zacząć czytać słowniki? A. twierdzi, że czytanie słowników ma największy sens. Twierdzi też, że sam tego nie wymyślił, że doradzał to wszystkim potencjalnym adeptom literatury Josif Brodski. Ale kto dziś czyta Brodskiego?

Zapisywanie jako ćwiczenie.

Wzięłam dziś z biblioteki stary słownik. Niechciane książki, wycofane z biblioteki, leżą przy wyjściu i czekają na nowych właścicieli. Jeśli przez dwa tygodnie nie znikną, trafiają na makulaturę. Słownika z lat trzydziestych nikt nie chciał. Więc wzięłam. *31.000 wyrazów, wyrażen i przysłów cudzoziemskich.*

Chciałam sprawdzić słowo „oniryzm”. Ale w sąsiedztwie znalazło się o wiele więcej ciekawszych słów.

„Olbrot – masa mleczno-biała, tłusta, krystalicznie przeświecająca, która znajduje się w głowie kaszalota i innych wielorybowatych, używana do wyrobu drogich świec i kosmetyków”.

Jak pachniały świece wytopione z olbrotu? Jak musiało wyglądać otwieranie głowy kaszalota, żeby olbrot wyjąć? Jak ludzkość wpadła na pomysł, żeby zawartość zwierzęcych głów przerabiać na świece? Kiedy zaczęłam o tym myśleć, zrobiło mi się niedobrze. Ale zaraz, na następnej stronie, znalazłam słowo „onirokryzja”, czyli sztuka tłumaczenia snów. Uśmiechnęłam się do siebie – czytanie słowników faktycznie ma sens. I zanim trafiłam na maksimum *Omnis homo mendax*, wiedziałam, że słownikowa zabawa będzie od dzisiaj moją ulubioną. Pomiedzy stroną 256 a 257 znalazłam starą etykietkę po wedlowskim cukierku z napisem „Sorento”. Czy należała do dawnego właściciela słownika? Na trzeciej stronie okładki widniał podpis atramentem. Próbowałam odczytać litery, ale nie było to takie proste. Imię i nazwisko układało się w coraz to nowe znaczenia: najpierw odczytałam imię Władysław, ale duża litera W dziwnie nakładała się na duże M i równie dobrze mogła to być Maryla. Kłacka, Kłacki, Słacka, Słech? Litery były wyraźne, zamasyte, widać że prowadzone pewną ręką wyćwiczoną do podpisywania książek, ale kształty liter były inne niż dziś. Inne niż te, których uczyliśmy się w szkole. A może po prostu zapomniałam, jak się je dokładnie zapisuje? Chyba podobnie jest

ze snami. Czasami w snach sytuacje i zdarzenia są tak dziwne i nieokreślone, że trzeba naprawdę się napracować, żeby jakoś precyzyjnie je zanotować. Opracowałam już całą technikę wstawiania, żeby się zdyscyplinować z moimi zapiskami. Jeśli coś mi się śniło, a po przebudzeniu pamiętam tylko mgliste detale albo niewyraźne zdarzenia, nie wstaję od razu z łóżka – czekam kwadrans, czasami pół godziny, aż sen wróci. Jeśli nie wraca, w końcu wstaję, ale do wyjścia z domu intensywnie myślę o tym, co mi się właściwie przyśniło. Jeśli cokolwiek sobie w końcu przypomnę, robię notatkę w drugiej części dnia, kiedy mam więcej czasu.

To A. podarował mi ten zeszyt, w którym teraz piszę. Ma gładkie kartki i cienki, delikatny papier, ale na tyle mocny, że długopis nie przebija na drugą stronę. Powiedział, że zamówił go specjalnie dla mnie u zaprzyjaźnionego introligatora. Na ozdobnej wyklejce jest wzór w pawie oczka, które układają się w moje inicjały. Zawsze, kiedy wychodzę z domu ukrywam ten zeszyt przed moją matką. Ona czasami przypomina mi ślepego kreta – nawet jeśli nie zrozumiałaby nic z tego, o czym tutaj piszę, jej ślepe oczy wchłonęłyby natychmiast całą treść. Nie zostałyby z moich notatek ani jedna żywa literka.

II

Olko nigdy nie prowadził żadnych zapisków, rzadko robił notatki. Nie pamiętał, kiedy zamknął jakiegokolwiek swoje słowa w dowolnej formie. Nie był człowiekiem mówionego słowa. Umiał szybko czytać i był człowiekiem lektury, ale nie tej intymnej i osobistej. Nie czytał listów wydanych po śmierci, nie przepadał za dziennikami, pamiętnikami i wspomnieniami. Lubiał formy czyste, ustalone i zmyślane. Dlatego ta lektura uwierała go jak kamyk w bucie. Czuł się do niej niepowołany i nieprzygotowany. Jego uwagę zwróciło drobne, uporządkowane pismo dziewczyny. Było przejrzyste i staranne, jakby osoba, która się nim posługiwała, od dawna wprawiała rękę. Olko wziął kartkę zeszytu pomiędzy palce, mimo że kartki były cienkie i delikatne, litery nie prześwitywały przez papier. Nie były zapisywane z mazołem właściwym neofitom. Leśniczy pomyślał, że dziewczyna musiała być niezwykle sumienna i staranna. Jej charakter pisma był łatwy do odczytania, przejrzysty i równy. Nie nazwałby tego pisma pięknym, ale nie nazwałby go również przeciętnym. Nie chciał też

porównywać go do swojego, które było pochyłe i poszarpane, jak każde poskręcane drzewo wijące się, by złapać nieco więcej słońca.

Wtorek

Dostałam od A. bardzo ładną pocztówkę. A. często wyjeżdża i zawsze przywozi mi z wyjazdów kolorowe pocztówki, najczęściej reprodukcje obrazów, które ogląda w muzeach. Uważam, że to miłe. Przykleiłam sobie tę pocztówkę w moim pokoju na ścianie. Lubię na nią patrzeć. Przedstawia czerwony las, a raczej las rosnący na czerwonej ziemi. Nigdy nie widziałam takiego odcienia czerwieni – jest intensywny jak krew tętnicza. Za to pnie bliżej nieokreślonych drzew są zupełnie czarne, jakby malarz zabezpieczył je smołą. Wśród nich wije się też czarna, maźnięta od niechcenia ścieżka, która zwęża się i zakręca, po to by zniknąć. Prowadzi gdzieś dalej, dalej w las, ale nie wiadomo dokąd. Promienie słońca przeświełają drzewa i sypią się na korony jakimś dziwnym świetlistym sznurem, tak jakby miały materialną postać. Na odwrocie jest podpis: Georges Lacombe. Oczywiście nie znałam wcześniej tego malarza.

A. obiecał mi, że pokaże jego album. Nie mogę się doczekać, kiedy w końcu zaprosi mnie do domu.

Dziś znowu awantura z matką. Moja matka po śmierci ojca kompletnie zdziwaczała. Najpierw zauważyłam, że coś do siebie szepcze podczas pobytów w łazience. Coś wiecznie tam mamrocze. Puszczą wodę i mamrocze. Próbowałam raz czy dwa ją podsłuchać, ale woda zagłuszała słowa. Z melodii języka zdażyłam się zorientować, że to rodzaj rozmowy. Z Nim. Z moim ojcem. Bo z kim innym? Nie wiem, czy dialoguje przed lustrem – tak to sobie wyobrażam. Staje przed lustrem i zaczyna poranną rozmowę. Bo jest jeszcze na pewno rozmowa południowa i wieczorna. Wtedy mnie zazwyczaj nie ma, bo nie mogę znieść tego narastającego szmeru, który wydobywa się zza drzwi. Wylatują zniekształcone zlepy: Staaasssszzeeeeekk, Stasieeeeeeeńńkusiumój, Staaaachuuuuu – coś pomiędzy wzywaniem, wywoływaniem a wzdychaniem. Odróżniam tylko imię ojca, bo matka jakoś dziwnie je zmiękcza, mówi takim rozczulającym szeptem, jakby rzeczywiście widziała go po drugiej stronie lustra. Nie wiem, co ona tam wtedy robi. Nie zdziwiłabym się, gdyby robiła sobie dobrze flakonem po wodzie kolońskiej Consul, który od śmierci ojca

trzyma w szafce. To jedyna rzecz, której nie wyrzuciła. Może dlatego, że Stach tuż przed śmiercią zakupił nową butelkę? Przez długich dziewięć lat wcale wiele z niej nie wyparowało. Jedynie zielona zakrętka nieco zmatowiała.

Zastanawiam się, co się wydarzyło takiego po śmierci mojego ojca, co wywołało ten przester w mojej matce? Może czegoś nie zauważyłam? Może na pogrzebie, syjąc piach na wieko trumny, doszło do niej jednak, że robili sobie ze Stachem niezłe piekło na ziemi? Ona by chciała chociaż jeden dzień w niebie, a przez całe życie musiała w tym piekle. Z tym samym Stachem. Trafił się jej kiedyś, pewnie przez przypadek i tak już został. Pewnego razu Stachowi się ułało i opowiedział mi tę rzewną balladę o ich miłości. Poszedł z kolegami do Kaskady napić się wódki, a właściwie to puścić forszę po wypłacie. Tłumaczył mi kiedyś, że pieniądze w tamtych czasach i w takiej ilości zdarzały się przecież tylko raz w miesiącu i tylko raz w miesiącu można było podejść do baru z portfelem wypchanym banknotami. Oczywiście od losów nocy zależał też stan portfela – ojciec opowiadał o całym systemie stawiania kolejek. Najlepiej było się skrzyknąć w kilka wypłat – wtedy toasty jakoś się rozkładały. Działo prawo ekonomii stada – w stadzie było taniej. Stadami przychodziły też kobiety, które obsiadywały stoliki, zamawiały kolorowe lemoniady w szklankach i czekały, aż ktoś postawi im wódkę. Czekały cierpliwie u wodopoju, pewne swego, dziwnie spokojne, aż samce również tam podejda, zauważą i napoją.

Stachu napoił moją matkę ponoć skutecznie. Wyszli wtedy razem, a raczej musieli wytoczyć się z Kaskady. Tak to sobie wyobrażam. Wytoczyli się, zatoczyli, może nawet upadli na siebie. Ktoś kogoś musiał podtrzymać, ktoś złapać, ktoś parsknąć śmiechem, ktoś złamać obcas, ktoś zdjąć marynarkę, żeby okryć, ktoś wesprzeć się na ramieniu, ktoś osunąć, ktoś przetoczyć się na postój, ktoś szarpnąć za klamkę, ktoś otworzyć drzwi, ktoś rzucić na łóżko, ktoś zasnąć z ręką w majtkach, ktoś chrapać, ktoś kasłać, spluwać, drapać, wiercić się, kitłasić, marznąć, przewalać, mówić przez sen. Matka to potem nazywała miłością od pierwszego wejrzenia. Ja to zawsze nazywałam miłością od pierwszego zalania.

Wkurza mnie, bo zawsze się przez nią spóźniam. Dziś też zamknęła się w łazience. Siedziała tam od szóstej rano. Jestem pewna, że robi to złośliwie. Chce żebym się spóźniła, żebym musiała biec na tramwaj, żebym nie zdążyła, żeby mogła coś powiedzieć o mojej niepunktualności, a co za

tym idzie nieodpowiedzialności. Zrobić jakieś odniesienie do tego, że zostają za długo u Maćka, że znowu nie zdążę pościelić łóżka, że ośmielałam się mieć własne życie, a na koniec skomentować moją fryzurę („Wyglądasz jak chochoł”, „Masz chochoła na głowie”, „Masz w głowie chochoła” – w zależności od tego, co akurat chce kwestionować – mój wygląd, czy mój umysł). Zanim zamknie za mną drzwi, wykrzywia usta. Od śmierci ojca to jest mina numer jeden: skrzywienie, które przybiera formę utrwalonego wyrazu twarzy, jakby musiała wziąć na siebie cierpienie całego świata. „Ja cierpię” – mówi jej mina każdego dnia. „Tylko spójrzcie, jak ja cierpię!”, „Ja nie mogę pozwolić sobie na radość, bo ja cierpię!”. Oczywiście innym przydarzają się rzeczy o wiele gorsze, ale to ona cierpi najbardziej. Wklepuje sobie to cierpienie w twarz, niczym odżywczą pokrywę błota wydobytą z Morza Martwego. Dzień po dniu. Poprzednich warstw nie zmywa i tak chodzi. Cierpienie odpada z niej płatami, pokruszonymi kawałkami, ale ona dalej babrze się w tym błocie. Po tylu latach nie można powiedzieć, że moja matka ma jeszcze twarz. Jej twarz to maska – jedna wielka błotna fantazja, żeby jak najlepiej odcisnąć cierpienie. Ona bardzo chce, żeby to cierpienie przeszło i na mnie. Może codziennie rano rozrabia dla mnie w łazience to błoto w żółtej plastikowej misce, w której kiedyś moczyła skarpety Stacha? Może te wszystkie szeptki towarzyszą właśnie tej czynności? „Zobacz, jak ja o ciebie dbam, docień to! Przygotowałam dla ciebie specjalną maseczkę. Dzięki niej będziesz cierpieć tak samo jak ja”.

Przez jej cierpienie spóźniłam się do biblioteki. Właściwie to jestem na czas, bo pomiędzy 7.50 a 8.00 potrafię zostawić kurtkę w pokoju socjalnym, ale Marianna, moja szefowa, zawsze kwituje to niezadowolonym spojrzeniem. Z chęcią opowiedziałabym jej o tym, jak moja matka nauczyła się wyrabiać cierpiętnicze maseczki na jesień, ale powstrzymuję się. Nie muszę też pić ohydnej kawy rozpuszczalnej, od której pracownice biblioteki zaczynają dzień i po której można mieć już tylko sraczkę.

Wtorek

A. zaznacza dla mnie różne rzeczy, żebym na koniec dnia pracy, kiedy zgarniam książki z czerwonych wózków, do których odkładają je czytelnicy, miała jakąś niespodziankę. Nazywa to „wtorkową porcją

rozrywki”. Potem, kiedy przez chwilę rozmawiamy na bibliotecznym korytarzu, pyta mnie, czy niespodzianka mnie zaskoczyła. Zwykle odpowiadam, że tak. A. uśmiecha się wtedy do mnie tym swoim ciepłym uśmiechem i mówi: „Wiedziałem”.

Mały, oddarty fragment białej kartki tkwił dziś w książce *Geschichte der Deutschen Malerei* Otto Fischera pomiędzy stroną 432 i 433.

Obraz Franza Defreggera, oczywiście nieznanego mi malarza niemieckiego, przedstawia portret „Malersa Gysisa”. Mężczyzna na obrazie patrzy łagodnym, ciepłym wzrokiem spod kapelusza, w jego oczach tli się jakiś ulotny cień uśmiechu, chociaż usta ma ściągnięte. Jest młody i bardzo przystojny. W lewej ręce trzyma świeżo zapalonego papierosa. Przy reprodukcji podany jest rok powstania portretu: 1876. Nie wiem tylko, jakiego koloru są oczy i broda owego „Malersa” – zakładam, że oczy są piwne, a włosy lekko kasztanowe. Niestety reprodukcja jest czarnobiała. Mężczyzna z obrazu przypomina Maćka – właściwie mogę powiedzieć, że jest do niego łudzaco podobny, gdyby nie ten kolor oczu i włosów właśnie.

Na początku nie mogłam uwierzyć, że ten rodzaj podobieństwa w ogóle jest możliwy. A może taka powtarzalność rysów i twarzy zdarza się częściej niż zakładamy? Może to wielkie złudzenie, że każdy z nas jest inny? Wyjątkowy? Jedyny w swoim rodzaju? Skoro ten z roku 1876 wygląda tak samo jak mój chłopak z roku 2000? To podobieństwo jest przecież zupełnie przypadkowe, a jednak jest tak uderzające, że trudno mi opanować dziwne emocje, jakie wywołuje we mnie patrzenie na tę reprodukcję. Jakiś głos szepcze mi złowieszczo do ucha: Maciek już był – gdzieś, kiedyś już się narodził, dojrzał, dorósł, a potem umarł. On już był. Tylko jego twarz była ci dotąd nieznaną, dziewczyną. Twarz poprzednika. A przecież są i następcy. Niekoniecznie zrodzeni z tej samej krwi, w tej samej rodzinie, w tej samej wspólnotce, w tej samej epoce. To tylko jeden, długi, nieprzerwany łańcuch tych samych twarzy, które powtarzają się z zaskakującą regularnością. Pewnego dnia ktoś wreszcie odkryje i opracuje odpowiedni algorytm do rozpoznawania twarzy, które już były. I wtedy okaże się, że nasze rysy nie mieszczą się w obrębie jednego, skończonego kręgu rodzinnego, że wracają z zaprogramowaną powtarzalnością, epoka po epoce, z regularnością, której przez fakt naszego krótkiego życia, nie jesteśmy w stanie wychwycić.

A. obiecał mi, że odnajdzie także moją twarz. Czekam na moment, kiedy odkryje dla mnie pierwszą mnie. Kto to będzie? Kto będzie na portrecie? Kto będzie autorem obrazu? Czy zniosę to podobieństwo? Z jakiej epoki będzie portret? Czy będę mogła kiedykolwiek zobaczyć obraz na własne oczy? A. poprosił, żebym mu dała jakieś różne swoje zdjęcia. Przecież nie wiadomo, w jakim wieku będę mogła być? A jeśli odnajdzie mnie jako kobietę starszą niż ta, którą jestem teraz?

Środa

A. zapytał mnie, jaka była moja ulubiona zabawa w dzieciństwie. Nie umiałam mu odpowiedzieć tak po prostu. Z marszu.

Dopiero teraz, leżąc na wznak w swoim pokoju, w którym prawie nic nie ma oprócz łóżka, komody i białych ścian, przypominałam sobie, co to było.

Moja babcia, matka mojego ojca, która umarła jeszcze wcześniej niż mój dziadek, kiedy miałam osiem lat, mieszkała w mieszkaniu po Niemcach. Niemców oczywiście nikt nigdy nie widział, bo uciekli w czterdziestym piątym, porzucając część dobytku; głównie książki, obrazy i ciężkie meble.

Mieszkanie po Niemcach dziadek dostał z przydziału. Pewnego dnia po prostu wszedł do tego gotowego, ponemieckiego wnętrza z całą swoją rodziną i tak już został. Może musiał mieć na to specjalne dokumenty, nie jestem pewna, ale zawsze tak to sobie wyobrażałam: ktoś wskazuje miejsce, a ty je zasiedlasz, skoro dotychczasowi lokatorzy zniknęli i wiadomo, że nie wrócą. Niemcy uciekali w popłochu, zostało po nich dużo przedmiotów, ale nie na tyle dużo, żeby wypełniały całe mieszkanie. Z czasem dziadkowie zamówili swoje meble, powiesili własne zasłony, założyli telefon, otapicerowali ponemiecki tapczan, a na ścianach powiesili nastrojowe reprodukcje Chełmońskiego. Kiedy przyszłam na świat, to co polskie i to co niemieckie kompletnie się w tym wnętrzu przemieszało. Nie wiem do dziś, czy po Niemcach był wyliniały, poprzecierany turecki dywan, który trwał pod masywnym stołem przez kolejne dziesięciolecia, czy może drewniany trójnożny kwietnik ustawiony w rogu salonu. Stała na nim ulubiona palmarkarłatka mojej babki. Dziadkowie milczeli na temat Niemców. To nie był temat do rozmów, bo oni też jakoś się w Łodzi znaleźli, skądś przyszli. Nie

zastanawiali się nad imionami i losami tych, którzy mieszkali tu bezpośrednio przed nimi. Może mieszkała tu jakaś Lotte albo Inge, albo Franz, albo frau Krause, która przyjechała tu z dziećmi pod sam koniec wojny? Po „naszych” Niemcach pozostały jedynie dwa niezaprzeczalne ślady: książki i wieszak.

Pamiętam, że trzeba było podejść bardzo blisko do bibliotecznej szafki, żeby zorientować się, że grzbiety tłoczone są złotą szwabachą, która i tak była nie do odczytania. Mimo to uwielbiałam oglądać te książki. Najbardziej podobały mi się kolorowe atlasy geograficzne i albumy z reprodukcjami malarstwa. Na osobnej kartce była wklejona kolorowa reprodukcja, a przed nią bibuła, która zmysłowo szeleściła. Do dziś pamiętam intensywność kolorów map i reprodukcji. Były doskonałe: wyraziste i wyostrzone, tak dobrze oddające kolory, że wydawały mi się zbyt jaskrawe. Potem już żadne pasmo górskie widziane przeze mnie na własne oczy nie miało tak intensywnego odcienia zieleni, jak te góry z atlasu.

Drugim przedmiotem był wieszak. Ale nie taki zwykły, banalny wieszak w postaci deski i przymocowanych uchwyty. To był piękny mebel, który zajmował prawie całą ścianę przedpokoju. Przypominał bramę do innego świata – pomiędzy belki w kształcie małych kolumnienek włożony był długi, toczony kij. Na nim wieszano się wszystkie kurtki i płaszcze. Pośrodku wieszaka w łukowatej oprawie połyskiwało lustro, pod którym była płaska szufladka na szczotki. Nie pamiętam dokładnie koloru wieszaka – może był szmaragdowy, a może w odcieniu kości słoniowej? Przypominał bardziej portyk jakiejś gotyckiej budowli. Do tego stopnia, że jako dziecko chciałam regularnie przechodzić do innego świata przez to lustro. Nie rozumiałam, że wieszak jest przymocowany do ściany i nie jest żadną bramą ani przejściem. Żeby mnie do tego przekonać, ojciec musiał zrobić pewnego dnia, specjalnie dla mnie, test deziluzji. Najpierw stanęliśmy oboje na wprost lustra. Ojciec odsłonił kurtynę kurtek i płaszczy i ukazało się lustro. Dotknęłam je i nic się nie stało, mimo że przywarłam do tafli całym ciałem. Potem ojciec wziął mnie za rękę i stanęliśmy z boku wieszaka. Z boku widać było szparę pomiędzy wieszakiem a ścianą. Nie była zbyt wielka, ale na tyle duża, że mogłam włożyć w nią moje dziecięce palce. „Widzisz, tu nic nie ma”, powiedział ojciec. Faktycznie w szparze nic nie było, ale poczułam, że w tej pustce pomiędzy ciepłym, pomalowanym drewnem, a zimną, ceglana ścianą znajduje się granica mojego świata.

Granica okazała się utknięciem – czymś, w co można włożyć palce, ale nie można ich stamtąd wyjąć. Czułam opuszkami chłód ściany i jej chropowatą powierzchnię. Chyba z przejęcia włożyłam palce zbyt głęboko i boleśnie utkwiły w szparze. Próbowałam wyszarpać rękę, ale było tylko gorzej. Plecy wieszaka, które niedokładnie przylegały do ściany, nie tylko nie były pomalowane, były też niestarannie wyszlifowane. Moja uwięziona dłoń, którą starałam się obrócić w szparze, nerwowa, przestraszona i spanikowana, pokryła się kilkoma drzazgami. Pamiętam, że zaczęłam płakać, a ojciec się przestraszył. Nie mógł mnie uspokoić i wreszcie pobiegł po babcię i ona mnie uwolniła. Łzy jak grochy spływały mi po twarzy, zanosilałam się szlochem, patrząc na zatopione pod skórą drzazgi, które zdążyły podbiec krwią. Ale przyczyna moich łez była zupełnie inna. Tamtego dnia uświadomiłam sobie, że wszystko ma z góry wyznaczone granice, że każdy świat się kończy, i że właśnie przestałam być dzieckiem. Miałam sześć lat i było mi bardzo przykro z tego powodu. Może dlatego nigdy nie podobała mi się Alicja w Krainie Czarów. Po drugiej stronie lustra? Przecież wystarczy włożyć dłoń w szparę, żeby zdać sobie sprawę z tych wszystkich bzdur, które zasiedlały karty powieści. Czy Alicja naprawdę musiała udawać, że nigdy nie zdecydowała się stanąć z boku, tak jak ja, kiedy patrzyłam w szparę? Nie mogłam znieść, że ona jeszcze w coś wierzy, i z taką wiarą i entuzjazmem opisuje swoje przygody, podczas gdy ja nie byłam w stanie przyjąć, że może istnieć na świecie jakakolwiek metafizyka. Utrata wiary dopadła mnie przy poniemieckim wieszaku i już nic potem nie było w stanie mi tej wiary przywrócić. Poza jednym – ciepłym spojrzeniem A.

Kiedy po raz pierwszy stanęliśmy naprzeciw siebie i A. spojrzał mi w oczy, poczułam, że nie istnieje żadna szpara, żadna szczelina, w którą którekolwiek z nas będzie w stanie włożyć rękę.

Olko chrząknął i na chwilę oderwał wzrok od zeszytu. Wciąż nie mógł połączyć tego, co właśnie czytał, z ciałem martwej dziewczyny. Te dwa porządki były w jakiś sposób do siebie nieprzystające. Pewnie gdyby były to zapiski dziewczyny wciąż żyjącej, może wydawałyby mu się błahe, niezbyt istotne, nawet banalne. Ale przez fakt, że należały do dziewczyny martwej, było w nich coś fascynującego. Leśniczy czuł się teraz tak, jakby to nagie, zawieszane tuż nad ziemią ciało przemawiało wprost do niego.

Nie mógł przecież wyświetlić we wspomnieniu innego obrazu niż ten, który wtedy zobaczył. A był to obraz ulotny, nie chciał się przecież wnikliwie przyglądać.

Słowa pamiętnika były niepokojąco beztroskie w stosunku do przywołanego pod powiekami obrazu. Nie pasowały. Nie pasowały ani do drobnych piersi, ani do małych brodawek, nie pasowały do nagości i nie pasowały do spokoju, w który obleczone były zwłoki. Olko wstał i z powrotem usiadł. W pierwszym odruchu pomyślał, że Marta powinna mu przeczytać ten pamiętnik na głos. Może wtedy to dziwne poczucie dysonansu by zniknęło? A może stałoby się zupełnie odwrotnie? Może gdyby to ona odczytała na głos ten dziewczęcy dziennik, już nigdy nie mógłby jej dotknąć?

III

Wtorek

To chyba jedno z najpiękniejszych mieszkań, jakie widziałam. Tak, wiem, że mało widziałam i może nie mam porównania, ale właśnie tak to czuję. Dziś A. powiedział, że poczeka na mnie, jak już skończę dyżur w bibliotece. Zapytał, czy może. Ucieszyłam się, ale nie dałam tego po sobie poznać. Powiedziałam, że w sumie mam trochę czasu. Chyba nawet wzruszyłam ramionami dla niepoznaki. We wtorki Maciek i tak ma zajęcia przez cały dzień.

Najpierw poszliśmy na kawę. A. się wcale nie spieszył, tak jakby chciał dać mi czas na decyzję: czy na pewno chcę do niego zajrzeć? Uznałam, że to taktowne. I fair. A potem poszliśmy do niego. Nigdy wcześniej nie byłam w takim mieszkaniu. Spodobało mi się już od progu. Nawet jak na starą kamienicę było bardzo wysokie: nie wiem, ile mogło mieć, ale kiedy zadzierałam głowę, kąty pomieszczeń rozmywały się, więc zakładam, że pewnie prawie pięć metrów.

A. zaprosił mnie do salonu. Na ścianie wisiał tylko jeden obraz, który od razu wydał mi się dziwnie znajomy. A. stanął za moimi plecami i zapytał, czy rozpoznaję ten widok. Dopiero po chwili uznałam, że to musi być Plac Wolności. „A dokładnie Plac Wolności w Łodzi o zmroku,

znanego artysty, który malował Łódź, Stefana Justa” – dopowiedział A. Oczywiście nie miałam pojęcia o istnieniu tego malarza.

Na pierwszym planie uwagę zwracało dziwnie rachityczne, ogołoczone z liści drzewko, niewiele większe od idących ulicą przechodniów. Wszystko na obrazie było rozmyte i nieostre, zanurzone w siennej poświacie zmroku. Przechodnie z obrazu wyglądali trochę jak wampiryczne istoty, które wyszły na plac, gdy w końcu zaszło słońce, i z ulgą mogą się trochę poprzehadzać. Na obrazie nie było widać księżyca, ale jego poświata spływała na ratuszową wieżę. Było w tym widoku coś smutnego, coś bardzo nostalgicznego, co nie pozwalało mi oderwać od niego wzroku. Może te przygaszone odcienie czerwieni? Może zagubieni przechodnie, może fakt, że przy placu parkował tylko jeden samochód? Światło latarni oświetlało jedynie niewielkie fragmenty budynków: wejście do kościoła i wejście do ratusza. Mimo że z okolicznych domów buchało sztuczne światło, podobnie jak w tramwaju, który skręcał w Piotrkowską, to nie rozświetlało, nie przynosiło ulgi. Podałam się temu nastrojowi. Nie chcę powiedzieć, że ten obraz jakoś mnie poruszył, ale nie widziałam nigdy prawdziwego obrazu w niczym domu. Może dlatego stałam i gapiłam się na niego zbyt długo?

A. stał za mną, kiedy ja patrzyłam na obraz. Czułam, że jest krok za mną, ale krępowałam się odwrócić. Może A. to wyczuł? „Zobacz, to moglibyśmy być my, kiedy mijamy to rachityczne drzewko”, powiedział. Chyba zaśmiałam się z tego żartu. W sumie tak, to moglibyśmy być my, idący gdzieś w rozpoczynającą się noc, przed siebie, zostawiając resztę przechodniów w tyle. Wtedy A. delikatnie mnie objął i odwrócił w swoją stronę. Przez chwilę patrzył na mnie ze spokojem, a potem mnie pocałował. Trochę się tego spodziewałam, a trochę nie. A może właśnie na to czekałam? Może od początku, kiedy tylko zgodziłam się na odwiedziny w jego mieszkaniu, wiedziałam, że to nastąpi? Może sama o tym myślałam, ale bałam się go dotknąć?

Jego pocałunek był ciepły, była w nim tkliwość, która totalnie mnie zaskoczyła. Nie wiem, jak długo się całowaliśmy. A. przez cały czas był bardzo delikatny i ani razu nie wepchnął mi do ust języka, jak to miał w zwyczaju robić Maciek. To był bardzo długi, głęboki pocałunek. Tak jakbyśmy oboje nie mogli się nacieszyć faktem, że wreszcie możemy ze sobą porozmawiać, ale tym razem bez słów – używając jednak aparatu mowy. Kiedy skończyliśmy, za oknami panował już półmrok. A. wziął

mnie za rękę i oprowadził po wielkim salonie, którego rozmiary tonęły w szarościach. Nie zapalił światła. Półmrok w tym mieszkaniu miał również łagodny charakter – pasował do tego wnętrza. Było coś naturalnego w tym dogasającym wieczorze. Im bliżej podchodziliśmy, tym więcej szczegółów wyświeślało się przede mną. Właściwie ten wielki pokój był prawie pusty, jeśli nie liczyć obrazu i jednego rzędu regałów z książkami. Regały miały na pewno ponad trzy metry wysokości i sprawiały wrażenie kilku wież ustawionych jedna obok drugiej. Nie wiem, ile mogło być tam książek. Na pewno nigdy nie widziałam u nikogo tak dużej biblioteki. To, co było dziwne w tym wnętrzu, kiedy teraz o tym myślę, to fakt, że brakowało w tym salonie wszystkiego innego. Gdzieś z boku stały dwa krzesła, zwrócone do siebie siedziskami, tak jakby służyły do krzyżowego ognia pytań. Nie było tam ani stołu, ani żadnego innego mebla. Pokój był dziwnie opustoszały i jednocześnie dziwnie pełny. Kiedy zadzierałam głowę, szczyty regałów ginęły w mroku. W bibliotece było faktycznie bardzo dużo albumów, ale w pogłębiającym się półmroku niewiele już widziałam. Tak naprawdę to chciałam, żeby A. jeszcze raz mnie pocałował, czule złapał za kark, a potem położył na nieosłoniętej dywanem podłodze, ale nic takiego nie nastąpiło. Wydarzyło się za to coś zupełnie innego. Muszę tylko chwilę pomyśleć, jak to opisać. I czy w ogóle dam radę?

Czwartek

Dziś obudził mnie ten dziwny sen, który o wszystkim mi przypomniał.

Jesteśmy z A. na Placu Wolności. Zapada półmrok i nagle się orientuję, że mijam to samo drzewo, które tak dobrze znam – drzewo z obrazu Stefana Justa. Tylko u niego było to właściwie drzewko, a we śnie jest wielkie, wysokie, ma szeroką rozgałęzioną koronę, która oplata pobliską latarnię. Drzewo wygląda dziwnie – nie ma kory, tylko szaropopielatą okrywę, która łuszczy się długimi płatkami. Dotykam pnia drzewa i kojarzy mi się ze słoniem. Jest w tym dotyku coś tak miłego, coś tak przyjemnego, że muszę po prostu cała przytulić się do niego. Podchodzę, kładę na nim obie ręce i delikatnie przywieram do pnia. Jednocześnie czuję, że moje stopy zapadają się w ziemię. Patrzę w dół – mam na nogach ładne, czerwone aksamitne pantofelki na obcasie. Moja stopa wygląda w nich zgrabnie, nie wiem skąd we śnie znalazłam się w tych butach, bo na co

dzień chodzę albo w martensach albo w zwykłych trampkach, ale może właśnie dlatego poczułam się tak dziwnie lekko? Ziemia wokół drzewa jest czarnoszarą cienką warstwą, spod której wystają korzenie. Moje stopy zapadają się właśnie w niej. Po chwili odkrywam szczelinę pomiędzy korzeniami, jasny przesmyk, spod którego sączy się światło. Czuję, że zaraz wsunę się do środka. Wszystko to dzieje się jakby w zwolnionym tempie. Kiedy mam opaść pod powierzchnię, zauważam A., który wyciąga do mnie rękę. Wpadam w jego ramiona, a raczej wpływam w nie, jak się wpływa w spokojną zatokę. „Czekałem na ciebie”, mówi A. i obejmuje mnie mocno. Zaczynam się rozglądać. Okazuje się, że jesteśmy w podziemnej Łodzi. Taki rewers powierzchniowej rzeczywistości. Kiedy spoglądam w górę, widzę wszystko od dołu: korzenie drzew, rury, instalacje, chropowaty asfalt, kable. Słyszę też odgłosy miasta. Nad naszymi głowami przejeżdżają tramwaje, autobusy, samochody. Ludzi na podziemnych ulicach jest niewielu. Nie wiem też, dokąd właściwie idziemy. Orientuję się tylko, że idziemy w przeciwną stronę niż ta, w którą szłam na powierzchni. Ulice robią się coraz węższe i dziwnie kręte – jakby niewyprofilowane, niewytyczone. Wyglądają trochę jak wydeptane ścieżki w parku wiodące na skróty. Rozwidlają się z każdym krokiem, ale A. prowadzi mnie pewnie, jakby znał drogę. Idę za nim, ale czuję, że robi się bardzo wąsko – przez ostatnie kilka metrów A. musi iść przede mną. Trzymam go mocno za rękę. Jednocześnie ocieram się o ziemiste ściany podziemnej Łodzi. Musimy być głębiej niż na początku, głębiej niż sięga naziemna infrastruktura. Ścieżki przypominają teraz drażone w piasku i żwirze tunele. Nie wiem dlaczego, ale przez głowę przechodzi mi myśl, że musiały to zrobić gigantyczne dżdżownice. Przeciskam się z trudem, czuję opór stwardniałego piasku. A. mówi, że jesteśmy już niedaleko. Zanim zdążę wpaść w panikę, dochodzimy, schylając głowy, do ostatniego rozwidlenia. Z trudem wciskam się w przestrzeń przede mną, ale czuję ulgę, bo przed nami otwiera się nagle wielka, pusta przestrzeń.

Znajdujemy się w ogromnej jaskini. Piaskowe skały wydają się zastygłe i mocne. Oddycham z ulgą. Kiedy patrzę w górę, wydaje mi się, że sklepienie jaskini pokrywają setki stalaktytów, ale to nie stalaktyty, tylko korzenie drzew, które zwieszają się, swobodnie sięgając ziemi. A. mówi, że jesteśmy na miejscu. We śnie pada określenie, że znaleźliśmy się w Hali Łączeń. Hala o tej porze jest pusta. A. twierdzi, że specjalnie zabrał mnie przed czasem, żeby nie było tłoku. Nadal nie rozumiem, po co tu jesteśmy.

Zaczynamy się przechadzać po hali. W pewnym momencie A. podchodzi do jednego ze zwisających korzeni. „Lubisz platany, prawda?”, pyta i bierze mnie za rękę. Wtedy zauważam, że z naszymi żyłami dzieje się coś dziwnego – moje żyły i jego żyły zaczynają wychodzić poza rękę i splatają się ze sobą, łącząc nasze krwiobiegi. Odruchowo chcę się odsunąć, ale czuję, że żyły są bardzo mocne i wcale nie są elastyczne. Nie pozostaje mi nic innego, jak przywrzeć do ciała A. System żył jakby na to czekał – po chwili widzę, że krwiobiegi łączą się ze sobą na całej długości naszych przylegających do siebie ciał. Wydaje mi się to przedziwne, ale nie boję się. A. patrzy na mnie i zaczyna mnie całować. Nie wiem skąd, ale wiem, że tak już będzie zawsze. Czuję, jak stopniowo zastygamy. Ostatnim obrazem, jaki widzę, jest para w głębi sali, z którą dzieje się to samo. I uświadamiam sobie, że to nie korzenie drzew, tylko zastygłe pary splecione w uścisku.

Piątek

Wiem, że powinnam pisać regularnie, ale od kilku tygodni chyba nie jestem w stanie. Może to przez zimę, która tak wszystko ścięła, a może przez A.? A może przez jedno i drugie? Czuję się, jakbym przebywała od dłuższego czasu w jakimś zupełnie innym miejscu, w takiej wydrążonej, otulającej dziupli, przez którą mogę zawsze wyrzeć, ale wystarczy, że nieco się cofnę i już mnie nie widać. I może właśnie po raz pierwszy w życiu jest mi naprawdę dobrze?

Oczywiście nie mogę nic nikomu powiedzieć, bo co takiego z całej tej historii zrozumiałaby moja matka? Albo Maciek? Co do Maćka, nie mam poczucia, że robię coś złego. Myślałam, żeby się z nim rozstać, zaraz po tym, jak po raz pierwszy całowałam się z A., ale doszłam do wniosku, że to nie ma nic wspólnego z Maćkiem. Na nic konkretnego się z nim nie umawiałam. Sama nie wiem, czy jest bardziej moim kumplem od notatek, z którym od czasu do czasu sypiam, czy chłopakiem?

Ostatnio nie chciało mi się nawet iść do jego pokoju w akademiku. Zawsze musimy czekać, aż Łukasz wyjdzie albo nie wyjdzie, albo go nie będzie. Poza tym pokój Maćka w akademiku jest obskurny. Wąskie łóżko sklecone z płyty paździerzowej, regał i szafa z tego samego zestawu w kolorze jasnej sraczkii i do tego wspólne biurko. Za regałem zamontowano małą umywalkę, nad którą znajduje się pęknięte lustro. Pewnie te meble pamiętają jeszcze lata siedemdziesiąte. Są niemożliwie odrapane i oklejone

wszystkimi naklejkami świata. Ostatnio doszłam do wniosku, że jednak do miłości potrzebna jest jakaś minimalna doza komfortu. Gdyby chociaż sprząтали w pokoju, albo gdyby Maciek chociaż zmieniał po każdym razie pościel. Ale nic takiego się nie wydarza.

Nie możemy się kochać głośno, bo wszystko słychać na korytarzu, nie możemy kochać się przy zapalonym świetle, bo w oknach sąsiednich akademików tylko na to czekają (oczywiście po zasłonach ani żaluzjach nie został żaden ślad). Mówiłam Maćkowi o tym już kilka razy, ale jemu jest chyba wszystko jedno. Może wychodzi z założenia, że nie warto się wysilać na te przysłowiowe piętnaście minut?

Nie wyobrażam sobie, żebym zaprosiła Maćka do siebie. Oczywiście czasami do mnie wpada, ale zaraz potem najczęściej wychodzimy. Jestem przekonana, że moja matka, kiedy tylko zamykamy się w moim pokoju albo puszcza muzykę, zaczyna nasłuchiwać. Czai się pod drzwiami jak wygłodniały pies.

Moja matka wciąż wyczekuje. Chce usłyszeć jakikolwiek odgłos miłości. Jakikolwiek dźwięk, który przypominałby jej, że kiedyś ktoś kochał jej ciało. Woli się czaić, zamiast podjąć ryzyko. Nie rozumiem, dlaczego te wszystkie owdowiałe albo rozwiedzione kobiety nie podejmują żadnych wysiłków, żeby ponownie ruszyć w obieg życia? Moja matka też się umartwia, powoli zastyga, posaguje się. Staje się niedotykalna. Dosłownie. Unika wszelkich kontaktów. Nie pamiętam, kiedy mnie ostatnio przytuliła. Nie całuje się na dzień dobry z przyjaciółkami, nie podaje ręki. Tak jakby zaprzeczała każdego dnia, że składa się właśnie z ciała. Więc kiedy tak sterczy pod drzwiami, zawsze mam ochotę udawać wycie z rozkoszy. Może to by ją w końcu odsunęło od moich drzwi?

Tak jak moja matka oczyszcza swoje ciało z ciała, tak ja oczyściłam swój pokój ze zbędnych rzeczy. Chyba nie chcę, żeby matka wchodząc do mojego pokoju, widziała cokolwiek. (Jestem pewna, że pod moją nieobecność wacha moją pościel i ubrania – w poszukiwaniu ulotnych zapachów przyjemności). Ostatnio zdjęłam nawet widokówki, które dostałam od A., żeby i tego mi nie wypatrzyła. Obie poważnie wyblakły i jestem przekonana, że nie stało się to od światła słonecznego, tylko od jej zaborczego wzroku. Bardzo się staram, żeby mój pokój pozostał czysty – dosłownie: czysty. Wyprany ze wszelkich zmysłów – idealnie biały, tak jak moje T-shirty, które zawsze piore, używając wybielacza, w temperaturze dziewięćdziesięciu pięciu stopni. Nie uważam tego wszystkiego za

dziwactwo, chociaż Maciek twierdzi, że czasami mi odbija. Lubię spokój tego wnętrza. Może nawet trochę zainspirowałam się pustawymi pokojami w mieszkaniu A. On to nazywa minimalizmem, ja to nazywam porządkiem.

Maciek nazywa to celą. Matka nazywa to pokojem wariatki. Mnie jest wszystko jedno, co oni o tym myślą. Kiedy kładę się na materacu z tym notesem, po prostu nic mnie nie rozprasza. Czy oni naprawdę nie rozumieją, że do pisania czegokolwiek jest potrzebna cisza i przestrzeń?

Wtorek

Może na początku, kiedy A. posadził mnie na krześle po raz pierwszy, poczułam niepokój. Przez krótką chwilę miałam wrażenie, że coś może mi się stać – taki podskórny lęk przed nieuchronnym, przed czymś, co nadchodzi. Czujesz to pod skórą, która nagle robi się zimna i napięta.

A. szybko wyczuł, że muszę odczuwać dyskomfort. Delikatnie położył ręce na moich nagich ramionach i trzymał je tak przez dłuższą chwilę. Były ciepłe i suche. Może to przez ten gest przestałam się bać tego, że jestem przywiązana do krzesła?

A. najpierw zawiązał mi oczy. Powiedział, że to pozwoli mi pozbyć się wstydu, i że na pewno przyjdzie moment, kiedy będę w stanie sama zdjąć opaskę. Na razie nie chcę tego robić. Wolę koncentrować się na doznaniach, które temu towarzyszą.

Nie wstydziałam się, że jestem rozebrana. A. zawiązał mi ręce z tyłu, za oparciem krzesła, miękkim bawełnianym sznurem, który służy do wyplatania dywanów w Maroku. Przywiązał mi też obie nogi do nóg jednego z krzeseł ustawionych w salonie. Cały czas czułam jego obecność, kiedy krzątał się wokół mnie, słyszałam skrzypiącą podłogę. A. tamtego dnia mówił cały czas, co robi. Nie chciał, żebym chociaż przez chwilę poczuła niepokój. I faktycznie nie czułam niepokoju, tylko raczej coś na kształt napiętej ciekawości, bo przecież sama nie wiedziałam, co się zaraz wydarzy. A tak naprawdę czułam podniecenie. Właściwie do tego zimnego lutowego popołudnia tylko się całowaliśmy. Najpierw poczułam, jak A. wkłada do mojego wnętrza bardzo powoli wilgotny, nasmarowany żelem albo oliwką, palec. Potem włożył drugi palec i zaczął nimi rytmicznie przesuwać, ale zupełnie inaczej niż Maciek, który robi to zazwyczaj pospiesznie i mechanicznie, jakby wkładał palce w plastikową lalę, a nie żywą osobę. A. był delikatny, czuły. Mimo opaski na oczach, czułam na

sobie jego wzrok, który dosłownie mnie parzył. Czułam, że mam na twarzy wypieki, czułam, jak mimowolnie odchyłam głowę. Mój oddech stawał się coraz bardziej płytki. Kiedy poczułam, że wewnętrzna strona moich ud jest dosłownie mokra, A. wycofał palce. Przez chwilę czekałam zdezorientowana, napięta, niemal porzucona. Starłam się uspokoić oddech. Wtedy poczułam, że A. zbliża się do mnie. Lewą rękę położył na mojej piersi, a prawą włożył mi do środka coś, co przez ułamek sekundy wydało mi się chłodnym kamieniem o obłym, długim kształcie. A. powiedział, że to porcelanowe dildo, które przywiózł kiedyś z Chin. Kiedy zaczął go używać, poczułam, że chcę wstać – moje ciało wrywało się do A., ale bawełniane wiązania trzymały mnie dziwnie mocno. Myślałam, że A. w końcu odłoży dildo i sam we mnie wejdzie zanim dojdę, ale nic takiego nie nastąpiło. Pod koniec przestałam kontrolować swój oddech, gdzieś z boku dochodziło do mnie bardzo głośne wycie, ale musiało minąć kilka minut, zanim uświadomiłam sobie, że tą krzyczącą z rozkoszy osobą jestem ja sama. Chciałam spojrzeć w oczy A., zobaczyć jego podnieconą twarz, ale A. nie chciał zdjąć mi przepaski. Powiedział, że musi jeszcze minąć dużo czasu, zanim będzie mógł to robić, nie wiążąc mnie do krzesła. Powiedział też, że muszę być cierpliwa, że ostatecznie się połączymy. Użył właśnie takiego zwrotu „ostatecznie się połączymy”. Potem delikatnie mnie odwiązał, wziął na ręce i zaniósł do wanny. Umył mi głowę, potem gąbką całe ciało, następnie okrył mnie swoim szlafrokiem i zrobił mi gorący napar z zielonej herbaty. Później siedzieliśmy w kuchni.

Nie byłam w stanie rozmawiać o tym, co się wydarzyło. A. chyba też nie. Mimo wszystko czułam lekkie zawstydzenie. Na pewno miałam je wypisane na twarzy. A. spojrzał na mnie i powiedział, że jestem wspaniałą dziewczyną, najwspanialszą, jaką spotkał w życiu. I że nie chodzi tu wcale o seks, seks jest przecież dodatkiem w naszej relacji.

Po wyjściu od A. cały czas czułam się dziwnie pobudzona i zasmucona jednocześnie. Nie wiem, skąd się wziął ten smutek? Może z tego, że nie mogę nikomu powiedzieć, jak bardzo się cieszę?

Środa

A tamtego wieczoru nie wytrzymałam i po raz pierwszy zrobiłam coś, co naprawdę zaskoczyło Maćka. Prosto od A. pojechałam do akademika,

usiadłam na jego łóżku i prawie godzinę, zanim wrócił, siedziałam bez ruchu. Kiedy tylko się pojawił, po prostu wstałam i bez słowa zaczęłam się rozbierać. Nie obchodziło mnie, czy w trakcie wejdzie Łukasz, nie obchodziło mnie, czy krzyczę czy nie, nie obchodziło mnie, czy jest zapalone światło. Było mi wszystko jedno. Kiedy Maciek wszedł we mnie, zamknęłam oczy i wyobrażałam sobie, że robi to A. Prosiłam Maćka, żeby nie przestawał, żeby robił to jak najdłużej, ale po kilku minutach Maciek oczywiście odpadł. Powiedział, że byłam zbyt napalona, i że chyba mam chcię. Nienawidzę tego słowa. Jest obrzydliwe. Powiedziałam mu to. A raczej wykrzyczałam. Bo kiedy Maciej nalegał na „ruchanko”, to wszystko było w porządku, a kiedy ja raz, dosłownie raz sobie na to pozwoliłam, od razu zrobił ze mnie sukę. Powiedziałam, że nikt go nie zmuszał i wyszłam z pokoju, trzaskając drzwiami. Nie mam zamiaru odzywać się do niego ani przeproszać, ani wydzwaniać.

Wtorek

Matka zapytała mnie dzisiaj, dlaczego ostatnio jestem taka zadowolona. Nie wiem, jak to idiotyczne pytanie potraktować. W jej głosie wyczułam coś w rodzaju zawodu, tak jakby naprawdę chciała zapytać: co się tak cieszysz? Czy nie widzisz, że życie jest okropnie smutne? Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Wzruszyłam tylko ramionami i rzuciłam jej w twarz: A co, zazdrościsz? Nie musiałam czekać na efekty nawet pół minuty. Matka nabrała powietrza w usta, tak żeby jednym tchem wypuścić z siebie bolesną, ale też podszytą agresją skargę na świat. Oczywiście nie myliłam się. Matka tylko na to czekała. Czekala, żeby wyrównał się u niej poziom żółci ustawiony zwykle na wysokim poziomie. Jednym tchem wykrzyczała, że jestem krnąbrna, podła, nieczuła, samolubna, bezczelna, głupia i bezmyślna. Że za mało zarabiam w bibliotece, że tylko, uwaga, cytuję „z dupą latam do tego wiejskiego niemoty, który ledwo umie posługiwać się językiem polskim” (oczywiście chodzi o Maćka), że zawałam studia, a teraz jak wiadomo znajomości już nie działają, a ona nie będzie mi niczego załatwiać, że nie umiem oszczędzać pieniędzy, a jak ten wiejski półdebil zrobi mi w końcu dziecko, to za co je wyskrobie, że w domu jej nie pomagam, że nawet szklanki po herbacie musi po mnie zbierać, że ubieram się, jakbym pracowała na

cmentarzu a nie w bibliotece, że tylko czeka, aż na czarno będę sobie malowała nie tylko pazury, ale i zęby.

Jednym słowem, szlam musiał znaleźć swoje ujście. Podczas ataków matka stała w miejscu, zazwyczaj w drzwiach mojego pokoju i widząc mój brak reakcji albo obserwując fakt, że nie daję się podpuścić, zaczynała głośniej krzyżeć lub niebezpiecznie zbliżyć się do mnie.

Uważam, że moja matka jest osobą, która wymaga profesjonalnej opieki psychiatrycznej. Za każdym razem sugeruję, że powinna się udać na terapię. Przecież każdy, kto ma z nią do czynienia widzi, że coś jest z nią mocno nie tak. Oczywiście wtedy ona jeszcze bardziej się podnieca, jeszcze głośniej wrzeszczy, wykrzykuje pod moim adresem jeszcze gorsze rzeczy. Kiedy byłam młodsza, często w takich momentach szarpała mnie za włosy albo biła na oślep w jakimś opętaniczym zapamiętaniu. Oczywiście moja matka nie rozumie, że to czysta przemoc, że słów można tak samo nadużywać jak gestów. Moje „przestań” albo „zamknij się” oczywiście wcale nie pomagają. Ją nakręca wewnętrzny mechanizm gorczy, który podobnie jak język dziecięcia wypełnia całą jej głowę, otacza spiralą cały jej mózg – i dopiero, kiedy sprężyna całkowicie się rozwinie, matka przestaje ujadać. To niesamowite, ale w tych momentach rzeczywiście wygląda jak nakręcona zabawka – czasami urywa dosłownie w pół słowa. A potem wpada w szloch: w końcowej fazie krzyku jej oczy wypełniają się nieoczekiwanie łzami i w momencie, kiedy zamyka usta, z oczu płynie już potok łez. Rwący potok jak po pierwszych roztopach. Kiedy matka ochłonie i wypłacze już wszystkie łzy, siada na kanapie w swoim pokoju i włącza telewizor. Zazwyczaj płynnie przechodzi wtedy do komentowania wyglądu spikerek i aktualnej rzeczywistości politycznej. Wtedy popada w fazę skupionego transu. Nie patrzy na mnie, nie zwraca uwagi na otaczającą ją rzeczywistość. Założę się, że gdybym podpaliła sofę, na której siedzi, w ogóle by tego nie zauważyła. Dziwię się do dziś, dlaczego po śmierci ojca nie zdecydowała się na terapię. Ja musiałam przejść przez wszystko ze szkolnym psychologiem. I chociaż Matejska mnie denerwowała, przynajmniej dzięki niej nie zwariowałam. I zawsze mogłam pójść z nią pogadać. A moja matka uznała, że przegada to wszystko sama ze sobą.

Obiecałam sobie, że zaraz po studiach wyprowadzam się z domu. Mogłabym to zrobić już teraz. Może powinnam zamieszkać z A.?

IV

Olko przekartkował zeszyt do końca, ale nie znalazł już więcej notatek ani komentarzy. Zapiski nie były datowane i leśniczy zastanawiał się, jak długo dziewczyna je prowadziła. Może nawet miała kilka zeszytów, bo ten wyglądał na coś w rodzaju czystopisu, jakby notowała w nim już rzeczy przefiltrowane i wyważone, ubrane w dostateczną dawkę słów. Ale może się mylił, może dziewczyna pisała od razu na czysto? Olko zamknął i odłożył zeszyt. Spojrzał na swoje dłonie. Poczuł, że mimowolnie mu spotniały i stały się ciężkie. Przez otwarte drzwi kuchni słyszał, że Śliwińska rozmawia z kimś przez telefon. Zastygł na krześle i zrobiło mu się dziwnie smutno. Nie wiedzieć czemu, w pamięci wyświeciła mu się nagle jego pierwsza miłość. Ile mógł mieć wtedy lat? Siedem, osiem a może dziewięć? Pamiętał, że to musiała być zima. Wracał z Basią jakimś dziwnym, nieznanym skrótem ze szkoły. Obiecał, że ją odprowadzi, chociaż mieszkała w sąsiedniej wsi. Nie pamiętał, dlaczego zamiast iść drogą wybrali przysypane śniegiem pola. Może dziecięca logika podpowiedziała im, że tak będzie szybciej?

Właściwie powinni byli zawrócić od razu, ale nie zrobili tego. Śnieg sięgał im najpierw po kolana a potem zaczął sięgać do wysokości ud. Przedzierali się przez zaspę, mając przed sobą nieskalaną panoramę sąsiedniej wioski. Może to właśnie bajkowy, zimowy krajobraz, który tamtego mroźnego popołudnia mienił się im przed oczami, sprawił, że szli jak zakłęci?

Olko szedł przodem, torując drogę, a Basia stawiała stopy dokładnie w miejscach jego głębokich na kilkanaście centymetrów odcisków. Starał się iść równym rytmem, ale w pewnej chwili potknął się o coś, co było ukryte pod śniegiem i przewrócił twarzą w zaspę. Nie wiedział, czy Basia potknęła się, bo on się potknął, czy wykorzystała szansę, żeby przewrócić się razem z nim, ale po chwili poczuł, że ciało dziewczynki wali się na niego zupełnie bezwładnie. Odwrócił się i wtedy twarz Basi była tuż nad nim. Widział z bliska jej zaróżowione policzki, przemoczone włosy wystające spod czapki, spierzchnięte usta i mokre dziurki od nosa. Dziewczynka z wysiłku głośno oddychała przez rozchylone usta. Oboje zachowali w tej sytuacji przedziwny rodzaj uwagi. Nie wybuchnęli głupkowskim śmiechem, nie byli też zawstydzeni. Potraktowali stan upadku w zaspę jako stan naturalny

i oczywisty. Zamiast wstać, leżeli na sobie długą chwilę i patrzyli w oczy. Olko nigdy nie widział twarzy drugiej osoby z tak bliska.

Czuł na sobie oddech Basi, a ona po chwili go pocałowała. Olko odwzajemnił pocałunek. Była w tej pocałunkowej wymianie dziecięca powaga i świadomość tego, że oboje muszą robić to po raz pierwszy. Usta Basi były szorstkie i miękkie jednocześnie. Olko pamiętał, że całowali się bardzo długo i zapamiętał, ale nie pamiętał czy towarzyszyło temu jakiegokolwiek podniecenie. Może raczej radość i spokój, jaki towarzyszy parze ludzi, którzy odkryli siebie dla siebie? Nie pamiętał, jak wrócił do domu i które dy. Pamiętał tylko, że było już ciemno. Nigdy więcej nie całował się już z Basią. W szkole oboje zachowywali się tak, jakby nic się nie wydarzyło i szybko nauczyli się dyskretnie wymijać. Pewnie, żeby nikt niczego się nie domyślił, a może dlatego, że nie wiedzieli, co dalej? Następnego roku Basia wyprowadziła się do nieznanego mu miasta. Olko przez całe dekady o Basi nie myślał i dopiero dziś przypomniały mu się wszystkie wyparte z pamięci szczegóły: jej profil, piwne oczy, odcień włosów w kolorze jasnego orzecha, kształt dziurek od nosa, na które spoglądał od dołu, rytm jej oddechu, a nawet wzór na wełnianym swetrze, jaki miała na sobie tamtego dnia i śmieszna czapkę uszatkę, pewnie po starszym bracie, podobnie jak za duże rękawice z jednym palcem z pocerniałej ze starości owczej skóry – Basia nosiła je przyszyte do zwykłej, krawieckiej taśmy.

To były biedne czasy, kiedy młode ciała nosiły stare, wyświechtane, przyciężkie, wielokrotnie cerowane i łatanie ubrania, najczęściej po kimś. Olko zapamiętał, że tamta zima kończąca erę lat pięćdziesiątych, upłynęła mu pod znakiem ciężkich milicyjnych butów – jego ojciec odkupił je od znajomego. W chłodniejsze dni buty wędrowały do tego mężczyzny w rodzinie, który akurat wychodził z domu. Olko pomyślał, że nigdy ich porządnie nie wykorzystał. Nigdy nikogo nimi nie skopał, ale tamtej zimy dzięki nim przetarł drogę przed Basią.

– Przeczytałeś? – zapytała w końcu Marta.

Olko przytaknął. Nagle poczuł się dziwnie zawstydzony. Chciał podzielić się z Martą tym wszystkim, o czym myślał podczas lektury, ale zdołał wypowiedzieć tylko dwa zdania.

– Ona go bardzo kochała. I on też musiał ją bardzo kochać.

W ciszy zapuszczonej kuchni leśniczego oba zdania zabrzmiały banalnie a jednocześnie patetycznie. Olko sam to poczuł i od razu zapytał:

– Zrobić ci kawę?

Nie była przyzwyczajona do takich gestów, nie była przyzwyczajona do jakichkolwiek form czułości i nie chciała się przyzwyczajać. Jednak tak, poprosiła:

– Zrób, czemu nie?

Olko najchętniej podszedłby teraz do niej, wtulił głowę we włosy, a ręce oparł na jej dużych piersiach. Ale podszedł do starej kuchenki gazowej i postawił na palniku osmolony czajnik z oderwanym gwizdkiem.

– Muszę wracać do Łodzi – powiedziała Marta.

Olko nie odwrócił się do niej.

– Zadzwonisz, jak już go złapiecie? Chciałbym wiedzieć, skąd tak dobrze zna mój las. – Olko nigdy nie chciałby spotkać się z tym człowiekiem twarzą w twarz.

– Ty też możesz zadzwonić w każdej chwili, chociaż pewnie będę zajęta, ale zwykle po północy już nie pracuję – Śliwińska rzuciła na odchodne.

– Zadzwonię – odpowiedział Olko, chociaż wiedział, że nie zadzwoni. Chyba że znajdzie coś, co tak jak dziś nadało ich spotkaniu głęboki sens.

ROZDZIAŁ X

Ostateczne połączenie

I

Śliwińska podała komendantowi Adama Wichrowskiego na tacy. Odnalezienie zabójcy przy tak mocnym dowodzie jak zapiski Anny Konik, okazało się banalnie proste. Wystarczyło sprawdzić, kto w ostatnim czasie wypożyczył książkę poświęconą niemieckiemu malarstwu. Geschichte der Deutschen Malerei z lat czterdziestych ubiegłego wieku monachijskiego wydawnictwa F. Bruckmann nie miało bogatej historii wypożyczeń na przestrzeni ostatniego roku. Jedyńm amatoem tej zapomnianej przez świat pozycji był właśnie A., czyli Adam Wichrowski.

Kiedy policja wkroczyła do mieszkania Wichrowskiego, ten po prostu siedział na krześle i czekał. Nie okazał ani zdziwienia, ani zaskoczenia. Ubrany w czarny golf i żółte skarpety wsunięte w eleganckie, marokańskie pantofle. Cały był oczekiwaniem. Nie protestował. Zwyczajnie wstał z krzesła i wyciągnął przed siebie obie ręce na znak poddania. Zdziwieni policjanci założyli mu kajdanki, ale czuli się przy tym nieswojo. Może dlatego, że obyło się to zupełnie bez słów i zbędnego wysiłku?

Śliwińska weszła do jego mieszkania, kiedy policjanci zabrali go na komendę. Nie chciała się z nim konfrontować od razu. Chciała najpierw poczuć zapach mieszkania, którego była tak ciekawa. Wnętrze sprawiało wrażenie nieco zapuszczonego – wyglądało, jakby Wichrowski nie był jego właścicielem tylko niechlujnym, przypadkowym lokatorem. Dawno nieodmalowane, w świetle dziennym ujawniało poczerniałe kąty, z których zwisały majestatyczne, długie pajęczyny. Faktycznie dziwił brak mebli. Było ich bardzo niewiele i sprawiały wrażenie zdekompletowanego zestawu, z którego pozostawiono jedynie chrome, nadpsute egzemplarze. Wrażenie niedomeblowania dotykało zresztą wszystkich pomieszczeń, nie tylko opisanego przez Annę salonu, w którym królował obraz Justa.

Policjantka stanęła naprzeciw płótna, ale w świetle dnia obraz nie zrobił na niej aż tak wielkiego wrażenia jak na Annie. Data w rogu wskazywała niezbitcie na rok pięćdziesiąty szósty. Mimo to obraz wydał się Śliwińskiej dużo starszy, jakby malarz zatrzymał się w swojej postimpresjonistycznej manierze na całe życie.

Śliwińska domyśliła się, że mieszkanie musiało zostać kiedyś podzielone. Taki los spotkał większość secesyjnych kamienic w centrum, które niemiłosiernie niszczały wystawione na działanie czasu i przypadkowych lokatorów z kwaterunku. Nie byli oni wrażliwi na architektoniczny detal. Kamienica Dejezmana przy Kościuszki 93, w której mieszkał Wichrowski, miała więcej szczęścia. Została wyremontowana i uratowana przed ostatecznym upadkiem kilka lat temu, ale wewnętrzna dezintegracja wciąż rozbijała przepiękne i wystawne niegdyś wnętrza. Z salonu powinno być ujście do następnych pokoi, ale go nie było. Policjantka domyśliła się, że to co z niego zostało: kuchnia, gabinet i łazienka oraz zbyt duży salon, to jedynie marna pozostałość po frontowym drogim mieszkaniu, które kiedyś musiało mieć co najmniej pięć albo sześć pokoi. Zachwiane proporcje powodowały dziwne wrażenie niepokoju. Może dlatego, że mieszkanie było tak wysokie? Śliwińska pomyślała, że współcześni lokatorzy na pewno do takich pokoi o wysokości prawie pięciu metrów masowo wstawiali antresole. Tu na szczęście ich nie było.

Część kuchenno-łazienkowa była niedoświetlona i ciemna. Kiedyś musiała tłoczyć się tu służba. Gabinet Wichrowskiego ukryty na końcu korytarza mógł być dawnym pokojem gosposi. Wyglądał jak klasyczna służbówka: długi i wąski, umeblowany był jedynie tapczanem, małym biurkiem i krzesłem. Sam wystrój przypomniał Śliwińskiej rodzinne mieszkanie jej dziadków. Meble były już powojenne, ale armatura łazienkowa wyglądała na starszą – białe, proste kafle nie miały fug. Na ciemnej posadzce widać było ślad po zdemontowanym bidecie, zaszpachlowany szarym betonem. To, co Annie wydało się wyjątkowe, odstręczało policjantkę. Może po zmroku ciepłe światło zielonkawej amplii zwisającej spod sufitu sprawiało, że wewnątrz salonu stawało się bardziej przyjazne? A może dwa kinkiety zamontowane przy łazienkowym lustrze oświetlały jedynie twarz osoby przeglądającej się? Nic w tych detalach do siebie nie pasowało: długa, żeliwna wanna na lwich nóżkach zasłonięta była tanią, różową zasłoną prysznicową, krzesła z salonu wyglądały na cepeliowskie, a cała zastawa kuchenna była zdekompletowanym zestawem

Maria Weiss, który Śliwińska rozpoznała po sygnaturze z napisem Rosenthal. Germany. Maria.

Policjantkę zdziwił też brak roślin doniczkowych i osobistych detali. Nigdzie nie było zdjęć ani bibelotów. Mimo to policjantka wiedziała, że musi to mieszkanie, z pozoru tak ogołocone z życia, dokładnie sprawdzić. Postanowiła zacząć od kuchni – tam zawsze kieruje kroki kobieta, która chce się przekonać, z jakim mężczyzną ma do czynienia. Wichrowski był z pewnością mężczyzną, który nie potrafił nic ugotować. A może po prostu tego nie lubił? W kuchni też wszystko wyglądało na cudze. W jednej z szafek odkryła metalowy kwietnik wciśnięty w duży, emaliowany garnek. Jediną nową rzeczą w tym mieszkaniu był biały, elektryczny czajnik wpięty do kontaktu.

*

Śliwińska czytała dziennik Anny raz po raz, jak pies, który nieustannie musi wachać kartki. Dopatrzyła się tam zupełnie nowych, nieznanych jej zapachów. Najpierw ze wstydem przyznała się sama przed sobą, że nigdy nie była w bibliotece uniwersyteckiej, potem, że nie ma pojęcia o malarstwie, którym Wichrowski tak bardzo chciał zapłodnić umysł dziewczyny. W końcu doszła nawet do wniosku, że erotyczne przygody Anny Konik były o wiele ciekawsze niż jej, kiedy miała dwadzieścia jeden lat. Może nawet poczuła gdzieś bardzo głęboko ukłucie zazdrości, bo zmarnowała tyle lat na mało wyrafinowanym seksie z ówczesnymi chłopakami, którzy podobnie jak chłopak Anny przypominali barbarzyńców.

Śliwińska była ciekawa konfrontacji z Wichrowskim; miała ona nastąpić w ciągu kilku następnych godzin. Policjantka założyła, że A. nie wiedział nic o zapiskach Anny.

Odkąd zatrzymano podejrzanego, nie była w stanie pracować spokojnie na komendzie. Potrzebowała absolutnego skupienia, ale absolutne skupienie nie oznacza wcale siedzenia za biurkiem, czytania raportów toksykologicznych i wpatrywania się w zdjęcia z miejsca zbrodni. Śliwińska myślała podczas wykonywania zwykłych czynności. Czasami pomagało jej zmywanie, czasami prasowanie, a czasami odkurzanie. Śliwińska szukała motywu łączącego sprawy dwóch kobiet. Wszystko splatało się tutaj niczym w klasycznej tragedii: została zachowana jedność miejsca, czasu i akcji. Oba ciała wisały w oddziale sto dwadzieścia jeden,

raport wskazywał, że Widmańska zmarła zaledwie dwie doby później. Wokół ciała nie znaleziono żadnych ludzkich odcisków, jedynie tropy dzików. Ale jaki Wichrowski miał powód, żeby zabić staruszkę? Może znał ją osobiście z dzieciństwa? Nie znalazł się przecież w Lesie Rydzyńskim przypadkowo. Takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają. Śliwińska sprawdziła wszystkie powiązania rodzinne Widmańskiej, ale ograniczały się one jedynie do rodziny jej męża. Urodziła się w Wilnie. Potem prawdopodobnie, już po wojnie, jak tysiące innych rodaków udała się na Ziemię Odzyskane i może właśnie gdzieś tam, pomiędzy Wrocławiem a Szczecinem spotkała męża. Mogli się poznać i w Łodzi. On – chłopak z odległej, podłódzkiej wsi, ona – panna z Wilna. Tak to sobie wyobrażała Śliwińska. Do przeszłości Widmańskiej pasował każdy scenariusz.

Policjantka długo patrzyła na zdjęcia obu kobiet dokumentujące miejsce zbrodni i pomyślała, że należałoby cofnąć się do samego początku; do momentu, kiedy Marecki powiadomił leśniczego o trupie z oddziału sto dwadzieścia jeden. Przypomniała sobie, jak tamtego ranka zrywkarz trząś się pod drzewem. Była przekonana, że nie mógł to być strach przed martwą, młodą dziewczyną.

II

Olko wrócił z kolejnego dnia spędzonego na zrębie i zauważył na podwórku wokół drewni zwalone byle jak drewno opałowe, które w ramach deputatu przywiózł mu Marecki. Podeszedł pod drewnię i zaklął. Od czasu znalezienia trupa Anny Konik a potem ciała Widmańskiej, zrywkarz panicznie zaczął bać się lasu i wszystkiego, co było z nim związane. Drewno wyglądało tak, jakby ktoś porzucił je w popłochu i uciekł. Marecki obiecał mu, że poukłada wszystko pod ścianą drewni. Co się dzieje z tym człowiekiem – pomyślał leśniczy. Kiedy schylił się, żeby podnieść pieniek, podbiegł do niego Joyce i zaczął go lizać po twarzy. Leśniczy obiecał sobie, że zabierze psa na dłuższy spacer po lesie, ale póki co go odgonił. Chciał poprzzerzucać drewno od razu do szopy, ale poczuł, że nie ma na to siły. Nie pamiętał, od ilu lat własnoręcznie rąbał drewno, zmieniając siekiery na większe i droższe. Ale nawet najlepsze siekiery nie mogły zastąpić łuparek. Olko od dwóch lat obiecywał sobie, że łuparkę w końcu kupi, ale zawsze kończyło się na pożyczaniu jej od Michonia,

leśniczego do spraw łowieckich, który mieszkał najbliżej. Michoń podlegał bezpośrednio Walendzikowi i w sprawy lasu się nie mieszał. Mimo bliskiego sąsiedztwa, spotykali się rzadko, bo jakimś dziwnym trafem nie było im ze sobą po drodze. Michoń był gburem, ale znał się na swoim fachu. Trzeba przyznać, że był urodzonym myśliwym i nikt tak pięknie nie skórował zwierzyny jak on. Olko rzadko bywał u Michonia, chociaż ich siedziby dzieliły od siebie niecałe dwa kilometry leśnej drogi. Teraz też nie chciało mu się podejść do jego leśniczówki, dlatego zadzwonił. Michoń odebrał po kilku sygnałach.

– No co tam? – zapytał obcesowo.

– Używasz łuparki? Bo mi dziś Marecki pół podwórka zawalił drewnem deputatowym – powiedział leśniczy.

– U Biedrzyka jest, to se możesz odebrać – rzucił Michoń i się rozłączył.

Olko wzruszył ramionami i postanowił porąbać kilka pniaków, ale nagle ta czynność wydała mu się idiotyczna i bezsensowna. Bez przekonania rozłupał dwa pieńki i dał sobie spokój. Czuł, że z pleców spływa mu pot, który powoli wsiąkał w zielony T-shirt z napisem: Lasy Państwowe.

Leśniczy zastanawiał się, kiedy drzewo przestało być symbolem upamiętnienia drugiej osoby i zamieniło się w pocięty deputat sosnowy. Czy ktoś jeszcze sadził drzewa z okazji narodzin własnych dzieci? Gdyby Olko miał dziecko, na pewno zasadziłby dla nowej istoty drugą istotę w prezencie – może byłby to modrzew? Olko lubił nieliczne modrzewie, które rosły w jego lesie. Lubiał patrzeć, kiedy po zimie nieśmiało wyciągały przed siebie subtelne, wonne, jasnozielone igielki, które przypominały bardziej delikatne pędzelki, niż kłujące igły sosen.

Gdyby miał dziecko, zasadziłby dla niego piękny okaz modrzewia czerwonego, którego purpurowe szyszki przypominały mu płomienny brzuch gila. Ale Olko nie miał dzieci, chociaż w swoim życiu zasadził setki drzew. Pozostawało mu patrzeć na młodniki, które z roku na rok wzrastały pod jego pieczę, a które potem twardą ręką ojca poddawał brutalnej trzebieży, po to by na końcu, kiedy już wyrosły, przerobić je na opał.

Prokuratora Komara nie trzymały się żadne przezwiska, bo już samo jego nazwisko było obiektem nieustających żartów. Śliwińska zamówiła nawet kiedyś dla wszystkich koszulki z napisem: Utnij Komara, ale nikt nigdy nie odważył się ich włożyć. Z Komara żartowano niejawnie, bo prokurator słynął z braku poczucia humoru: nienawidził dowcipów, uśmieszków i żartów. Nigdy się nie uśmiechał i nigdy nie żartował. Rzeczywistość była dla niego monochromatyczna, z przewagą szarości. Kiedy Śliwińskiej powiedziano, że Komar czeka na nią w jej pokoju na komendzie już od kwadransa, poczuła mdłości i natychmiast wezwała taksówkę.

Prokurator siedział oczywiście za jej biurkiem i na jej miejscu, bo przecież nigdy nie usiadłby na krześle pod ścianą, a tym bardziej na drugim krześle pod drugą ścianą, bo tam leżały stosy papierów. Kiedy weszła, był odwrócony do niej tyłem z ręką wsuniętą pomiędzy dwa pasy błękitnawych wertikali i zachłannie patrzył na znajdujący się pod oknem parking policyjny, jakby właśnie tam wydarzały się najciekawsze rzeczy na świecie. Śliwińska chrząknęła. Komar odwrócił się od okna i położył swoje duże, chude i kościste dłonie na papierach, które ze sobą przyniósł. Śliwińska domyśliła się, co to może być.

– Teraz twoja kolej, Śliwińska! – Komar zamachał papierami. Policjantka nic nie powiedziała i starała się nie denerwować, ale czuła, że mimowolnie zaczynają drżeć jej ręce. – Tu masz wszystko – dodał Komar. – Może więcej z niego wyciśniesz – podkreślił, jakby żmudny proces przesłuchań właśnie się skończył, a nie rozpoczął.

Śliwińska popatrzyła na Komara, który uważał się za mistrza. Tym razem, jak się domyślała, nie bardzo mu się powiodło, ale prokurator przecież nie mógł się do tego przyznać. Nie przed kobietą.

– Odmówił zeznań? – zapytała naiwnie.

– Nie, ale za wiele nie chce powiedzieć. Styl zwięzły, lakoniczny... – Komar wyciągnął w jej stronę teczkę. – Oczywiście nie ma jeszcze pojęcia, że znaleźliśmy zeszyt Konik. Może to mu rozwiąże język? Może uraczysz go kilkoma pikantnymi cytatami? – rzucił Komar.

Śliwińska nie skomentowała propozycji prokuratora.

Dobrze знаła ten rodzaj zabawy z przestępcą: ja umyłam ręce, ale to wy musicie teraz udowodnić, że kiedykolwiek były brudne. Dopóki grał w tę zabawę człowiek prymitywny, łatwo go było w końcu przyłapać, ale Wichrowski prymitywem nie był. Był sprytny, inteligentny, odczytany. Nie

był oczywiście żadnym historykiem sztuki tylko radcą handlowym, najpierw w firmie polonijnej, a potem prywatnej. Pracę załatwili mu zaraz po studiach dziadkowie, którzy byli dyplomatami. W czasach PRL-u często jeździli do Chin i stamtąd przywozili drobiazgi, których nikt nie sprawdzał. Śliwińska odkryła w szufladzie jego biurka kilka chińskich pamiątek: kolekcję porcelanowych dild w różnych rozmiarach, fajkę do opium oraz dwie kolejne szkatułki z laki. Jak wskazywała ekspertyza dołączona do papierów, nie były to wybitnie drogie przedmioty, wszystkie datowane na koniec dziewiętnastego wieku, ale oryginalne. Po dziadkach Wichrowski odziedziczył także mieszkanie. Wyglądało na to, że od śmierci babki w latach osiemdziesiątych nic tam nie zrobił. Raczej stopniowo je ogołacał, bo na ścianach było widać wiele śladów po obrazach. Śliwińska nie знаła jeszcze przyczyny, dlaczego to mieszkanie właściwie wyglądało na niezamieszkaną. Może Wichrowski mieszkał zupełnie gdzie indziej?

Prokurator zrobił ręką nieokreślony gest, jakby chciał złapać niewidoczną bandytę.

– Wczytaj się dobrze w jego zeznania i w raport.

– Już się czytałam w raport. Sama go napisałam. – Śliwińska nie mogła uwierzyć, że Komar jej to proponuje.

– Nam próbował wcisnąć historyjkę o wielkiej miłości. Klasyczna love story...

Policjantka wiedziała, że wypowiadając te słowa prokurator nie żartuje. Pewnie po przeczytaniu zapisków denatki pobiegł do sex shopu, żeby sprawdzić na żonie albo kochance, czy faktycznie można tak świetnie się zabawić zwykłym masturbatorem.

– A do drzewa kto ją przywiązał? Pan Bóg czy dziki?! – Podniosła głos, bo wiedziała w jaką stronę to zmierza.

Doskonale znała przypadki, w których to z kobiet robiono niestabilne emocjonalnie osoby. Gdyby mężczyźni mieli ku temu warunki, na pewno twierdziliby, że to kobiety ich biją, zmuszają do seksu, bezsensownie się zakochują i na dodatek czegoś od nich chcą. Przypomniała sobie przypadek Marka P. z Bałut, który sam się dźgnął nożem, wmawiając później policji, że to jego niezrównoważona, zazdrosna żona go tak urządziła. Na szczęście kobieta była leworęczna, ale gdyby nie była... Kto wie, czy policjanci nie uwierzyliby Markowi P.? Anna Konik nie mogła już w żaden sposób przemówić. Była martwa. Śliwińska czuła, że narasta w niej złość. Zamilkła na dłuższą chwilę i Komar zorientował się, że jest podenerwowana.

– Wichrowski przyznaje się do tego, że zacisnął rękę na szyi Konik na jej wyraźne życzenie. Nigdy nie chciał jej skrzywdzić.

– A Widmańska? – Śliwińska nie wiedziała, czy bardziej ją irytuje ton głosu prokuratora, czy styl jego przesłuchań.

– Wichrowski nie przyznaje się do tego czynu. Twierdzi, że nigdy nie widział tej kobiety na własne oczy. – Komar chrząknął. – Jednego możemy być pewni – dodał.

– Czego? – zapytała Śliwińska na wydechu. Nagle poczuła się wyczerpana i zrezygnowana. Chciała, żeby Komar ze swoimi złotymi sentencjami, tak pewny siebie, w końcu wyszedł z jej pokoju.

– Konik została powieszona po śmierci, a Widmańska za życia. A jeśli macie swoją teorię na ten temat, Śliwińska, to do roboty. Wichrowski czeka na ciebie. Naprawdę miło się z nim rozmawia. – Komar położył teczkę z papierami na jej biurku. Po chwili wstał i wyszedł, jakby nic się nie wydarzyło.

Śliwińska wpadła do łazienki. Odkręciła kran z zimną wodą i odchyliła głowę. Z nosa leciała jej krew. Czowała się wyczerpana i zła. Od czasu przyjazdu od Olki robiła się senna tuż po dziesiątej, ale budziła się przed czwartą i zwykle nie mogła potem zasnąć. Tego dnia też nie mogła zasnąć i przyszła na przesłuchanie z podpuchniętymi oczami. Krwawienie z nosa tylko ją rozzłościło. Nienawidziła chwil, kiedy ciało było jej nieposłuszne. Przez lata wyrobiła w sobie rodzaj cielesnej dyscypliny; wszelkie rzeczy, na które nie miała wpływu, wytrącały ją z równowagi. Śliwińska opuściła głowę i do umywalki natychmiast pociekła jasna strużka krwi. Syknęła i przemyła nos oraz brudną umywalkę. Krwotok zwała na osłabioną śluzówkę w prawej dziurce, która zawsze szwankowała w chwilach intensywnej pracy. Przemyła nos zimną wodą i znowu odchyliła głowę. Czowała słodko-żelazisty posmak świeżej krwi.

Pół godziny później siedziała naprzeciwko A., który patrzył na nią spokojnie i ciepło niespotykane niebieskimi oczami. Wichrowski był starannie ogolony, miał krótko przystrzyżone włosy. Jego schludna powierzchowność stała w jawnym kontraście z wnętrzem jego mieszkania i to chyba najbardziej zdziwiło Śliwińską, kiedy na niego spojrzała po raz pierwszy.

Usiadła wygodnie przy długim, prostym stole. Od Wichrowskiego dzieliło ją półtora metra, ale do jej nadwyreżonej śluzówki dotarł zapach jego perfum. Była to woń nasycona i głęboka. Kojarzyła się z zapachem

jodyny i piochtaniny jednocześnie. Miała w sobie nierozpoznaną nutę orientalną. Na początku mile ją odurzyła, ale zaraz potem Śliwińska poczuła, że robi się jej niedobrze. Po kilku wdechach zidentyfikowała zapach, który tak ją podrażnił – bergamotka. Musiała złapać się jedną ręką blatu, żeby poczuć kontakt z rzeczywistością. Na szczęście sala przesłuchań była na tyle duża, że zapach szybko się ulotnił. Do końca dnia policjantka czuła jednak w powietrzu tę duszącą nutę.

– Proszę mi powiedzieć, skąd znał pan panią Helenę Widmańską? – Śliwińska postanowiła zacząć przesłuchanie od drugiej ofiary.

Wichrowski uśmiechnął się w jej kierunku, może nawet z lekkim politowaniem.

– Już mnie pytaliście. Nie znam tej osoby. To jakieś nieporozumienie...

– Ja pana jeszcze o nic nie pytałam. – Śliwińska liczyła na to, że przesłuchiwany zdenerwuje się pod wpływem zadawanych pytań i w końcu powie coś sam, od siebie, niepytany. Komar z Krajewskim męczyli go dwie godziny i Wichrowski wyglądał na znużonego. Opierał ręce na blacie i od czasu do czasu podpierał głowę prawą ręką. – Zaprzecza pan, że znał pan Helenę Widmańską, i że łączyły ją z panem jakiegokolwiek kontakty? – dopytała.

– Od początku mówiłem, że nigdy nie widziałem jej na oczy. Mam pamięć do twarzy – podkreślił Wichrowski.

– Co do takich też? – Śliwińska podsunęła mu zdjęcie powieszonyj starej kobiety.

Wichrowski odwrócił wzrok. Z pewnością był esteta, który lubił młodsze i bardziej doskonałe formy kobiecości.

– Dobrze – powiedziała policjantka, jakby Wichrowski prawidłowo wypełnił przygotowane przez nią zadanie testowe. – Proszę mi opowiedzieć, jak pan poznał Annę Konik? – znowu zadała pytanie, które padło na poprzednim przesłuchaniu.

Wichrowski pokręcił głową ze zniechęceniem.

– O tym też już opowiadałem...

– Proszę opowiedzieć jeszcze raz, to musiała być wyjątkowa dziewczyna... – Śliwińska zawiesiła głos. – A o wyjątkowych ludziach można przecież opowiadać w nieskończoność, prawda?

Śliwińska poczuła, że był to trochę chwyt poniżej pasa, na granicy słownego nękania przesłuchiwanego, ale od razu zadziałał. Wichrowski nie chciał opowiadać tej historii jeszcze raz. Widać było, że nie jest mu to

obojętne. Chciał być lakoniczny, oschły, poukładany. Tak jakby czekając w mieszkaniu na policję tego dnia, kiedy go ujęto, na wszystkie pytania już dawno sobie odpowiedział.

– Poznaliśmy się w bibliotece uniwersyteckiej – powiedział cicho.

– Anna Konik miała chłopaka, nie przeszkadzało to panu? – Śliwińska chciała sprawdzić, czy Wichrowski był zazdrosny, ale nie był.

– Wiem, ale ja nie byłem jej chłopakiem. Zresztą nie przeszkadzało mi to, że ma chłopaka. Nasza relacja nie była oparta na seksie.

Policjantka podniosła na niego wzrok. Zaczęła się zastanawiać, czy jej relacja z leśniczym była oparta na seksie, czy nie. Poczula, że jest to odpowiedni moment, żeby posłużyć się pamiętnikiem Anny. Wyciągnęła z teczki odbitkę ksero, na której był widoczny wzór wyklejki zeszytu w formie pawich piór.

– Czy rozpoznaje pan ten wzór? – zapytała.

Wichrowski wzór rozpoznał, to było widać, ale nie odpowiedział od razu. Na pewno natychmiast się zorientował, że zeszyt został znaleziony. Teraz szukał sposobu, żeby udzielić jak najlepszej odpowiedzi. Jak najlepszej dla siebie.

– Anna była wyjątkowo utalentowana. Zachęcałem ją, żeby zaczęła pisać. Podarowałem jej specjalny zeszyt. Tak, rozpoznaję ten wzór.

– Teraz wszystko rozumiem. – Śliwińska wyjęła z teczki skserowane fragmenty opisów, które obciążały Wichrowskiego:

– *Nie wstydziałam się, że jestem rozebrana. A. związał mi ręce z tyłu, za oparciem krzesła, miękkim bawełnianym sznurem, który służy do wyplatania dywanów w Maroku. Przywiązał mi też obie nogi do nóg jednego z krzesel ustawionych w salonie.* – Czytała neutralnym głosem, zerkając co chwila znad tekstu na Wichrowskiego. Opisy samego aktu seksualnego wymamrotała i pominęła celowo, tak jakby były nieistotne. Wyraźnie odczytała za to końcówkę akapitu. *Powiedział, że musi jeszcze minąć dużo czasu, zanim będzie mógł to robić, nie wiążąc mnie do krzesła. Powiedział też, że muszę być cierpliwa, że ostatecznie się połączymy. Użył właśnie takiego zwrotu „ostatecznie się połączymy.”* – Śliwińska odłożyła kartkę.

Twarz Wichrowskiego była blada.

– Proszę mi powiedzieć, dlaczego nie użył pan do powieszenia Anny miękkiego sznura z bawełny służącego do wyplatania dywanów? – zapytała Śliwińska.

Wichrowski podniósł na nią wzrok.

– Nie powiesiłem jej za druty! Nigdy bym tego nie zrobił. Przywiązałem ją sznurkiem, tak jak zawsze. Tak jak zawsze to robiliśmy... Anna nie sprzeciwiała się temu za życia. Uznałem... – Głos Wichrowskiego nagle się załamał, a jego niebieskie oczy wypełniły się łzami. Policjantka pomyślała, że albo nic nie wie i mówi prawdę, albo jest doskonałym kłamcą. Albo, że jest ktoś trzeci, kto zna prawdę lepiej od nich.

*

Wichrowski nie kłamał. Tamtego dnia wrócili z biblioteki razem, prosto do jego mieszkania. Teraz, kiedy po raz tysięczny odtwarzał w pamięci ostatnie godziny spędzone z Anną, uświadomił sobie, że jej twarz była wtedy dziwnie napięta, jakby podjęła jakąś decyzję, o której nie chciała mu powiedzieć. A może tak tylko mu się wydawało? Może pokłóciła się z matką i szukała ulgi albo silniejszego niż zwykle doznania? Pamiętał, że zwrócił na to uwagę, ale nie chciał zadawać Annie zbędnych pytań. Ich rytuał był na tyle dopracowany, że nie potrzebowali słów.

Nie pamiętał, kiedy Anna wprowadziła modyfikację z ręką. Pewnego razu poprosiła go, żeby tuż przed orgazmem mocno złapał ją za szyję. Polubił ten moment – Anna odchyliła wtedy gwałtownie głowę do tyłu i odsłaniała dla niego swoją gładką, łabędią szyję. Widział wtedy wyraźnie niebieską siatkę żył przypominającą krakelurę z barokowych obrazów – jeszcze jeden szczegół, który tak bardzo go podniecał. Nie mógł sobie przypomnieć, czy zaciskał rękę na szyi Anny za każdym razem mocniej, czy za każdym razem tak samo. Efekt rozpoznawał jedynie po reakcji ciała: tuż przed nadejściem orgazmu nagie ciało Anny wyprężało się gwałtownie i lekko unosiło, jakby nie istniało krzesło ani liny, które je uziemiały. Zwykle towarzyszył temu narastający dźwięk. Postronna osoba mogłaby go nazwać wrzaskiem, ale on nazywał to arią – czystą, zwierzęcą, swobodną, w której słyszał tylko jeden ton: ton miłosego wyznania.

Tamtego dnia aria urwała się w połowie. Poczekał spokojnie, aż skurcze miną i dopiero wtedy uwolnił szyję Anny. Wydawało mu się, że Anna za chwilę uniesie głowę i westchnie. Jego ręka przytrzymała teraz jej lewą pierś, kiedy spojrzał na dziewczynę, to zorientował się, że jej klatka piersiowa jest dziwnie nieruchoma. Podniósł jej głowę i spojrzał w oczy: był w nich jeszcze zasnuwający wzrok wyraz rozkoszy – przyćmiony, głęboki i miękki blask miłosego zaspokożenia. Anna nie oddychała.

Tak, wpadł w panikę. Natychmiast wyszarpał ciało dziewczyny z lin i ułożył je na podłodze. Nie pamiętał, czy powinien zacząć reanimację od wpuśczenia powietrza do płuc, czy od uciskania mostka. Ciało Anny wydawało mu się idealnie spokojne, jakby wcale nie potrzebowało tych czynności. Po chwili położył się obok niej i przez następne kilka godzin patrzył, jak jej oczy powoli stają się suche i matowe. Wciąż wierzył, że Anna za chwilę mrugnie do niego, nabierze w płuca powietrza i wstanie, całując go przy tym w usta. Ale tak się nie stało. Anna była spokojna, ale była też martwa.

Wichrowski czuł, jak łzy ściekają mu po twarzy. Spojrzał na policjantkę i zobaczył jej smutną twarz, jakby ją widział przez szybę, po której spływają gęste krople deszczu. Nie był w stanie nic więcej opowiedzieć. Z oddali usłyszał tylko swój własny głos wypowiadający martwe zdanie:

– Kochałem ją.

IV

Była już jedenasta wieczorem, kiedy w końcu zdecydowała się zadzwonić do Olki. Od dwudziestej siedziała prawie nieruchomo na sofie w swoim salonie. Odruchowo zaciskała nogi. Obok niej na oparciu leżał test ciążowy. To niemożliwe – powtarzała sobie od kilku godzin, ale dwie różowe kreski temu zaprzeczały.

Dlaczego te kreski są właściwie różowe? Czy nie mogłyby być zielone? Albo niebieskie? Albo czarne? Czy lilaróż miał we współczesnym świecie zwiastować macierzyństwo? Kto o tym zdecydował? I dlaczego? Czowała, jak w jej pustym żołądku wzbiera kolejna fala wymiocin. Jak w jej wnętrzu coś walczy ze sobą: organizm matki versus samowolny zarodek, który musi siedzieć już głęboko zakorzeniony w ścianie macicy i wstrząsać całym jej środkiem, jak pirat, który dokonał abordażu i wdarł się na galeon wypełniony po brzegi złotem. Kto odpuściłby taką okazję? Tak szczodry dar? Taki nasycający zmysły obraz? Śliwińska beknęła. Poczowała swój nieświeży oddech i natychmiast pobiegła do łazienki umyć zęby. Kiedy wróciła, jej służbowa komórka leżała na blacie stolika i Śliwińska zmusiła się, żeby jednak wziąć ją do ręki. Kiedy wybierała numer Olki, czowała, że robi się jej duszno. Podeszła do okna z telefonem przy uchu i otworzyła je

na oścież. Olko odebrał po trzech sygnałach, jakby czekał na jej telefon przez cały wieczór.

– Nie śpisz? – zapytała nieco ochryplym, suchym głosem.

– Nie, wcale. Czytam książkę – odpowiedział Olko. Słyszała, jak zaciągnął się papierosem. Jego oddech był ciężki i mokry.

– Mamy go – powiedziała po prostu, zamiast powiedzieć „jestem w ciąży” albo „mam przed sobą test ciążowy i są na nim dwie kreski”. Słyszała, jak Olko szura stopami po podłodze. Może z wrażenia wstał z fotela?

– To on? – zapytał, jakby nie dowierzał, że ktoś w ogóle został w tej sprawie zatrzymany.

– Musimy to jeszcze udowodnić, ale to on. Na razie nie przyznaje się do obu zabójstw, tylko do znajomości z Anną. Udusił ją przypadkowo, w trakcie stosunku, a potem przywiózł ciało do lasu. Zna twój las, bo jego rodzina miała tu działkę, w Rydzynkach. Musimy przyjechać z nim na wizję lokalną. Powinieneś przy tym być.

– Kiedy? – zapytał Olko, jakby chciał, żeby to stało się za dziesięć minut.

– Pojutrze – odpowiedziała Śliwińska.

Może weźmie ze sobą ten test i po prostu mu pokaże? Pomyślała, że to dobry pomysł, obejdzie się bez zbędnych słów. Przedmiot widoczny jak na dłoni wszystko wyjaśni. Przynajmniej oboje staną przed tym samym faktem. Ale czy na pewno? Uświadomiła sobie, że wciąż trzyma słuchawkę przy uchu, ale nic nie mówi.

– Jesteś tam? – spytał Olko.

– Tak, ale muszę kończyć. Jutro czeka mnie dużo pracy. Dobranoc – rzuciła szybko i rozłączyła się, nie czekając, czy Olko odpowie czy nie.

Podeszła do stołu. Test wciąż na nim leżał. Śliwińska w ostatnim akcie panicznego natłoku myśli stwierdziła, że to wielka szkoda, że siłą woli nie można jednak usuwać przedmiotów z pola widzenia.

*

Olko poczuł chłód. Chłód szedł falą do góry. Zaczynał się gdzieś na wysokości kolan i stopniowo zajmował kolejne części jego ciała. Kiedy doszedł do prawej łopatki, leśniczy odczuł, jak przeszywa go dreszcz. Usiadł z powrotem w fotelu i wziął do ręki książkę, ale natychmiast ją odłożył. Wstał i przyniósł z sypialni stary, wyliniały koc, który dostał

kiedyś w prezencie od nadleśnictwa. Nie pamiętał, kto zrobił mu ten prezent nadgryzany latami przez mole, ale kiedy się nim nakrył, docenił zalety czystej, żywej wełny. Być może każdy przedmiot ma swój czas – pomyślał leśniczy – a czas wełnianego koca właśnie nadszedł? Olko nie chciał przyznać się sam przed sobą, że ostatnio łatwo marzył i coraz częściej przechodziły go dreszcze. Rankami, po zapaleniu pierwszego papierosa, długo kasłał, a po spędzeniu kilku godzin w lesie bolały go stawy. Teraz czuł, że boli go dolny odcinek pleców. Olko wiedział, że właśnie nadchodził atak korzonków.

Tego rodzaju kłującego bólu nie dało się pomylić z żadnym innym. Choroba zawodowa leśników dotyczyła także jego, chociaż ostatni raz chorował trzy lata temu. Mimo narastającego bólu, postanowił rozpalic w kominku. Wełniany koc w obowiązkowym zielonym kolorze nieprzyjemnie go drapał. Olko, żeby uniknąć zbędnych ruchów i nie wyginać kręgosłupa, a tym bardziej się nachylać, opadł na czworaka. Rozpalanie w kominku przyszło mu z trudem. Olko patrzył, jak pojedyncze płomienie wolno liżą bukowe polana. Omiatały je niechętnie, ale kiedy wrzucił do kominka całą gazetę, zajęły polana siłą nagłego ognia. Z trudem podźwignął się z kolan i opadł na fotel. Czuł, że czeka go bezsenna noc i nie chciało mu się iść do sypialni. Kominek stopniowo zaczynał wydzielać przyjemne ciepło. Leśniczy spojrzał na książkę. Nie pamiętał, skąd wziął się u niego w bibliotece album poświęcony Giorgiowi de Chirico, ale wziął go odruchowo do ręki. Kiedy otworzył okładkę, zobaczył dedykację podpisaną: Ela z kadr. Ela już dawno nie pracowała w nadleśnictwie, ale Olko zapamiętał ją jako miłą, pulchną brunetkę, która zawsze się do niego uśmiechała. Przypomnił sobie też, że te wszystkie niepraktyczne prezenty, które go otaczały, dostał z okazji dwudziestopięciolecia służby leśnej. Koc, album, karafka na nalewki i wirówka do suszenia sałaty. Trudno było o bardziej kuriozalny zestaw, ale ktoś widocznie uznał, że do niego pasuje. Koc był zielony, wirówka jasnozielona, karafka kryształowa, szlifowana, również o barwie ciemnej zieleni. Chirico też był wrażliwy na zieleni i być może właśnie na tej podstawie został wybrany jako artystyczny, duchowy dodatek do przyziemnych przedmiotów. Olko nie wiedział, dlaczego akurat teraz sięgnął po album. Gdyby żył w epoce zaawansowanego rozwoju internetu, mógłby łatwo sprawdzić, jak wygląda na przykład obraz Czerwony las, o którym pisała Anna, ale komputeryzacja w firmie na dobre

się jeszcze nie rozpoczęła, a słynna przeglądarka Google miała dopiero trzy lata.

Oglądał obrazy Chirico niejako w zastępstwie i skłamał Śliwińskiej, że czyta książkę. Dziwnie mu było się przyznać, że siedzi w fotelu i przegląda album z malarstwem, tak jakby czynność oglądania reprodukcji miała w sobie coś wstydliwego, a jednocześnie bardzo intymnego.

Olko ze zdziwieniem odkrył, że wszystkie obrazy noszą niezwykle tytuły, zupełnie z innego porządku niż malarstwo: niepokój, melancholia, przybycie, odjazd, zagadka, niepewność. Faktycznie na obrazach dominowały odcienie zieleni: zieleń karczochów, których Olko nigdy nie jadł, cienia, nieba, przedmiotów. Dziwna gama podkreślała metafizyczny nastrój. A może to tylko reprodukcje źle oddawały kolory?

Obrazy powinno się oglądać zawsze osobiście, ale Olko już od bardzo dawna nie był w żadnym muzeum. Pozostawały mu niezliczone obrazy natury. Kiedy polana w kominku nagle się osunęła i na metalową blachę posypały się iskry, leśniczy uświadomił sobie, że całe jego życie podporządkowane było stopniowej redukcji. Redukcji potrzeb. I teraz, siedząc przy kominku, zastanawiał się, czego by chciał albo czego chciałby chcieć od życia, ale do głowy przychodziły mu tylko te rzeczy, które mu w zupełności wystarczały.

Chciał dorzucić jeszcze drew, ale na stosie zostało już tylko jedno polano. Jutro muszę pożyczyć łuparkę od Biedrzyka – pomyślał i odłożył album. Wpatrywał się w dogasające płomienie, żarzyły się teraz intensywnie. Jaskrawopomarańczowe kolory przebijały się przez poczerniałą warstwę spalonego drewna, zupełnie jak duże strupy pokrywające ranę, kiedy pękają, a od spodu przebija jeszcze świeża, młoda i intensywnie różowa skóra.

V

Olko zastał Biedrzyka stojącego w kącie pomieszczenia nad starym, metalowym wiadrem i myjącego brudne talerze. Od razu poczuł się głupio. Biedrzyk wyławiał z wiadra talerze wypalone z grubego, geesowskiego porcelitu, zupełnie jakby łowił w brudnej wodzie śnięte ryby. Wycierał je poczerniałą szmatą, która robiła za ścierkę. Kiedy Biedrzyk zobaczył Olkę, podał mu do uściśnięcia mokry nadgarstek.

– Przyjechałem pożyczyć łuparkę. Michoń powiedział, żebym przyjechał od razu do pana.

Biedrzyk kiwnął głową na znak, że wie o łuparce i splunął na podłogę.

– Mam dla Michonia za łuparkę bimber, weźmiesz pan?

Olko przytaknął. Biedrzyk wytarł wielkie, spracowane dłonie w tę samą ścierkę i powiedział, żeby Olko poszedł już do szopy.

– Bimber na górze trzymam. Zaraz do pana dojdę – powiedział, wspinając się na betonowe, surowe schody.

Szopa Biedrzyka była właściwie starą stodołą i już dawno utraciła swoje funkcje. Panował w niej półmrok i kiedy Olko otworzył duże, drewniane drzwi, musiał odczekać chwilę, aż jego wzrok przywyknie do ciemności. Tego pierwszego słonecznego dnia maja światło przebijało przez szpary w deskach i wyświetlało szczegóły, na które Olko nie chciał specjalnie patrzeć. Na ścianach wisiały stare narzędzia gospodarskie. Olko dostrzegł też porzewiały potrzask wiszący na ścianie po prawej od wejścia, który mógł pamiętać jeszcze lata siedemdziesiąte. W natłoku szczegółów – starego siewnika, niekompletnej krajzegi, sprzętu przeciwpożarowego rozwieszono wewnątrz zamiast na zewnątrz, nie mógł wypatrzyć łuparki. Wzrok leśniczego przykuły stare sanie. Biedrzyk czasami wypożyczał je okolicznym chłopom na kuligi. Kiedy już chciał wyjść zrezygnowany, dostrzegł łuparkę. Wciśnięta była w kąt stodoły, tuż po lewej stronie od wejścia, przykryta jakąś starą, podartą granatową plandeką.

Olko podszedł do maszyny i chwycił ją oburącz. Chciał ją podnieść, ale skończyło się na kilku centymetrach. Sycząc z bólu wypuścił łuparkę i opadł na kolana. Podniósł wzrok, jakby spojrzeniem wbitym w sufit chciał sobie pomóc w bólu. Jego wzrok padł na reklamówkę zawieszoną nad łuparką. Olko doszedł do wniosku, że muszą być tam koła od łuparki i sięgnął do niej ręką.

Zamiast gumowych, małych opon wyciągnął z reklamówki dziwne buty osadzone na konstrukcji przypominającej zimowe raki – od spodu na owalnej powierzchni były przyczepione racice dzików obcięte powyżej kostki – wyglądało to jak dziwne, sześciopalczaste wrotki w starym stylu, które zamiast kółek mają racice. Zaplątane były w biały, miękki sznurek, który do nich nie pasował.

Olko wzdrygnął się. Poczul lęk. Zrozumiał, że musi natychmiast wrzucić ten przedmiot z powrotem do środka. Zawiesił reklamówkę na

gwoździu i starannie ją poprawił. Wtedy wszedł do szopy Biedrzyk. Spod drelichowej koszuli bez trzech dolnych guzików, wciśniętej w spodnie związane sznurkiem, wystawał wielki, wypukły brzuch. Biedrzyk opierał na nim trzy butelki z bimbrem. Spojrzał na Olkę. Zdążył zauważyć to, czego nie powinien i upuścił na ziemię jedną z butelek... Odór bimbrowy wypełnił szopę.

– No to teraz pan już wiesz – powiedział cicho, odstawił butelki na kraje i ruszył w stronę leśniczego. Olko cofnął się odruchowo. Chciał nawet chwycić w ręce jakiś przedmiot, żeby móc odeprzeć atak Biedrzyka, ale chłop zignorował jego paniczny gest. Podeszedł do łuparki, podniósł ją i wyniósł ze stodoły. Po chwili wrócił, podeszedł do kraje i otworzył jedną z butelek. Przytknął ją do ust i wypił kilka łyków. Bimber podziałał. Biedrzyk beknął i przetarł usta wierzchem dłoni. Jego wzrok był wilgotny i śliski jak wzrok pijanego człowieka, ale głos pozostał trzeźwy:

– Poszedłem w sobotę, aż do końca, na Kapkazy, żeby wnyki pozakładać. Pan wiesz, że ja od czasu do czasu kłusuję, ale pan mnie nigdy nie złapałeś. – Biedrzyk machnął ręką, jakby to nie miało znaczenia. – I wtedy znalazłem tę dziewczynę. Na początku myślałem, że mi się przewidziało. Goła dziewczyna, w środku lasu. Może chłopak poszedł się odlać? Ale siedzi i nie rusza się. Zimno było, a ona siedzi. Podeszedłem bliżej, a ona przywiązana do drzewa. Pewnie, żeby się nie gibnęła. Sztywna już była. Miał pan kiedyś tak, panie leśniczy, że nagle zobaczył pan jedno i zaraz wiedział, jak zrobić drugie? – Biedrzyk przerwał i spojrzał na Olkę.

Leśniczy pokręcił głową.

– A ja tak miałem, jak ją zobaczyłem, tę młodą. Tak jakbym całe życie na to czekał i od razu wiedziałem, że to wcale nietrudno zabić kurwę, co to chciałem ją zadusić całe życie, bo mi ojca zabrała. – Biedrzyk splunął na klepisko. – Źle jest zabić, panie leśniczy, ale nie zabić też czasami źle.

Olko próbował nadażyć za opowieścią Biedrzyka.

– Kto panu ojca zabrał? Przecież ja pana ojca jeszcze pamiętam, co pan wygaduje, panie Biedrzyk? Jak objąłem leśnictwo, na ławce go widziałem. Tu siedział, przed domem. Słaby już był i chudy, ale pamiętam go. – Olko wskazał ręką na podwórko.

– Moim ojcem był Widmański. Moja matka, Wrocza Emilia puściła się, kurwa jedna, z Widmańskim. Niby taki żołnierz, z wojska wrócił, to się puściła. Ale źle się puściła, bo on zaraz uciekł, do partyzantki. Wszyscy myśleli, że już wygubiony. Znaków nie dawał. Listy nie szły, a matce

brzuch rośnie. Ja rosne! To mnie wcisnęła Biedrzykowi. A potem Widmański wraca z tą kurwą miastową. Pan myśli, że ludzie nie wiedzieli, że ja Widmańskiego synem jestem? – Biedrzyk dopił butelkę bimbrowa do końca. – A gównie! Wszyscy wiedzieli! Wszyscy! Cała wioska wiedziała. Włącznie z tą kurwą, Widmańską, co to przechadzała się w pończochach po polu jak głupia jakaś. – Biedrzyk zaczął mówić coraz głośniej, tak jakby bolesna prawda domagała się donośnego głosu.

Olko patrzył na niego jak na rozjuszone ranne zwierzę, które w takich chwilach może być nieobliczalne. Starał się stać nieruchomo i nie prowokować.

Biedrzyk mówił dalej:

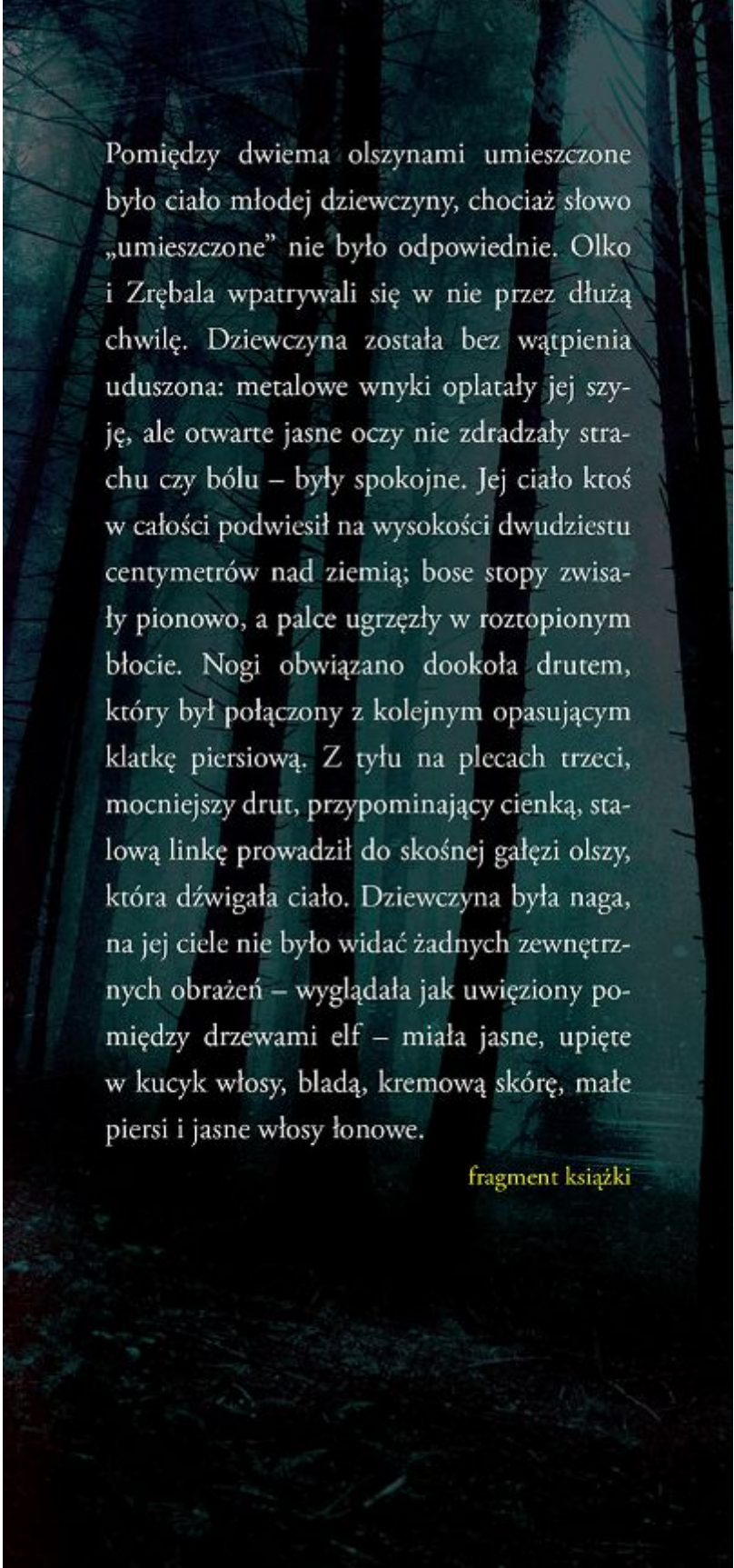
– Jak zobaczyłem tę młodą, to już wiedziałem, zajebię tę starą, powieszę tę starą, powieszę kurwę jak ścierwo na wnykach, i tę młodą też powieszę na wnykach, na wnykach, żeby zdechły jak im się należy! Zaczaiłem się, dorwałem, podduśłem, ale tak, żeby wiedziała, kto, i na wnyki! Odpłaciłem za całe życie! A co, wielki panie leśniczy, myśleliście, że ja głupi jestem?! Obszedłem obie jak dzik, miałem czas, a może i robaki by je zżarły, a może by je znaleźli, to niech se szukają tego, co tę młodą ukatrupił.

Biedrzyk na chwilę przerwał. Rozejrzał się, jakby zapomniał, gdzie jest, i zaczął z nową pasją.

– Tak! Nie bałem się i nie boję! Należało się kurwie od zawsze. Obdarłem do goła i patrzyłem, jak wisi i śmiałem się, śmiałem się na głos. Nawet Mareckiemu powiedziałem, że goła baba na drucie wisi. Schlałem go i pojechał szukać, głupek, i tak nic nie pamiętał. A ta cała policja... Kręcą się jak posrańce, ludzi się pytają, a ludzie i tak gównie im powiedzą... Niech pytają dzików...

Biedrzyk otworzył drugą butelkę, chciał się napić, ale wyciągnął ją w stronę leśniczego. Olko odmówił. Poczł, że robi mu się słabo. We wnętrzu szopy panował zaduch pomieszany z zapachem rozlanego alkoholu, kurzu, przegniłego drewna i męskiego potu. Leśniczy czuł, że zaraz zemdleje. Po chwili opadł na klepisko i spojrzł w górę. Przez dach szopy przesączały się promienie porannego słońca, w których wirował teraz kurz i pył wzniecony przez jego upadek. Drobinki wirowały, jakby zataczały niewidzialne koła. Olko odnalazł w tym najwyższy porządek rzeczy i zdołał wyszeptać słowo seele, co w języku niemieckim oznaczało duszę. Nie wiedział, dlaczego akurat teraz je sobie przypomniał. Zanim przymknął oczy, zdążył jeszcze

pomyśleć, że zostawił swój telefon na stole w kuchni i nie będzie mógł zadzwonić do Śliwińskiej. Jego ciało stało się spokojne i bezwładne. W ciemnościach poczuł jak w jego rękę wślizguje się ręka mniejsza – drobna, twarda i krzepka – ale nie potrafił w tej chwili odróżnić, czy jest to ręka młodej kobiety, czy ręka małego dziecka.



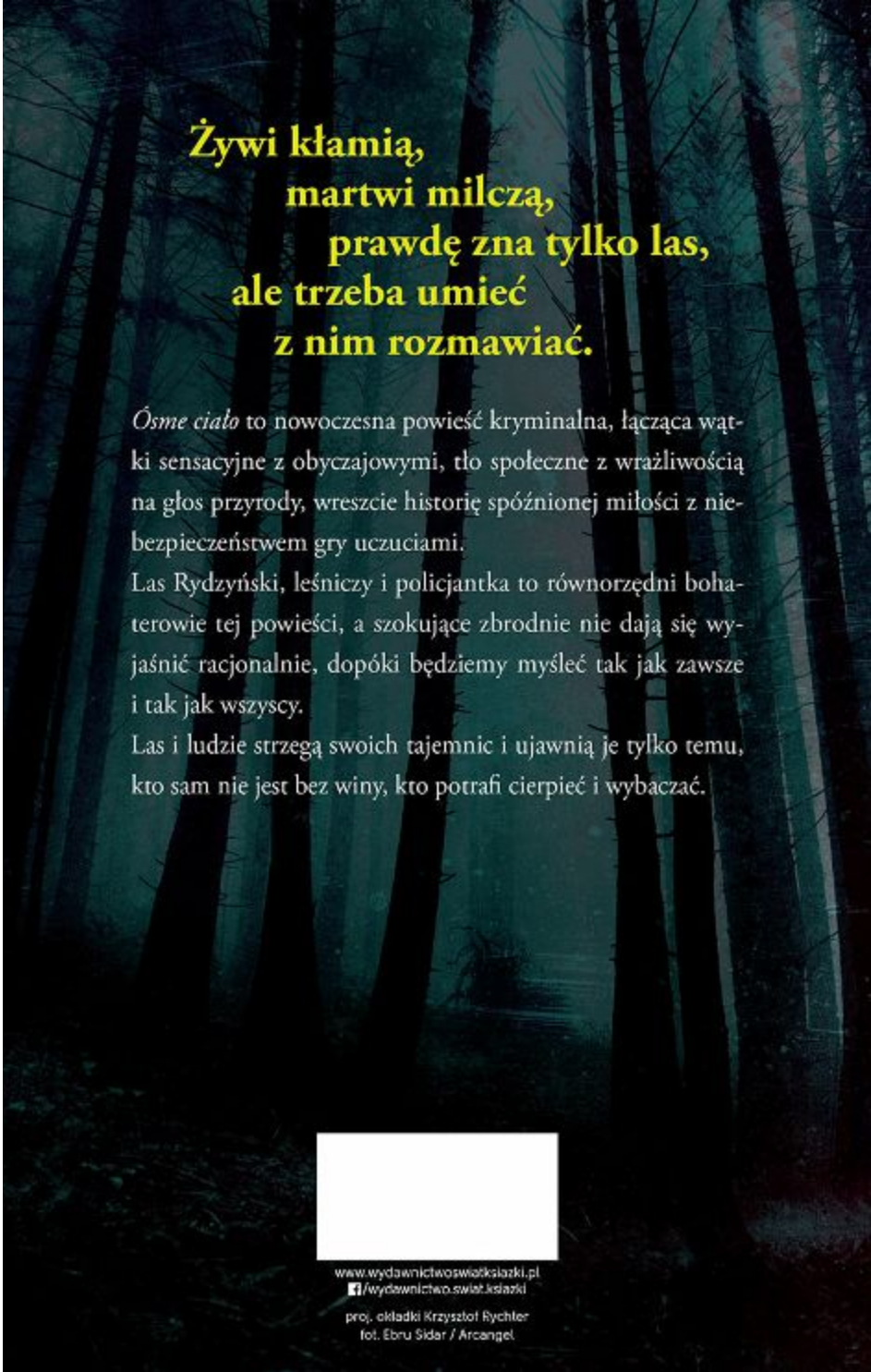
Pomiędzy dwiema olszynami umieszczone było ciało młodej dziewczyny, chociaż słowo „umieszczone” nie było odpowiednie. Olko i Zrębala wpatrywali się w nie przez dłuższą chwilę. Dziewczyna została bez wątpienia uduszona: metalowe wnyki oplatały jej szyję, ale otwarte jasne oczy nie zdradzały strachu czy bólu – były spokojne. Jej ciało ktoś w całości podwiesił na wysokości dwudziestu centymetrów nad ziemią; bose stopy zwisały pionowo, a palce ugrzęzły w roztopionym błocie. Nogi obwiązano dookoła drutem, który był połączony z kolejnym opasującym klatkę piersiową. Z tyłu na plecach trzeci, mocniejszy drut, przypominający cienką, stalową linkę prowadził do skośnej gałęzi olszy, która dźwigała ciało. Dziewczyna była naga, na jej ciele nie było widać żadnych zewnętrznych obrażeń – wyglądała jak uwięziony pomiędzy drzewami elf – miała jasne, upięte w kucyk włosy, bladą, kremową skórę, małe piersi i jasne włosy łonowe.

fragment książki



MONIKA POWALISZ

dramatopisarka, scenarzystka, dziennikarka. Współtworzyła grupę dramatopisarzy G8 oraz teatr Wytwórnia. Pomysłodawczyni i współscenarzystka serialu *Belfer*. Mieszka i pracuje w Warszawie. *Ósme ciało* jest jej debiutem prozatorskim.



**Żywi kłamią,
martwi milczą,
prawdę zna tylko las,
ale trzeba umieć
z nim rozmawiać.**

Ósme ciało to nowoczesna powieść kryminalna, łącząca wątki sensacyjne z obyczajowymi, tło społeczne z wrażliwością na głos przyrody, wreszcie historię spóźnionej miłości z niebezpieczeństwem gry uczuciami.

Las Rydzyński, leśniczy i policjantka to równorzędni bohaterowie tej powieści, a szokujące zbrodnie nie dają się wyjaśnić racjonalnie, dopóki będziemy myśleć tak jak zawsze i tak jak wszyscy.

Las i ludzie strzegą swoich tajemnic i ujawnią je tylko temu, kto sam nie jest bez winy, kto potrafi cierpieć i wybaczać.

www.wydawnictwo.wisniewski.pl

[/wydawnictwo.wisniewski](https://www.facebook.com/wydawnictwo.wisniewski)

proj. okładki Krzysztof Rychter
fot. Ebru Sider / Arcangel

1) Sándor Márai, Cztery pory roku, przeł. Feliks Netz,
Warszawa 2015, s. 250. ↵